

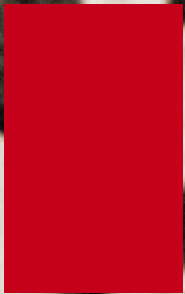
Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Bratkiewicz: dyplomata to nie wykidajło
- Jak się omija sankcje wojenne
- Po co Putinowi watahy skrytobójców
- Szczerek: lewica, czyli dredy na prowincji
- Terlikowski przyznaje, że się mylił



**WYSOKIE
OBCASY**
Hania Rani
Lubię ciemne
tematy



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Setna
rocznica urodzin
Wisławy Szymborskiej
Czysta poezja

FOT. FUNDACJA WISŁAWY SZYMBORSKIEJ

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Pięć gwiazdek Negresco
Najsłynniejszy hotel Riwiery
Francuskiej chcieli kupić i Bill Gates,
i arabscy szejkwowie. Bezskutecznie



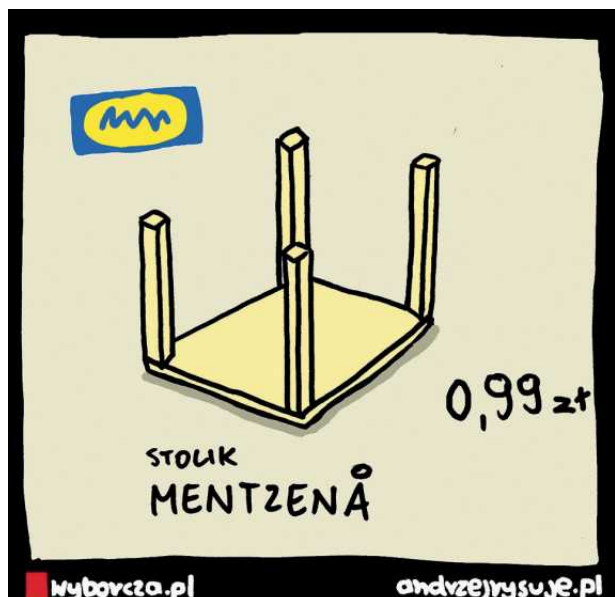
Artysta przy szachownicy
Mieczysław Najdorf trzykrotnie
reprezentował na olimpiadach
szachowych Polskę i 11 razy Argentynę

Życzenia dla Nieobecnej

Ponieważ Wisława uważała, że po tamtej stronie życia trzeba zachować duże poczucie humoru, to życzę Jej, aby dzielnie zniosła otwarcie swojego pięknego parku w Krakowie, kolejne wydania wierszy i wyklejanek odnalezionych w tajnych szufladach biurka, nowe dzieła bio- i bibliograficzne o własnym życiu sprzed narodzin i po, kolejne spotkania autorskie w najdalszych zakamarkach świata, w których, chcąc nie chcąc, będzie musiała uczestniczyć, oraz nowe książki limeryków, moskalików i lepiejów. Lepiej nie będzie...

Ewa Lipska

Andrzej rysuje



Nowa Fundlandia Wydobyli „Titana”



Szczątki z łodzi podwodnej „Titan” zostały wydobyte z dna oceanu w pobliżu wraku „Titanica”. Wylądowano je ze statku „Horizon Arctic” na moło kanadyjskiej straży przybrzeżnej w St. John’s w Nowej Fundlandii. W dramatycznej katastrofie podwodnej zginęło pięć osób, w tym założyciel firmy, która zajmowała się ekspedycją turystyczną. **Więcej zdjęć i niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Bardzo miły człowiek Harry Styles w Warszawie

Brytyjski Dawid Podsiadło albo Robbie Williams dla urodzonych w XXI wieku. Przystojny, dowcipny, utalentowany. Do tego ma kilka świetnych piosenek, które pogodzą zamkniętych w jednym pomieszczeniu przedstawicieli różnych pokoleń o skrajnie odmiennych gustach.

Miał 16 lat, burzę loków na głowie, szelmowski uśmiech, plany na studia i weekendową posadę kelnera w cukierni, kiedy z malowniczej, ale nudnej (to jego słowa) wioski Holmes Chapel przyjechał na przesłuchania do „The X Factor”. Nie wygrał, za to poznał kolegów, z którymi przez pięć lat współtworzył One Direction – podbijając serca nastoletniej publiczności.



Solo radzi sobie jeszcze lepiej. Jego debiutancka płyta – po prostu „Harry Styles” z 2017 roku – trafiła na szczyty list sprzedaży po obu stronach Atlantyku, kolejne dwie budziły podobne zainteresowanie. Nagród ma już całę sterty, wyprzedaje stadiony, jest uważany za ikonę mody i całkiem nieźle idzie mu w aktorstwie (to on był Alexem w „Dunkierce” Christophera

Nolana). Dużo wydaje na cele charytatywne, upomina się o prawa kobiet i osób LGBTQ+, piętnuje rasizm. Wy-myślił też własną akcję: „Bądź miły dla ludzi”. I chyba naprawdę taki jest – niedawno przerwał koncert w Cardiff, by ciężarna fanka mogła pójść do toalety i nie stracić ani jednej piosenki. ●

Jarek Szubrycht
Harry Styles, PGE Narodowy, Warszawa, 2.07

Kulisy puczu



Czy Prigożyn zamierzał pojąć generałów Putina, ale rosyjskie służby specjalne odkryły przygotowania?

Czytaj ► Wyborcza.pl

W poniedziałek „Duży Format”

Artyści w biedzie. „Mam wyliczone na jedzenie”

Aktor: „Pracowałem za 400 złotych netto za miesiąc”.

Aktorka: „Nie starcza mi na życie. Dorabiam w sklepie z butami”

Reportaż Marcina Wójcika



ZAPACH WOLNOŚCI MARTYNY WOJCIECHOWSKIEJ



„Natura daje wolność, a żywioły drzeмиą w każdym z nas. Warto je w sobie odkryć” - mówiła Martyna Wojciechowska podczas premiery swojego najnowszego projektu. Dziennikarka i podróżniczka razem z marką jubilerską W.KRUK stworzyła kolekcję inspirowanych żywiołami świata perfum Freedom AIR, EARTH, FIRE, WATER oraz jedwabne chusty.

Inspiracje Martyny na język zapachów przeniósł dla W.KRUK Jakub Pietrynka, niezależny perfumiarz. „Natura jest pełna niepowtarzalnych zapachów, a jednym z najważniejszych zmysłów człowieka jest węch. Jak pachnie powietrze, ogień, ziemia czy woda? To tajemnica, którą pomagał mi odkryć perfumiarz Jakub Pietrynka. Żywioły zamknięte we flakonach W.KRUK to efekt naszych wielogodzinnych dyskusji, długich poszukiwań odpowiednich składników i testowania wielu kompozycji. A także odkryć i inspiracji, często bardzo nieoczywistych, zmiennych i zaskakujących jak same żywioły. To próba utrwalenia ulotnych zapachów świata. Wierzę, że każde z perfum, które powstały, kryją w sobie energię i moc żywiołu, który reprezentują” - opowiadała podczas warszawskiej premiery Martyna Wojciechowska.



Rozmowy o powstawaniu kolekcji Freedom, od lewej: Justyna Pochłódka-Poziomek (W.KRUK), Joanna Andrzejewska (W.KRUK), Martyna Wojciechowska oraz Jakub Pietrynka (perfumiarz)

Kolekcji perfum towarzyszy premiera jedwabnych chust Freedom, na których również odnaleźć można symbolikę 4 żywiołów świata. Zapisano je na siatkach topograficznych ważnych dla podróżniczki miejsc, takich jak Everest (Freedom AIR), Przylądek Dobrej Nadziei (Freedom EARTH), Sahara (Freedom FIRE) oraz Antarktyda (Freedom WATER). Chusty zaprojektowane przez W.KRUK uszyto w Milanówku, w manufakturze Jedwab Polski.



Perfumy Freedom dostępne są w sklepach W.KRUK w całej Polsce, a chusty w wybranych salonach
Martyna Wojciechowska i jedwabna chusta EARTH, na której zapisano linie topograficzne Przylądka Dobrej Nadziei



Na premierze perfum i chust była obecna Justyna Szyk-Nagłowska

Na tle jedwabnych chust Freedom, od lewej: Magda Lamparska i Beata Ścibakówna

Polska produkcja i szacunek dla rzemiosła to tylko wybrane z aspektów, na które W.KRUK kładzie nacisk. Perfumy Freedom stworzone przez Wojciechowską są uniwersalne, a ich idea inkluzyjna. Każdy z zapachów określony jest jako neutralny płciowo (unisex). Jest to zgodne z polityką różnorodności, prowadzoną przez firmę. Ponadto, w trosce o środowisko, opakowania perfum Freedom zostały wykonane z papieru posiadającego certyfikat FSC, gwarantujący, że surowiec wykorzystany do ich produkcji pochodzi m.in. ze zrównoważonej gospodarki drzewnej.



WZLOT I UPADEK

Putin wie, że naród nie szanuje cara, który nie ma dość śmiałości, by kaźnić zdrajcę. Nie na darmo utrzymuje laboratoria trucizn, watahy skrytobójców

Wacław Radziwinowicz

Nie sobotni zbrojny rajd „dyrygenta Lucyfera” (tak Prigożyna nazywa się w popularnej piosence) nie zaskoczył. Również miesiąc wcześniej pisałem w „Wyborczej” o jego „otwartym buncie” przeciwko dowództwu armii. O tym, że jesteśmy „blisko otwartego buntu”, ostrzegałem też 12 czerwca. Bunt się stał. I okazał się na tyle dziwny, że świat pyta teraz: co to w ogóle było?

NIE SZEDŁ PO PUTINA

Szef wagnerowców nie szedł z Rostowa nad Donem po Putina. Po kogo sięga, wyraźnie powiedział to jeszcze w maju po wzięciu Bachmutu.

Wtedy, stojąc w pozie zwycięzcy na tle ruin miasta, nagrał dwa manifesty – jeden przeznaczony dla szerokiej publiczności (przede wszystkim dla coraz ważniejszego w Rosji środowiska domagających się przestawienia kraju na tory wojenne „tur-bopatriotów”), a drugi dla telewizji.

Ten drugi ograniczył się do używanego dla cenzurowania wypowiedzi dźwięku „piii”, bo i słowo, którym się Prigożyn posługiwał, było bardzo grube, a i brutalnej krytyki dowództwa armii propaganda kremlowska strawić by nie mogła.

W przesłaniu, które rozkolportowały liczne prigożynowskie media interneto-

we, mówił o wzięciu miasta: „Tu była tylko Prywatna Spółka Wojskowa »Wagner«. Nikt nam nie pomagał”. A jego ludzie walczili nie tylko z Ukraińcami, o których wyrażał się z szacunkiem. Drugim wrogiem stojącym przeciw jego „chłopcom” była „biurokracja, szczególnie ta z ministerstwa obrony, która wojny nie traktuje poważnie”. Z nazwiska wymienił szefa resortu Siergieja Szojgu i szefa Sztabu Generalnego Walerija Gierasimowa. Zapowiedział, że „mamy listy tych, którzy nam pomagali, i tych, którzy działali przeciwko nam”. Już wtedy zapowiedział, że ci drudzy – „zdraycy”, przez których w czasie szturmów Bachmutu „zginęło pięć razy więcej chłopców, niż powinno było, zostaną rozliczeni”.

On groził biurokratom z „arbackiego okręgu wojskowego” (tak ironicznie w armii określa się ministerstwo obrony, położone w okolicy moskiewskiego Arbatu) jeszcze w kwietniu, kiedy też zapowiadał rozprawę:

„Patrioci pragną sprawiedliwości. A to może boleśnie odczuć to właśnie głębokie państwo, które grzęźnie w luksusie i biurokracji”.

Zastrzegł jednak wtedy wielkodusznie, a potem konsekwentnie powtarzał, że „najwyższej władzy” nic nie grozi, jako że ona „jest symbolem jedności narodu i sprzeciwu wobec Zachodu”.

On szedł na Moskwę po Szojgu, Gierasimowa, innych generałów, rzekomych „liberałów” w rządzie, których, jak groził, miał na placu Czerwonym czy to podnieść na szubienicach, czy to zgodnie z bliską mu tradycją kryminalną „opuścić”, czyli gwałtem homoseksualnym uczynić pogardzanymi pariasami. Cóż, taki ma styl.

RACHUNKI KRZYWD I ZAWIŚCI...

...są w przypadku Prigożyna i jego wrogów z wielkimi gwiazdami generałów armii na pagonach długie i stare.

O tym, że oni skazali jego „orkiestrę” na „głód amunicyjny”, nie dając im tylu pocisków i sprzętu, ile on żądał, co rzekomo

sprawiło, że wagnerowcy ponosili na froncie ogromne straty, wiadomo powszechnie. O zawiści, z jaką po zdobyciu „bachmuckiego Reichstagu” palają do nowego samowarzącego „marszałka zwycięstwa Żukowa” – też.

Ale powody złości były głębsze, bo finansowe. „Kucharz Putina”, korzystając z jego protekcji, tuczył się na wielce dochodowych kontraktach z wojskiem. Jego firma karmiła ponadmilionową armię w koszarach i na froncie. Koszary budowała, sprzątała, opierała.

On brał za to pieniądze i wbrew wielowiekowej tradycji biurokratycznej Rosji się nie dzielił. Brał więc, jak to określał Gogol, „niezgodnie z rangą”.

A noszący złote pagony biurokraci też się rwali do tego koryta. Niedawno Prigożyn wyciągnął kwity dowodzące, że specjalnie podnieśliienne stawki żywnościowe dla żołnierzy na froncie, żeby miał z czego się z nimi dzielić.

I jeszcze Syria. Tam wagnerowcy robili duże pieniądze na ochronie pól naftowych, ale ich dyrygent dzielił się tylko z kumplami i tych właśnie współników ostatnio próbował zainstalować na wysokich stołkach w resorcie obrony.

Ludzi z „arbackiego okręgu wojskowego” tak od dawna świerzyły ręce, że pięć lat temu z premedytacją podstawili w Syrii najemników Prigożyna pod ogień Amerykanów. Kiedy wagnerowcy szli na Dair az-Zaur obsadzony przez oddziały wspierane przez armię Stanów Zjednoczonych, dowódcy amerykańscy pytali kolegów rosyjskich, co to za formacja, a ci cynicznie zapewnili, że nie mają z nią nic wspólnego. Wtedy lotnictwo USA na otwartej pustyni zmasakrowało najemników z Rosji, zabijając co najmniej 200 ludzi.

Ostrzelanie wagnerowców odchodzących ze zdobytego Bachmutu przez oddziały regularnej armii Rosji, minowanie ich drogi nie było więc czymś nowym, tylko powtórką z tego, do czego doszło nad Eufratem. Piątkowy atak rakietowy wojsk rosyjskich (jeśli rzeczywiście był, bo ministerstwo obrony upiera się, że nie) na obozy wagnerowców pod Ługańskiem, który miał sprowokować Prigożyna do marszu na Mo-

skwę, byłby kontynuacją tradycji strzelania do swoich towarzyszy broni – najemników.

SPRYWATYZOWAĆ ARMIE

„Dyrygent” jeszcze miesiąc temu podsuwał Putinowi sposób rozwiązania konfliktu.

Wyszedł z bezzcelną, ale chyba kuszącą propozycją czegoś w stylu sprywatyzowania armii. Według niego poprawić sytuację na froncie można byłoby (po usunięciu nieudolnych i wręcz szkodliwych Szojgu i Gierasimowa), instalując na stołku ministra obrony gen. Michaiła Mizincewa (były wiceminister obrony, teraz jeden z komentatorów Wagnera), a szefem Sztabu Generalnego czyniąc gen. Siergieja Surowikina.

Obaj poza doświadczeniem bojowym mają tę zaletę, że razem z „kucharzem Putina” robili ciemne interesy na wojnie w Syrii. Gierasimow kupił willę w Soczi wartą tyle, że musiałby na nią odkładać swój cały żołd, tocząc wojnę trzydziestoletnią.

Poza swoimi kandydatami na kluczowe pozycje Prigożyn podsuwał głównodowodzącemu jeszcze jeden bardzo atrakcyjny aktyw. Siły Zbrojne Rosji po półtora roku wojny cierpią na ostry deficyt oficerów. Na froncie brakuje dowódców (dziś kompaniami dowodzą sierżanci), a na tyłach – fachowców do szkolenia zmobilizowanych.

Prigożyn kusił, że ma (i chyba naprawdę ma) 6 tys. doświadczonych ludzi, którym od razu można powierzyć czy to kompanię, czy to batalion. Starczyłoby ich na cały kontyngent biorący udział w walkach.

Kadry, jak mawiał Stalin, decydują o wszystkim. Gdyby propozycja „dyrygenta” została przyjęta, to czynna armia i ogromne pieniądze, jakie ona pochłania, przeszłyby pod jego kontrolę. Wtedy stałby się bardzo ważną figurą polityczną w Moskwie.

TO BYŁA „RAZBORKA”

To, co zamyślał Prigożyn, ruszając na Moskwę, on sam pewnie nazywał, używając bliskiego mu błatnego żargonu, „razborką”. Mówił zresztą, że idzie do stolicy, „razo-

eprasa.pl 9df94bfb63



JAKA WOJNA, TACY GIEROJE

**Nagłówki rosyjskich gazet:
„Wagnerowiec z obwodu
kirowskiego zadłgał sta-
ruszkę”, „pijany ochotnik
z Zawołża zabił żonę na
oczach dzieci”, „żołnierz po
powrocie zastrzelił żonę”**

Wiktorija Bieliaszyn

Dla Iwana Lewankowa wojna trwała krótko. Rosyjski lejtnant zginął w Charkowie pierwszego dnia inwazji na Ukrainę, miesiąc po dwudziestych piątych urodzinach.

Pierwsza kula szczęśliwie trafiła w mocny hełm, który miał na głowie. Druga, która nadleciała kilkanaście sekund później, w tętnicę szyjną. Trzy miesiące później żołnierz został pochowany w rodzinnym obwodzie smoleńskim. Pogrzeb nie był państwową uroczystością. Mszę odprawił batiuszka z jednej z okolicznych wsi. W ceremonii nie brali udziału przedstawiciele władz, nie napisano o niej w lokalnej gazecie. Na oficjalnym portalu miasta próżno szukać jakiegokolwiek wzmianki czy fotografii. Deputowani państwowej i lokalnej Dumy, zastępcy gubernatora, pomniejsi urzędnicy pytani o żoł-

nierza przez dziennikarzy wzruszali ramionami: „nigdy o nim nie słyszeli”.

Tylko dzięki krótkiej, zajmującej około tysiąca znaków ze spacjami wzmiance zamieszczonej w sieciach społecznościowych wiadomo, że rosyjskie władze odnotowały fakt istnienia Iwana Lewankowa. „Dobrze radził sobie w szkole, wstąpił do Akademii Wojskowej Obrony Powietrznej w Smoleńsku, a po jej ukończeniu służył w jednostce wojskowej nr 29760 w Łudzie, w bólu i żalu pozostawił matkę i siostrę”. Jak zginął? I czy władze odnotowały, że to z ich powodu umarł? O przyczynie śmierci poinformowano lakonicznie: „Zginął na służbie, wypełniając wojskowy obowiązek względem ojczyzny”.

O tym, jak i dlaczego zginął Iwan Lewankow, pamiętają i mówią inni. Niewykluczone, że jest dzisiaj jedynym rosyjskim żołnierzem, o którym ukraińskie media nie pisały jak o „orku” czy „okupancie”. I w którym co najmniej jedna Ukrainka zobaczyła pewnie nie bohatera, ale człowieka.

Tą Ukrainką jest 29-letnia Karolina Perlifon. 24 lutego 2022 r. kobieta akurat wracała z matką do rodzinnego Charkowa, kiedy ich samochód ostrzelali rosyjscy wojskowi. By się ratować, charkowczanki skręciły w mijaną uliczkę i opuściły pojazd w nadziei, że Rosjanie, widząc cywili, wstrzymają ogień. Nic z tego. Perlifon wspomina, że w pewnym momencie podbiegło do nich dwóch rosyjskich żołnierzy. – Chodźcie z nami, schowamy się tam! – krzyknęli,

wskazując betonowe kłocę. Lewankow, widząc, że ostrzał przybiera na sile, a kryjówka może się okazać niewystarczająco bezpieczna, osłonił Karolinę własnym ciałem, a w kierunku, z którego nadlatywały kule, wielokrotnie krzychał: „To swoi! Nie strzelaj!”. To były jego ostatnie słowa.

Półtora tygodnia później Siły Zbrojne Ukrainy opublikowały nagranie z przesłuchania Walerego Wasiljewa, żołnierza, który ukrywał się przed ostrzałem z Karoliną, jej matką i Lewankowem. Wojskowy przyznał, że ludność cywilną ostrzeliwała rosyjska, a nie, jak usiłowała to przedstawić kremlowska propaganda, ukraińska armia. – Zastępca dowódcy rozkazał strzelać w cywilów. Kiedy zorientował się, że usiłujemy im pomóc, kazał strzelać i do nas. Lejtnant i matka tej kobiety zginęli – zeznał. – Zginął, ratując nas. Ten żołnierz był z nami i został rozstrzelany przez swoich. Łatwiej jest im go zakopać tak, by nikt o nim nie wiedział i nie pamiętał – podsumowuje Ukrainka.

I ma rację. W tej wojnie Rosja odznacza, czci i upamiętnia „bohaterów”, ale ani przeszłość, ani „dokonania” któregośkolwiek z nich w żadnym stopniu nie przypominają historii Lewankowa.

Przyznany przez prezydenta Rosji medalem za odwagę pośmiertnie odznaczony został inny Iwan. Z aktu zgonu wynika, że mężczyzna zginął 5 sierpnia 2022 r. w okolicy Bachmutu w obwodzie donieckim. Jako bezpośrednią przyczynę zgonu podano „ranę postrzałową

głowy”. Jedenaście dni później, 16 sierpnia, Putin odznaczył trzydziestoczteroletniego Iwana Neparatowa medalem „za odwagę i bohaterstwo wykazane podczas wykonywania zadań specjalnej operacji wojskowej” oraz Orderem Odwagi. Być może nie byłoby w tym nic specjalnie szokującego, gdyby nie fakt, że o tym samym mężczyźnie dziewięć lat wcześniej państwowe media pisały: „Bandyta, lider przestępczej grupy Iwan Neparatow został skazany na dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności. Przestępca dopuścił się serii zabójstw, napaści i kradzieży. Osobiście zabił trzech swoich znajomych, wykorzystując broń palną i pneumatyczną, a także mundur funkcjonariusza policji”.

Jak to możliwe? Niezależne media ujawniły, że trafił na front prosto z więzienia. Podobnie zresztą jak, według szacunków obrońców praw człowieka, ponad 50 tysięcy innych osadzonych. W kolonii karnej o zaostrzonym rygorze Neparatow odsiedział zaledwie połowę wyroku. W zamian za złożoną przez Jewgienija Prigożyna obietnicę uzyskania amnestii oraz naajemniczą pensję podpisał kontrakt z Grupą Wagnera, by grabić i zabijać – tym razem za przyzwoleniem państwa i w prawdziwym mundurze. Plan się jednak nie powiódł. Olga Romanowa z niezależnej organizacji Ruś Siedząca, zajmującej się ochroną praw więźniów, zwraca uwagę, że los Neparatowa podzieliła większość więźniów zwerbowanych przez Prigożynę. Najwięcej z nich zginęło w okolicach Bachmutu i innych miast w Donbasie.

Dlatego podobnych historii jest wiele. Wśród najnowszych, odznaczonych państwowymi medalami bohaterów wojennych nie brakuje więźniów skazanych wcześniej za „ciężkie i szczególnie ciężkie przestępstwa”. Z czerwcowego śledztwa BBC wynika, że obecnie „typowym rosyjskim żołnierzem” poległym w Ukrainie jest były więzień, mniej więcej 34-letni, bez stopnia i bez doświadczenia wojskowego. Jack Watling, ekspert z brytyjskiego Królewskiego Zjednoczonego Instytutu Studiów Obronnych, mówi wprost: – Są jak zamachowcy samobójcy. Wysyłają ich na przód, spodziewając się, że zostaną zabici.

Nieco więcej na temat profilu dzisiejszego, typowego rosyjskiego żołnierza mówią nam słowa założyciela Grupy Wagnera. Prigożyn, który zanim popadł w nielaskę, zajmował się rekrutacją w koloniach karnych, w lutym charakteryzował idealnego kandydata do grupy najemniczej tak. „Wzorcowym najemnikiem byłby, powiedzmy, Ilja Muro-miec z zastrzonego reżimu, nie pierwszy raz skazany, wiek 30-45 lat, silny, pewny siebie, wytrzymały, najlepiej już po 15 lub więcej latach odsiadki, najlepiej z 15 lub więcej latami do odsiadki, najlepiej więcej niż raz za zabójstwo, ciężkie uszkodzenie ciała, rozbój, włamanie. Jeśli wpierdolił komuś z administracji więzienia lub policji, jeszcze lepiej. Potrzebujemy kryminalnych talentów”.

Przedstawiciele oficjalnych władz również dali temu wyraz. W czerwcu tego roku zaczęły się prace nad projektem ustawy, która pozwoli na zwolnienie z odpowiedzialności karnej skazanych, a także oskarżonych i podejrzanych o popełnienie przestępstw, o ile zgodzą się walczyć przeciw Ukrainie. Projekt ustawy przeszedł już pierwsze czytanie w Dumie Państwowej. – W przyszłości cywile będą mogli popełniać drobne i średnie, a wojskowi nawet szczególnie ciężkie przestępstwa, by następnie, po wzięciu udziału w wojnie, otrzymać nagrodę państwową oraz amnestię – wyjaśnia Denis Dmitrijew z Meduzy, jednego z najważniejszych rosyjskich niezależnych tytułów.

Już teraz mimo kartotek o wielu z tych, którzy zginęli na froncie, państwowe media mówią jak o bohaterach „broniących ojczyzny”. A przedstawiciele władz dokładają starań, by niektórzy z nich byli chowani z honorami w „alejach sławy”. W grudniu przywódca wagnerowców osobiście zwrócił się do przewodniczącego Dumy państwowej Wiaczesława Wołodina z żądaniem, by polegli najemnicy byli chowani „z należnymi honorami”, by „utrwalić pamięć o tych, którzy zginęli za swój kraj”. Spotkał się nie tylko z pozytywną reakcją, ale i gorącym poparciem. – Bohaterowie muszą zostać pochowani godnie i w chwale – odpowiedział Wołodin.

Tak było w przypadku 55-letniego Aleksandra Romanowskiego, który w momencie wstąpienia w szeregi Grupy Wagnera odbywał wyrok 22 lat pozbawienia wolności za zabójstwo, rabunek i nielegalne posiadanie broni. – Liczył, że powalczy i po pół roku będzie wolny. Nie wyszło – mówił mediom jego brat, który dziś odwiedza grób w Alei Bohaterów jednego z petersburskich cmentarzy. „Prigożyn osobiście złożył kwiaty na grobie poległego, by w ten sposób oddać hołd ludziom, którzy z bronią w ręku gotowi są na śmierć za Rosję”, opisywała służba prasowa szefa Grupy Wagnera.

Niektórzy „bohaterowie” mogą liczyć na jeszcze większe wyróżnienie. Np. na uwagę samego Nikity Michalkowa, niegdyś wybitnego reżysera, twórcy słynnych rozliczających się ze stalinizmem „Spalonych słońcem”, dzisiaj gorliwego propagandysty i Wielkorusa. „Niespokojny chłopiec Kostia”, tak Michalkow mówił o 26-letnim Konstantynie Tulinowie z Sankt Petersburga w swoim programie Biesogon TV, emitowanym przez państwową tele-

wizję. Czołowy rosyjski twórca z rozrzeniem przedstawiał „niespokojnego Kostię”, chłopca, który „w szkole podstawowej grał w piłkę, zdobywał nagrody, rysował, a później, w wieku szesnastu lat, zboczył ze słusznej drogi”.

Poskutkowało to siedmioma wyrokami: za przestępstwa narkotykowe, rozboje, kradzieże i usiłowanie zabójstwa. Z opowieści reżysera wynika, że wrócić na ścieżkę sprawiedliwości Tulinowowi pomogła dopiero „specjalna operacja wojskowa” i wstąpienie do Grupy Wagnera. Zginął w niej co prawda, ale jego heroiczny gest, polegający na „wysadzeniu się razem z grupą Ukraińców”, został doceniony, a sam Kostia – odznaczony pośmiertnie medalem „Za Odwagę”. – Chciał odpokutować za swoje poprzednie życie, a państwo odpowiedziało, dziękując mu za jego wyczyn – podkreślał Michalkow.

Część Rosjan zgadza się z Michalkowem i wyraża nawet oburzenie, jeśli najemnicy, którzy, cytuje Meduza, „odkupili grzechy krwią przelaną w Ukrainie”, nie zostaną pochowani, jak na bohaterów przystało. Ale nie wszyscy. Dziennikarze „The New York Times” opisywali historię z Kraju Zabajkalskiego, gdzie mieszkańcy „nie mogli się porozumieć” co do tego, czy poległy najemnik Nikita Kasatkin powinien zostać pochowany „z honorami”, czy bez. 21-letni mężczyzna został skazany w 2020 r. na 10 lat kolonii karnej o zastrzonym rygorze pod zarzutem zabójstwa. Sąd uznał, że Kasatkin jest winny „zabicia mężczyzny, dżgając go dziewięć razy nożem w stanie upojenia alkoholowego”. – Połowa wioski mówi: „Jak to? Teraz będziemy robić bohaterów z morderców?”. A druga, że przecież walczył o ojczyznę w „specjalnej operacji wojskowej”. Wioska jest podzielona na dwa obozy, które toczą między sobą bitwy – mówiła mediom przewodnicząca lokalnych władz Alona Kogodiejewa.

Czy po niesfinalizowanym puczu Prigożyna szeregi hołubionych bohaterów i weteranów wojny nadal będą zasilać wagnerowcy? – Raczej nie, chyba że wykażą się wyjątkową lojalnością wobec ministerstwa obrony i zdołają przekonać do siebie przedstawicieli władz nieufnie odnoszących się teraz do wszystkich, którzy składali przysięgę Prigożynowi – wyjaśnia rosyjski dziennikarz śledczy, prosząc o anonimowość.

Wypowiedzi wagnerowców, do których udało się dotrzeć niezależnym mediom, pokazują, że nawet w ich szeregach nie ma jedności. Lilia Japparowa, dziennikarka Meduzy, kontaktując się z informatorami z Grupy Wagnera w czasie buntu, cytowała jednego z nich: „Prigożyn nas nie wtajemniczył. Jestem w szoku. Jak w tej sytuacji odróżnić, gdzie swoi, a gdzie obcy? Przecież Prigożyn był u szczytu popularności, był bohaterem. Po co mu to wszystko?”. Inny najemnik, w momencie „marszu sprawiedliwości” przebywający w rezerwie, miał ze spokojem powiedzieć: – Czekaemy na rozkaz od bati.

Nic dziwnego, że pytanie o przyszłość najemników zastanawia coraz większą

liczbę komentatorów. O tym, jak po nieudanym buncie Prigożyna postrzegani są przez władze wagnerowcy i czego mogą się spodziewać, świadczą doniesienia niezależnych mediów. Udało im się ustalić, że w czasie, kiedy szef wagnerowców kroczył w „marszu sprawiedliwości” na Moskwę, funkcjonariusze FSB i innych organów siłowych przeprowadzili serię rewizji w dzielnicach miast. Uzbrojeni siłowicy szukali nie tylko obecnych, ale i byłych najemników, grożąc ich rodzinom. – Mężowi powiedzieli, że jeśli złoży przysięgę Prigożynowi, stanie się zdrajcą ojczyzny, trafi do więzienia na 20 lat, a nasza rodzina nie będzie miała tu życia – opowiadała redakcji Ważnyje Istorii żona jednego z byłych wagnerowców.

Z opowieści innych wynika, że do podobnych „nalotów” doszło w Briańsku, Orenburgu, Orle, Woroneżu, Riazaniu i Krasnodarze. Byli najemnicy, którzy odmawiali podpisania gwarancji, że nie wrócą w szeregi Grupy Wagnera, zostali wtrąceni do aresztów śledczych.

Jeszcze w sobotę rano, kiedy niemal wszyscy obserwatorzy odliczali kilometry, jakie pozostały szpicy wagnerowców do pokonania na szosie do Moskwy, anoni-mowi informatorzy Meduzy twierdzili, że szanse na przyłączenie się regularnej armii do buntującego się Prigożyna są duże. „Armia została pompą do wysysania pieniędzy z budżetu. To jedno wielkie oszustwo, rekrutuje ludzi chorych, w wieku 50-60 lat. Szojgu jest lubiany tylko przez tych, którzy czerpią zyski, reszta mówi o nim źle”, mówił redakcji były wojskowy. Wtórował mu były biznesmen zajmujący się „prywatnymi kontraktami wojskowymi”: „Nikt ich nie będzie zatrzymywać, bo siłowicy i wojskowi absolutnie zgadzają się ze wszystkim, co mówi Prigożyn”.

Ale kiedy zapytałam Olgę Romanową, jak profesjonalni najemnicy traktują wagnerowców zwerbowanych w więzieniach, odpowiedziała: „Wykorzystują ich do rozbijania pól. Idą za nimi, mierząc z karabinów”.

Kto może liczyć w Rosji na święty spokój i gwarancję, że państwo nie będzie się nim interesować? Żołnierze regularnej armii, którzy wrócili z wojny żywi i w danym momencie nie są ministerstwu obrony potrzebni albo zostali mniej lub bardziej okaleczeni. Nimi nie interesuje się nikt.

Ilu ich jest? Tego nie wiadomo. W ubiegłym roku status „weterana wojennego” otrzymać miało 50 tysięcy Rosjan, ale obrońcy praw człowieka zwracają uwagę, że nie należy odnosić się do tej liczby. Po pierwsze, ze względu na wiążące się ze statusem „weterana” zobowiązanie państwa do wypłat świadczeń pieniężnych uzyskanie go jest żmudne i trudne. A po drugie, bo „weterani” często uznają, że im się to zwyczajnie nie opłaca. – Korzyści, jakie zapewnia ten status, nie są zbyt znaczące. W najlepszym przypadku to 4 tysiące rubli [190 zł] miesięcznie, pod warunkiem że odmówisz bezpłatnego zestawu usług: leków i transportu. Natomiast kolejka po mieszkanie jest bardzo długa. Obliczyli-

śmy, że weterani wojenni czekają na mieszkania całe dziesięciolecia, nawet pół wieku – mówiła w Current Time TV ekspertka Katia Boncz.

To oraz brak pracy, wsparcia, opieki psychologicznej i jakiegokolwiek pomocy sprawiają, że w rosyjskich mediach – tych działających partyzancko niezależnych i co odważniejszych lokalnych – wraz z rosnącą liczbą powracających wojskowych, coraz częściej pojawiają się niepokojące nagłówki. „Wagnerowiec z obwodu kirowskiego zadźgał staruszkę”, „pijany ochotnik z Zawolża zabił żonę na oczach dzieci”, „żołnierz po powrocie zastrzelił żonę”.

Skala zjawiska jest taka, że nawet państwowe media zaczynają – półgębkiem i bez komentarza – informować Rosjan o statystykach sądowych: oto w ostatnim roku nastąpił, po raz pierwszy od 20 lat, znaczny wzrost liczby brutalnych przestępstw i morderstw. Tych popełnionych z bronią w ręku tylko według oficjalnych danych było w 2022 r. o 30 procent więcej.

Kryminalna prasówka z Rosji na co dzień wygląda więc tak: „Taksówkarz zastrzelony w Rostowie nad Donem po tym, jak w rozmowie z przybyłym na urlop żołnierzem wyraził swoje poglądy polityczne i stosunek do wojny”; „W obwodzie kostromskim 23-letni wojskowy podpalił klub nocny, strzelając z broni palnej. Zginęło 13 osób”; „Trzej najemnicy z Grupy Wagnera, którzy wrócili z wojny, zaatakowali biznesmena. Mężczyźni grozili mu śmiercią, żądali, by przepisał na nich swój sklep i samochód”.

Psychiatrzy i psycholodzy zwracają uwagę, że na część tych zbrodni wpływ może mieć zespół stresu pourazowego. Z szacunków BBC wynika, że około 21 tysięcy Rosjan, którzy walczyli w Ukrainie, może cierpieć na PTSD. Rosyjskie władze nie mają im jednak zbyt wiele do zaoferowania. Na początku stycznia 2023 r. Rada Ministrów nie poparła projektu ustawy o bezpłatnej pomocy medycznej i psychologicznej dla weteranów wojennych. Rząd przypominał, że taka pomoc społeczna została już przewidziana w obowiązującym prawie. Ale, zwracają uwagę działacze, trudno ją uzyskać z powodu biurokracji.

Potwierdza to psycholog pracujący w jednym z rosyjskich szpitali. W rozmowie z dziennikarzami Ważnych Istorii ekspert, prosząc o anonimowość, przyznaje: – Mamy do czynienia z ogromną liczbą samobójstw wśród byłych żołnierzy, zwłaszcza tych, którzy trafili na wojnę w ramach mobilizacji.

W przypadku byłych więźniów sprawa często wygląda nieco inaczej. Wielu, podkreśla Olga Romanowa, nie jest przystosowanych do życia w społeczeństwie. Zdaniem byłego prokuratora, a dzisiaj obrońcy praw człowieka Aleksieja Fiediarowa, ci, którzy wrócą lub uciekną – często z bronią – z frontu, znacząco wpłyną na sytuację w Rosji. – Organy ścigania, które mamy, mogą walczyć z sytuacją tylko w jeden sposób: wypisując jeszcze więcej raportów. Nic więcej – tłumaczy. I dodaje: – W nadchodzących latach warunki dyktować będzie przestępczość zorganizowana.

Ale o przyszłości „bohaterów”, którym uda się wrócić z Ukrainy żywymi, mówi też na łamach redakcji Holod.media Rusłan Anarkulow, niegdyś walczący w Czeczenii, dzisiaj – antywojenny działacz i opozycjonista. – Ludzie, którzy wrócą z wojny rozpoczętej przez Rosję, przekonają się pewnego dnia, że nikt nie spieszy im z pomocą. Nie wiem, czego oni się spodziewają. Czy myślą, że wrócą jako bohaterowie? Że zostaną uhonorowani? Nie będą nikomu potrzebni. I tak jak weterani wojny czeczeńskiej, przy butelce, w swoim własnym towarzystwie, będą próbowali coś powiedzieć. I nikt ich nie wysłucha. ●



Rosyjskie media w 2013:

Lider przestępczej grupy Iwan Neparatow skazany na 25 lat. Dopusił się serii zabójstw, napaści i kradzieży.

Osobiście zabił trzech znajomych, wykorzystując broń palną.

2022: Iwan Neparatow odznaczony za bohaterstwo wykazane podczas specjalnej operacji wojskowej

Okolo 21 tysięcy Rosjan, którzy walczyli w Ukrainie, może cierpieć na PTSD – zespół stresu pourazowego

Jak Tusk i Sikorski oswoiili Putina

MINISTERSTWO GROŹNYCH MIN

Kto chce się hardo stawiać, walić pięścią w stół, powinien pracować jako wykładowca, a nie jako dyplomata

Z **JAROSŁAWEM BRATKIEWICZEM**, DYPLOMATĄ, BYŁYM DYREKTOREM DEPARTAMENTU WSCHODNIEGO I DYREKTOREM POLITYCZNYM MSZ, ROZMAWIA **BARTOSZ T. WIELIŃSKI**

Dzwoniłem pod pana stary numer z czasów, gdy pracował pan jeszcze w MSZ. Gdy wymówiłem nazwisko Bratkiewicz, mężczyzna po drugiej stronie linii zamarł, a potem się rozłączył.

– Tuż przed odejściem z MSZ napisałem list otwarty do pracowników. Ostatniego dnia udało mi się go rozesłać po najważniejszych departamentach jako pożegnanie i zarazem protest.

Napisałem, że od 2015 r. polityka zagraniczna RP brnie w jałowe awanturnictwo i hucpę, „patriotyczne” pozerstwo i karykaturalne strojenie groźnych min – ponoć w imię „podmiotowości” i „godności” Polski w świecie. Dodalem, że współczuję polskim dyplomatom za granicą, którzy współuczestniczą w tej błazenadzie. Od tego czasu w MSZ reaguje się nerwowo na moje nazwisko.

Ma pan jakiś kontakt z dawnym resortem?

– Żadnego. Nie licząc kolegów, których spotkał ten sam los co mnie.

Długo pan w pisowskim MSZ wytrzymał. Odszedł pan dopiero w 2021 r.

– To było życie w próżni. Wykonywałem czynności grubo poniżej możliwości. Przesiedziałem te sześć lat w różnych departamentach. Trochę wierzgalem. Na koncie miałem z siedem ostrzeżeń czy nagan za publikacje, głównie w „Wyborczej”, i za wydanie książki. Oczywiście przełożeni nigdy nie odważyli się udzielić mi nagany twarzą w twarz. Pewnie obawiali się mojej reakcji.

W końcu zostałem zarchiwizowany, czyli zesłany do archiwum. Stamtąd usunięto mnie na mocy znowelizowanej ustawy o służbie zagranicznej, która w trybie przymusowym kierowała na emeryturę dyplomatów, którzy ukończyli 65 lat.

Teraz w archiwum MSZ, z którego pana wyrzuciono, ryje Sławomir Cenckiewicz, związany z PiS historyk, który ma stanąć na czele komisji ds. badania wpływów rosyjskich. Co może tam na pana znaleźć?

– Nic. To, co byli w stanie znaleźć, już opublikowali. Wszystko, co pisałem, mieściło się w logice polityki zagranicznej prowadzonej w tamtym okresie. Nie proponowałem zawiązywania antypolskich spisków czy zawierania sojuszu z antychrystem.

Pójdzie więc pan przed jego komisję z czystym sumieniem?

– Mam czyste sumienie, oni raczej nie. Ta cała komisja to jakaś powtórka ze średniowiecza. Po pierwsze, łączy uprawnienia



śledcze z uprawnieniami sądowymi, co jest zupełnym wyrzeknięciem się zasad Monteskiusza. Po drugie: co to są te wpływy rosyjskie, które komisja ma wytropić? Czytałem tę ustawę, tam tego w ogóle nie zdefiniowano. Wychodzi na to, że chodzi o jakąś siłę mroczną i nieczystą. A jeśli tak, to będzie to komisja działająca wedle zasad sformułowanych w „Młocie na czarownicę” z XV w.

W pana życiorysie jest jednak rosyjski wpływ. W latach 80. studiował pan

**Putin najpierw sondował
różnego rodzaju rozwiązania
liberalne.**

**Ale uznał, że modernizacja
Rosji go przerasta**

w MGIMO, czyli w Moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych, słynnej kuźni kadr.

– Przecież to była bardzo dobra uczelnia, gdzie znakomicie uczono nie tylko języków obcych, ale także podstaw wiedzy humanistycznej oraz politologicznej. A także przekazująca pogłębioną wiedzę na temat regionu specjalizacji. Po wprowadzeniu stanu wojennego, będąc w wojsku, wystąpiłem z PZPR, a gdy powróciłem do cywila, wywalono mnie z pracy. Dzięki matce pracującej w PAN udało mi się zatrud-

nić w zakładzie badań orientalnych. Muszę przyznać, że wiedza, którą wyniosłem z MGIMO, pomogła mi sprostać wymogom pracy naukowej. Nieco później zacząłem też działać w solidarnościowym podziemiu wydawniczym.

Jak wyglądały studia w MGIMO? Czym nauka w ZSRR różniła się od nauki w Polsce?

– Przede wszystkim tym, że musieliśmy wręcz wkuwać dwa języki obce. Angielski lub francuski oraz język specjalizacji: azjatycki albo afrykański. W moim wypadku bengalski. Zajęcia z języków trwały po kilka godzin, dzień w dzień. Reszta wyglądała tak samo: wykłady, ćwiczenia, konwersatoria. Oczywiście była katecheza mark-

le się z czymś takim nie zetknąłem. Jestem czysty jak lza dziewicy.

Jesienią 2007 r. zmienia się w Polsce władza, 8 lutego 2008 r. premier Tusk jedzie z pierwszą wizytą do Moskwy. Ale przecież rok wcześniej na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium Putin wygrażał Zachodowi. Nie zapaliła się wam żadna ostrzegawcza lampka?

– Putin od początków rezydentury poszukiwał formuły na unowocześnienie Rosji. Zdawał sobie sprawę, że jego kraj tkwi w sowietyzmie. Mechanizmy ostały się te same, biurokracja poradziecka była wyjątkowo skorumpowana, rozzuchwalona i niesteralna. A w dziejach Rosji wielkie reformy szły z góry i biurokracja była głównym na-

cież władzę obejmował jako człowiek, który dążył do zakotwiczenia Rosji w Europie. W 2008 r. ten wariant nadal był aktualny, Putin się do niego odwoływał.

Myślę, że po pierwszych rozmowach z premierem Tuskiem zaczął sobie uzmysławiać, że współpraca z Polską to może być ciekawa i opłacalna opcja. Rosja do brze współpracująca z Polską może użyć w niej pewnego rodzaju życzliwego komentatora na forum unijnym. Polska może być tam dobrym tłumaczem poczynań Rosji. Życzliwe polskie oceny tego, co się w Rosji dzieje, oczywiście jeśli byłyby rzetelne i obiektywne, uwiarygodniłyby ekipę Putina.

Dla Rosjan w dyplomacji kapitalne znaczenie odgrywają relacje międzyludzkie.



Pisowcy nie rozumieją, że istotą historii jest zmienność.

Oni uważają, że historia przypisuje nam jakieś odwieczne role.

I Rosja została wykreowana przez Pana Boga jako gwałtownik, który zawsze będzie szkodził Polsce

Podstawową emocją w polityce jest zaufanie. Myślę, że taka atmosfera zaufania wytworzyła się między premierem Tuskiem i Putinem. Choć Putin miewał skłonności do prowokacyjnego zachowania, do wypowiedziania niekiedy myśli „nieuczesanych”. Zresztą dyplomacja rosyjska często tak się zachowuje, żeby sprawdzić swojego rozmówcę.

Jakiś konkretny przykład?

– Na przykład kwestionowanie państwowości ukraińskiej i jej integralności z aluzyjnym odwoływaniem się do polskości Lwowa. Strona rosyjska sprawdza wtedy, jak się do takiego podejścia odniesie Polska. Jeśli obróci w żart albo inteligentnie zareplikuje, to od razu zyskuje punkt, bo to znaczy: aha, ma charakter. Rosjanie chętnie sprawdzają takimi prowokacjami siłę charakteru swoich rozmówców, a jednocześnie ich dyplomatyczną elastyczność.

Jeśli widzą, że przed nim stoi blok betonowy – a tego rodzaju dyplomację reprezentują pisowcy – to nabierają przekonania, że taka dyplomacja nadaje się tylko do rozkucia młotem.

Jak można w kwestii rozbioru sąsiedniego państwa zachować się inaczej niż betonowo?

– Nie było mnie przy żadnej rozmowie, podczas której propozycje „rozbioru” mogłyby paść, nie zetknąłem się z żadnym dokumentem, w którym by je opisano. Ale znam dyplomację rosyjską na tyle, żeby wiedzieć, że oni niekiedy okazują złą wolę i wypuszczają prowokacyjny balon próbnym, by sprawdzić, jak zareaguje rozmówca. Gdy siedzący po drugiej stronie inteligentny człowiek wysłucha specyficznie przedstawionych rosyjskich racji, nie da się zastraszyć ani skusić zatrutą ofertą, umiejętnie ją odrzuci bez piany i awantur, to będzie dla Rosjan rekomendacja, by z krajem rozmówcy nawiązywać kontakty.

Rosjanie za pana czasów często bawili się w takie gierki?

– Stosunkowo rzadko. Obserwowałem przede wszystkim to, co się działo wokół ministra Radosława Sikorskiego. On na coś takiego od razu ripostował. A szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow to kuty na cztery nogi i dosyć brutalny dyplomata. On się nie boi mocnych słów, potrafi się

gnąć nawet po knajacki język. Obsobaczył przecież Davida Milibanda, ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii [„Kim ty, k..., jesteś, by mnie pouczać?” – pytał Ławrow Milibanda podczas telefonicznej rozmowy we wrześniu 2008 r.]. Ławrow nigdy na tego typu zachowanie nie pozwolił sobie w stosunku do Sikorskiego. Rolę odgrywała tu afgańska legenda naszego ministra. Rosjan ciekawiła jego droga życia. Oni lubią takie postacie, obieżyświatów, trochę awanturników, inteligentnych, błyskotliwych. Ale pieniaczy nie szanują, zwłaszcza gdy ci kurczowo trzymają się jakiejś jednej racji jak pijany płot.

Z szacunkiem i ciekawością podchodzili też do profesora Władysława Bartoszewskiego. Pierwszą rozmowę z szefem administracji prezydenta Federacji Rosyjskiej Igorem Iwanowem Bartoszewski zaczął od słów: „Gdy przekroczyłem bramę Auschwitz, to pierwszymi osobami, które spotkałem, byli jeńcy radzieccy. Od razu nawiązałem z nimi współpracę”. Iwanow zbaraniał. Siedział przed nim człowiek w wieku Matuzalema i mówił, że w KL Auschwitz dobrze współpracował z jeńcami sowieckimi, może w budowaniu jakichś struktur ruchu oporu, może przy więziennej samopomocy. Bartoszewski był kimś, a Rosjanie lubią ludzi z klasą.

Cenili niewątpliwie profesora Geremka z uwagi na jego opozycyjną kartę i dlatego, że był to człowiek właśnie wysokiej kultury intelektualnej, wielka osobowość. Oni cenią osobowości.

A jak widzą, że mają do czynienia z ćwierćinteligentem, to nie ma zmiłuj. Wtedy rozdeptują takie osoby. Widziałem to na przykładzie rozmowy Ławrowa z minister Anną Fotygą [szefowa polskiej dyplomacji w latach 2006-07]. Ławrow zachowywał się nawet szarmancko, ale w pewnym momencie zrozumiał, że tej rozmówczyni może wciskać największe dyrdymały. Przekonywał ją, że Gruzja sama chciała się przyłączyć do Związku Radzieckiego. Szepnąłem do siedzącej obok osoby ze świty Fotygi, by przekazała pani minister, że Sowietci w 1921 r. najechali Gruzję. A ona do mnie mówi: „Cicho, cicho, niech pan nie przeszkadza, bo mówi wielki dyplomata”.

Oni siedzieli, podkuliwszy ogony, po prostu bali się Ławrowa. A Rosjanie mentalnie wyczuwali, że ich rozmówca nie jest w stanie im się postawić, że głos mu więźnie w gardle, krople potu występują na czoło. Fotyga podczas rozmów z Ławrowem wyglądała jak osoba spanikowana. Wobec mioudoustego, znakomicie posługującego się angielszczyzną rosyjskiego dyplomaty dukala coś tam w szkolnej angielszczyźnie.

TVP emituje serial „Reset” o kulisach polityki rządu Tuska wobec Rosji. Padł zarzut, że ukryliście notatkę z wizyty premiera w Moskwie...

– Całą noc kopalem jamę w piwnicach MSZ, żeby dokument chytrze ukryć przed PiS. Swoją drogą nie wiem, o co autorom tego zarzutu chodzi, skoro w tymże odcinku „Resetu” pokazali notatkę informacyjną z wizyty premiera Tuska w Moskwie, sporządzoną w naszej ambasadzie – bowiem tylko przedstawiciele ambasady byli obecni przy rozmowach moskiewskich – zredagowaną przeze mnie i podpisaną przez ministra Sikorskiego. Ale można zasadnie jest zakładać, że prawdopodobność i rzetelność autorów serialu odpowiada wiarygodności „zamachu w Smoleńsku” – wszak ofiarom tego „zamachu” serial jest dedykowany.

To z czym Tusk leciał w 2008 r. do Moskwy?

– W 2007 r. myśmy zaczęli sygnalizować Rosjanom, że jeśli Rosja ustąpi w sprawie nałożonego rok wcześniej embarga na import mięsa z Polski, to my wycofamy się z wetowania nowego układu o partnerstwie i współpracy Unii Europejskiej z Rosją. Jednocześnie powiedzieliśmy Rosjanom, że np. możemy ustąpić w spra-



• Konferencja prasowa po spotkaniu ministrów Sikorskiego i Ławrowa, Warszawa, 2008 r. FOT. SEAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

stawowsko-leninowska, lecz traktowaliśmy to jak okresowe wezwania do gabinetu stomatologicznego.

A KGB nie interesowało się studentami z Polski?

– Nie. Wedle mojego rozeznania nikomu się nie przytrafiły próby nawiązania kontaktu przez sowieckie służby. Werbowaly, ale nader wybiórczo, tylko specsłużby PRL, i to po studiach i powrocie do Polski. No, chyba że na studia już ktoś przyjechał wcześniej zwerbowany. Ja jednak w ogó-

rzędziem, za którego pośrednictwem oświecony władca wprowadzał nowe porządki. Tak było za Piotra Wielkiego i Aleksandra II. Zaś Putin się miotał, szukając rozwiązania, był podatny na różne sugestie. I byli tacy, którzy suflowali mu radziecki sposób postępowania i zachęcali go do takich wystąpień jak wojownicze przemówienie monachijskie w 2007 r. czy wojna w Gruzji. Chociaż pamiętajmy, że Gruzja dała się sprowokować, zadziałała porywczo i nieudolnie.

A jednocześnie Putin sondował różnego rodzaju rozwiązania liberalne. Prze-

wie członkostwa Rosji w OECD, Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju. Uważaliśmy, że przecież w naszym interesie jest, żeby Rosja dołączyła do organizacji cywilizowanego świata, która narzuca członkom wysokie standardy i egzekwuje ich poszanowanie.

Doszło więc do wymiany życzliwych sygnałów. Miesiąc później bardzo dobrą wizytę w Moskwie miał minister Sikorski. Pamiętam, że Ławrow – i to nas nawet trochę zaskoczyło – powiedział, że w istocie oni nie mają problemu z amerykańską tarczą antyrakietową w Polsce. Przed latem 2008 r. do Moskwy poleciał jeszcze wiceminister Witold Waszczykowski, a ja mu towarzyszyłem, na rozmowy w sprawie tarczy. Rozmowa w Moskwie była zupełnie taka otwarta, czuło się, że Rosjanie chyba otrzymali instrukcje, że z Polakami warto rozmawiać sensownie, szukać wspólnych punktów, unikać prowokacji, zaczepki. To był początek odwilży.

Poleciał pan z Waszczykowskim do Moskwy, a on już jako szef MSZ ujawniał notatkę, którą pan sporządził przed wyjazdem. W dokumencie „Tezy o polityce RP wobec Rosji i Ukrainy” krytykował pan, że za rządów PiS „wskutek niepogłębianych analiz i ocen, a także nierzadko demagogicznych sądów” utarł się „określony kanon postrzegania i przedstawiania Rosji i Ukrainy oraz celów polskiej polityki w odniesieniu do obu tych krajów”. Że Rosja jest odwiecznym wrogiem Polski, a nasza polityka wobec Rosji i pozostałych państw poradczeckich „ma charakter gry o sumie zerowej”. „Albo bowiem wspieramy niepodległość tych państw na drodze ich aktywnego przyciągania do Polski i za naszym pośrednictwem do Zachodu, albo wdając się w kontakty z Rosją, faktycznie żyrujemy imperialną i agresywną politykę Kremla”. Waszczykowski uznaje to za dowód zdrady.

– Podtrzymuję to, co wtedy napisałem. Dziś to oczywiście nieaktualne tezy, miał miejsce proces historyczny. Pisowcy kompletnie nie rozumieją, co to jest historia, że jej istotą jest zmienność, rozwój albo regres. Oni uważają, że historia przypisuje nam jakieś odwieczne role, które odgrywamy w nieskończoność. I Rosja została wykreowana przez Pana Boga jako gwałtownik, który zawsze będzie mącił i szkodził Polsce.

Kijów już dawno sobie uświadomił, że Polska nie ma takich wpływów w Unii i w NATO jak kiedyś

Uważałem takie myślenie za balamutne i po prostu głupie. Gdy pod koniec 2007 r. objąłem stanowisko dyrektora departamentu wschodniego, to zauważyłem, że o ile kontakty z Ukrainą, Gruzją, Mołdawią, innymi państwami postsowieckimi były całkiem rozwinięte, zwłaszcza jeśli chodziło o Ukrainę – był duży ruch w interesie, ale jednocześnie niemało problemów – o tyle stosunki z Rosją były zaniedbane. Obowiązywało podejście, że Rosja to kraj niebezpieczny, że lepiej nie wkładać ręki w tę otchłań, bo może ją złapać jakaś siła nieczysta i wciągnąć w odmetę.

Wobec Rosji nigdy nie wyznawałem takich zabobonów. Widziałem, że Rosja miała się w poszukiwaniu nowej formuły tożsamościowej, widać było wtedy dążenie do modernizacji. Uznałem, że warto do wartościować stosunki z Rosją, bo nie może być tak, że współpracujemy znakomi-

cie z Ukrainą, a stosunki z Rosją leżą odłogiem, mimo że to wielki kraj, który ma olbrzymi potencjał, a przy tym Zachód uznaje Rosję za znaczącego gracza w życiu międzynarodowym.

W 2010 r. opublikowałem w „Wyborczej” tekst, w którym udowaadniałem, że nasze relacje z państwami Europy Wschodniej powinny być jak naczynia połączone, w których poziom cieczy jest równy, bo wówczas część naszych wschodnich sąsiadów zmierzała ku Europie i myślała nawet o członkostwie w UE, korzystając z dobrodziejstw Partnerstwa Wschodniego. Ale też Rosja wtedy chciała się wiązać z Europą, zabiegała o dialog polityczny z Unią. Życzliwie reagowała na zgłoszoną w 2008 r. niemiecką propozycję unijno-rosyjskiego partnerstwa na rzecz modernizacji. Wtedy nie widać było kolizji między aspiracjami nierosyjskich państw Europy Wschodniej a dążeniami Rosji.

Historię relacji z Rosją można opisać jako ciąg kolizji. 2006 r. – morderstwo dziennikarski Anny Politkowskiej, rok później Putin wygraża Zachodowi w Monachium, w 2008 r. najeżdża Gruzję, w 2011 r. rozbija opozycję, w 2014 r. odrywa od Ukrainy Krym i fragment Donbasu.

– Z polskiej perspektywy to, co się działo między Polską a Rosją w latach 2008-10, było jednak sukcesem. 7 marca 2010 r. w obecności premiera Tuska na cmentarzu katyńskim Putin przyznaje, że za mord na polskich oficerach odpowiadają Sowietci, i prosi o przebaczenie. Czy myśli pan, że wtedy Putin wciskał nam kit i już planował aneksję Krymu i najazd na Ukrainę? Przecież to nonsens.

Owszem, politykę przygotowuje się w różnych wariantach, szczególnie dotyczy to państw na rozdrożu, a takim krajem była Rosja. Chciała pójść drogą unowocześnienia, ale się nie udało. I Putin uznał, że trzeba wrócić na stary kurs. Tę zaś drogę wytycza logika brutalności i bezwzględności.

Dlaczego Putin zaczął zrywać więzi z Zachodem?

– Uznał, że sprawa modernizacji Rosji go przerasta, że drugim Piotrem Wielkim się nie stanie. Odpuścił sprawę, stchórzył. Dlaczego? Głównie dlatego, że uzmysłowił sobie, iż biurokracja rosyjska jest na ty-

le krnąbrna, na tyle nieoperatywna i niekontrolowana, że nie może liczyć na lojalne wykonywanie jego poleceń. Że jego najsmądrejsze pomysły zostaną wynaturzone, zdeformowane podczas realizacji.

Po drugie, Putina poważnie przestraszyła arabska wiosna w 2011 r. Wówczas w Rosji odbywały się wybory, ludzie ostro protestowali przeciwko władzy. Putin zaś był chorobliwie uczulony na tzw. kolorowe rewolucje, wcześniej w Gruzji i Ukrainie, które wywoływały u niego lęk i agresję. Uznał więc, że te wszystkie jakieś liberalne pomysły na rządzenie krajem są niesolidne i zawodne, że trzeba się trzymać utartej imperialnej perci.

Trzecia rzecz to niezadowolający stan stosunków unijno-rosyjskich.

Zaraz, zaraz. Przecież wiele krajów Zachodu miało doskonale relacje z Rosją.

A Berlin z Moskwą szedł przed ponad dekadę wręcz ręką w rękę.

– I na tym polegał problem, że Rosja nie chciała uznać, że jej partnerem jest cała Unia, a nie Niemcy czy Francja jako pojedyncze państwa. My uważaliśmy, że Unia jest nadrzędna i jej interesy powinny dominować nad dwustronnymi relacjami państw z Rosją. Zależało nam na tym, bo sądziliśmy, że typowo bilateralne stosunki mogą być skażone usiłowaniami korupcyjnymi ze strony Rosji. Przykładem jest synekura dla byłego kanclerza Gerharda Schrödera. Tymczasem Rosjanie niby wyrażali zainteresowanie współpracą z Unią, ale jednocześnie widoczne było, że próbują pracować nad poszczególnymi krajami. Dziś tę taktykę powtarzają Chiny.

Niestety, w Brukseli nie do końca rozumiano, że Rosja to szczególnie partner strategiczny, który potrzebuje więcej dialogu politycznego i więcej gotowości do ustalania przynajmniej jakichś wspólnych kierunków. UE reagowała w sposób wybitnie biurokratyczny. Lektura opasłych dokumentów poświęconych kluczowym zagadnieniom w stosunkach unijno-rosyjskich była równie pociągająca jak czytanie książki telefonicznej. Tak nie rozmawia się z Rosją. Ona wymaga staroświeckiej dyplomacji. Trzeba pogadać, również na tematy kontrowersyjne, wybadać się, poczuć do siebie zaufanie.

Ale kto miał to robić, ówczesna szefowa unijnej dyplomacji lady Ashton?

– Dobre pytanie. W biurokracji UE nie widać było rozmówców z wyobraźnią, z rozumem politycznym.

Jak duża jest odpowiedzialność Zachodu za rosyjską napaść na Ukrainę? Gdyby zamiast uzależniać się od rosyjskiego gazu, Zachód zaczął grać z Rosją twardo, izolować ją...

– Nie wiem, jak izolowanie Rosji miałoby wyglądać. To w końcu kraj, który rozpościera się od Morza Arktycznego aż pod Himalaje bez mała; od Bałtyku, czyli w gruncie rzeczy obszaru atlantyckiego, po Pacyfik. I do tego ma różne kierunki i warianty aktywności. Rosja współpracuje z Chinami, Indiami, Brazylią i Afryką Południową. Myśl, że można było otoczyć Rosję kordonem sanitarnym, jest po prostu niedorzeczna.

Mnie bliskie było myślenie polityków zachodnich. Trzeba było występować z pozytywnym programem. Zachód jest cywilizacją, która optuje za twórczym podejściem do życia, do poszukiwania pozytywnych rozwiązań. Trzeba być przy tym ostrożnym, liczyć się z problemami, z tym, że może wypada zrobić unik, kilka kroków do tyłu, ale to nie znaczy, że należy być fatalistą. Żyć podejrzeniami i wypatrywać zdradzieckiego ciosu. Mania przesładowcza to najgorszy kompas w polityce.

Zresztą Rosja właśnie udowadnia, że polityka złej woli i konfrontacji jest pomyłką. Putin poszedł drogą imperialną, która zwiódła go na manowce.

Nie uważa pan, że Polska ze względu na swoją historię powinna przestrzegać Zachód, że Rosji nie powinno się bezgranicznie ufać?

– Oczywiście. Ale chodzi nie tylko o to, by tylko mnożyć ostrzeżenia, lecz również o to, żeby ostrożność i przestrogi odbierano jako przejaw roztropności i mądrości politycznej, nie zaś frustracji i fobii historycznych. Aby tak się stało, trzeba wewnętrznie postawić pozytywną. Jeśli Polska tylko obrzucałaby Rosję kalumniami, to uznano by, że mamy zwichrowaną psychikę, cierpimy na antyrosyjską obsesję, że nie ma co z nami gadać, bo jesteście jak paranoik, który wszędzie wietrzy spiski.

Żeby ostrzegać przed Rosją, trzeba było rozwijać relacje, tak aby nasze ostrzeżenia wynikały ze stanu naszej współpracy, z tego, że widzimy, iż Rosjanie w relacjach z nami mataczą albo coś robią nie tak jak należy. Żebyśmy mieli w ręku konkretne argumenty, a nie tylko doktrynerskie

pogróżki. Że nasze sądy o Rosji czerpiemy z codziennej praktyki politycznej, a nie z maglowej czy piwiarnianej rusofobii.

Argumentem był atak Rosji w 2008 r. na Gruzję – państwo, które chciało tylko przywrócić suwerenność na całym swoim terytorium.

– Problem polega na tym, że suwerenność trzeba przywracać w sposób umiejętny. Trzeba wiedzieć, kiedy nie należy rwać się do bijatyki, żeby tej bijatyki nie przegrać. Tej wiedzy i wyczucia gruzińskiemu kierownictwu latem 2008 r. zabrakło.

Rosja cały czas była jednak traktowana przez nas jako kraj, któremu zdarza się zachować w sposób nieobliczalny. Ale zarazem uważaliśmy, że najlepszą kuracją na tę przypadłość jest po prostu zachęcanie jej do przyjmowania wysokich standardów, wiązanie się z Europą.

10 kwietnia pod Smoleńskiem rozbili się prezydencki tupolew, zginęło 96 osób, w tym prezydent Lech Kaczyński. Pamiętam, że Putin i ówczesny prezydent Dmitrij Miedwiediew wydawali się tą tragedią autentycznie wstrząśnięci. To było udawane?

– Nie. To były autentyczne reakcje. Nie zapominajmy, że Miedwiediew był jednym z niewielu prezydentów, którzy dotarli na Wawel, na pogrzeb Lecha Kaczyńskiego. Cały czas pamiętam też wystąpienie Jarosława Kaczyńskiego, który dziękował Rosjanom za każdą świeczkę, za każde kwiaty, za każde dobre słowo. I Kaczyński mówił wtedy, że żałoba po jego bracie stanowi właśnie punkt wyjścia do budowania między Polską a Rosją czegoś nowego. Był szczery, gdy zwracał się do „braci Rosjan”. Wtedy miałem wrażenie, że Kaczyński to rzeczywiście polityk dużego formatu, bo coś takiego może powiedzieć człowiek o szerokich horyzontach, o politycznej wyobraźni. Ale niestety Kaczyński pod presją albo z własnej rachuby wybrał awanturnictwo polityczne. W efekcie katastrofa, zamiast doprowadzić do pojednania, o którym Kaczyński mówił, relacje polsko-rosyjskie popsuła.

Przecież strona rosyjska nie mogła nie słyszeć tych wszystkich absurdalnych oskarżeń o posadzenie na ścieżce podejścia żelazobetonowej brzozy, podłożenie w samolocie bomby termobarycznej czy trotylu, rozpylenie helu. To było ogłaszane w Polsce w furii, pasji. Świadczyło, że część polskich polityków zaczadziła się własnymi obsesjami. Rosjanie od razu wyczuli, że z tej strony czyha jakieś niebezpieczeństwo. Tym bardziej że Polska wtedy była nadal wpływowym krajem w Unii i w sprawach rosyjskich często pytano nas o zdanie. A pytano właśnie dlatego, że widać było, że staramy się te stosunki poprawić, że kieruje nami dobra wola, co na Zachodzie widziano i doceniano. W relacjach z Rosją to był nasz wielki atut.

Po 10 kwietnia Rosjanie poczuli, że stosunki z Polską będą się pogarszać, i tak faktycznie się działo.

Ale nie od razu. Jesienią 2010 r. na corocznej naradzie polskich ambasadorów przemawiał Ławrow.

– Na tego rodzaju spotkania zawsze zapraszano ministra spraw zagranicznych kraju, z którym relacje nie były, delikatnie mówiąc, bezchmurne. Zapraszaliśmy ministra, którego chcieliśmy przekonać do pewnych polskich racji. Ministra, który reprezentował znaczący, choć niełatwy kraj. Ławrowowi nasi ambasadorowie zadali dużo sensownych pytań i też pokazali dowód właśnie dobrej woli.

Powracam do tego po raz kolejny, to kluczowa kwestia. Zaufanie u Rosjan jest rzeczą podstawową w polityce. Jeśli mają do kogoś zaufanie, sprawy idą gładko. Ktoś powiedział, że Rosjanie długo zaprzęgają, ale później bardzo szybko jadą. Długo pracowaliśmy przy zaprzęgnięciu Rosji, ale liczyliśmy, że jak się już ją zaprzęgnię do spraw europejskich, do dobrych spraw z Polską, to szybko wszystko ruszy z kopyta. Niestety, tak się nie stało.

W 2011 r. powstał polsko-niemiecko-ro-syjski Trójkąt Królewiecki.

– To była próba posadzenia przy jednym stole trzech krajów, których wzajemna historia naznaczona była konfliktami. Chodziło o to, by prowadzić dialog, budować klimat zaufania, pokazać światu, że te trzy kraje mimo koszmarnej przeszłości mogą w różnych sprawach myśleć podobnie i się dogadywać. Zacząłem myśleć o takim formacie, gdy zorganizowałem w 2009 r. konferencję dotyczącą paktu Ribbentrop-Mołotow. To udane wydarzenie, brał w niej udział prezydent Kaczyński, miał ciekawe wystąpienie. Uznałem, że to dobry punkt wyjścia do cyklicznego trialogu. Niemcy mnie bardzo do tego zachęcali, mówili, że strona polska się wtedy w praktyce zorientuje, jak dalece stanowiska Warszawy i Berlina są bliskie. Ja z kolei uważałem, że Niemcy przekonają się, że Polacy potrafią sensownie i rozważnie dialogować z Rosjanami. Z kolei Rosjanie zobaczyli, że Polacy i Niemcy są zgranymi partnerami, a to podnosiło rangę Polski w rosyjskich oczach.

Oczywiście za rządów PiS próbowano to wszystko przedstawić w takim karłowatym wymiarze jako grę pozorów, celował w tym Waszczykowski. Ale trialog przez trzy lata dobrze funkcjonował. A my, dyplomaci, jesteśmy od gadania, żeby nie było rękoczynów. Jak słyszę okrzyki ze strony pisowskiej dyplomacji, że trzeba się było wtedy hardo stawiać, walić pięścią w stół, to zastanawiam się, co tacy ludzie robią w MSZ. Ktoś taki powinien pracować jako wykidajło, a nie jako dyplomata. Dyplomata jest od przekonywania, od wynegocjowania kompromisu satysfakcjonującego wszystkie strony.

Waszczykowski był wiceministrem spraw zagranicznych w rządzie PiS i rządzie PO-PSL. Odszedł w niesławie wyrzucony przez Sikorskiego. Ta ostra krytyka to zemsta za upokorzenia?

– Zapewne. Myślałem, że to człowiek większego charakteru i umysłu. Kieruje nim dziś małość, na świat patrzy przez pisowskie „końskie okulary”. Byliśmy kiedyś bardzo skumpłowani, ale w odróżnieniu od niego nie będę na nim publicznie wieszał psów.

Wróćmy do 2008 r. Polska i Szwecja stworzyły wówczas program Partnerstwa Wschodniego, który miał przyciągać dawne republiki radzieckie do Unii Europejskiej. Pierwszym etapem miało być stowarzyszenie ze Wspólnotą. Jak reagowała Rosja?

– Po szczycie UE w Pradze, na którym Partnerstwo zainaugurowano, do Warszawy przyjechał dyrektor departamentu europejskiego na konsultacje ze mną i z moimi odpowiednikami z państw wyszehradzkich. Rozmawialiśmy w sposób wyważony, z dbałością o argumenty. Pod koniec Rosjanin wręczył mi non-paper [nieoficjalny dokument] precyzujący rosyjskie stanowisko. A przy tym zapytał mnie, czy się nie boimy, że może dojść do kolizji między prawnotraktatowymi uzgodnieniami między państwami poradzieckimi oraz Unią a takimiż międzynarodowymi zobowiązaniami tych państw w odniesieniu do Rosji. Pytał, czy współpraca z UE nie zaszkodzi pewnym opartym na umowach relacjom krajów poradzieckich z Rosją.

Odpowiedziałem, że jeśli Rosja będzie, równoległe do działalności Partnerstwa Wschodniego, pogłębiać związki z Europą, to takiego zagrożenia nie ma. Po 2011 r. Moskwa zaczęła jednak coraz bardziej manifestować znużenie bezproduktywnością, zdaniem Rosjan, relacji z Unią. A dwa lata później prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz odmówił podpisania umowy stowarzyszeniowej z UE, najwyraźniej z podpowiedzi Kremla.

Kiedy zorientował się pan, że ze zbliżenia z Rosją nic nie będzie?

– Zmiana zarysowała się wkrótce po katastrofie smoleńskiej. Z kontaktów z Polską wycofał się premier Putin, który wcześniej wyjął sprawy relacji z Polską spod kurate-

li prezydenta Miedwiediewa i sam je nadzorował. Najwyraźniej Putinowi osobiście zależało na poprawie relacji z Polską. Fakt, że po katastrofie smoleńskiej scedował te sprawy z powrotem na Miedwiediewa, dowodził, że przestał się w nie tak angażować jak wcześniej. W 2011 r. byłem już przekonany, że nasze ambitne pomysły trzeba będzie schować do szuflady. Uważałem jednak, że należy zachować przynajmniej dobre stosunki, na ile to tylko możliwe.

Pod koniec 2013 r. do Warszawy przyleciał Ławrow na obrady Komitetu Współpracy Strategicznej Polska – Rosja. Miał dobrą rozmowę z Sikorskim. Tyle że Ławrow wtedy zaczynał posługiwać się nową retoryką. Mocno akcentował tradycjonalizm, niewyparzonym językiem potępiał homoseksualizm jako zagrożenie dla tradycyjnych wartości. To były pierwsze sygnały, że sprawy zaczynają się źle układać.

Przed rozmowami zagadnąłem wiceministra spraw zagranicznych Władimira Titowa: „Słuchaj, niedawno byłeś na szczycie rosyjsko-unijnym w Brukseli, jak wyszło?”. „Same nudy” – odpowiedział Titow i machnął ręką. Czuć było, że w stosunkach Rosji z Zachodem nadciągają chmury. Rosja wymusiła na Armenii, a potem na Ukrainie, by kraje te zrezygnowały z podpisania umowy stowarzyszeniowej „wyższej generacji”. To wszystko zwiastowało, że Rosja zmienia kurs.

Jak w Warszawie odebrano decyzję Janukowycza, by nie podpisywać umowy stowarzyszeniowej z UE?

– Jako wynik rosyjskiej presji, przed którą nie potrafił się opędnąć, bo był już na rosyjskim haku. Dzięki jego wyuzdaniu korupcyjnemu Rosjanie zebrali na niego stos kompromatów. W Ukrainie wybuchł proeuropejski, obywatelski protest. Zaczął się Euromajdan. Sikorski uruchomił Trójkąt Weimarski, ruszyli w trójkę z Frankiem-Walterem Steinmeierem i Laurentem Fabiusem do Kijowa. Ministrowie spraw zagranicznych Francji i Niemiec byli w Kijowie bardzo przydatni, robili wrażenie.

Janukowycz całą trójkę traktował z najwyższym respektem, ale ze szczególną uwagą słuchało ich kierownictwo Majdanu. Fabius, pełnokrwisty polityk, udzielił im wielu ciekawych taktycznych rad. Udało się ułożyć misterną układankę, wyrzeźbić kompromis, którego istotnym elementem miały być wybory prezydenckie pod koniec 2014 r. To przypominało porozumienie zawarte przy polskim Okrągłym Stole, czyli historyczny kompromis.

Jak na to reagowali Rosjanie?

– Kreml wysłał do Kijowa Władimira Łukina, ostatniego Mohikanina pierestrojkowego liberalizmu. To był dobry znak. Mogli wysłać jakiegos szowinistę, a przysłali szacownego liberała. Odczytaliśmy to jako sygnał przynajmniej wstrzemięźliwego stosunku.

Kompromis rozsypał się zaraz po jego zawarciu. Janukowycz uciekł z Kijowa.

– I to on ponosi winę za to, co się stało. Po jego ucieczce do wschodniej Ukrainy, a potem do Rosji powstała próżnia. Struktury władzy zaczęły się rozsypywać. Polityka próżni nie znosi, więc Majdan zaczął ostro przejmować władzę. Rosjanie uznali to za zerwanie porozumień. Moskwa uważała, że ministrowie Trójkąta Weimarskiego powinni zadbać, aby przywrócono status quo ante, czyli stan po podpisaniu porozumienia. I uznawać, że Janukowycz pozostaje prezydentem. Takie stanowisko wynikało z różnych rosyjskich wypowiedzi. Ale myślę, że wtedy już oni ostatecznie wyciągnęli z sejfu wariant B, konfrontacji. Rosja dokonała aneksji Krymu, wywołała rewoltę we wschodniej Ukrainie. Natura tego typu działań jest taka, że rozwój wypadków niebawem przyspiesza. Sukces krymski uskrzydlił Putina.

Francuzi i Niemcy chyba troszeczkę się przestraszyli tego, co zrobili w Kijowie, że nie skalkulowali, iż kompromis kijowski

może zafunkcjonować w inny sposób niż w Polsce w 1989 r., gdzie strony mówiły „pacta sunt servanda”, jest umowa i trzeba się jej trzymać. W Ukrainie to nie zadziałało.

Myśli pan, że Janukowycz mógł faktycznie zostać w Ukrainie jeszcze 10 miesięcy, do wyborów?

– Z pewnością nie był postacią, którą można porównać do strażnika kontraktu okrągłostołowego, jakim był Wojciech Jaruzelski. To człowiek niskiego lotu, reprezentant raczej szemranej kultury.

Ławrow potrafił obsobaczyć nawet brytyjskiego ministra. Ale wobec Sikorskiego nigdy sobie na arogancję nie pozwolił

A może po prostu zakapior. I tchórz. Czy od razu nie było widać, z kim rozmawiacie?

– To wiedzieliśmy. Ale sądziliśmy, że stoi za nim pewien establishment, któremu jednak będzie zależało, by dostać kilka miesięcy – jak to mówią Rosjanie – pieriedyszki, czyli oddechu, czasu do przygotowania się na zmiany. A Janukowycz od razu uciekł z okrętu i nie wziął do szalupy swojej załogi.

Od 2015 r. na czele dyplomacji w rządach PiS stało trzech ministrów. Jaką prowadzili politykę?

– Straszną i śmieszną. Pisowcy nie pojmując procesu historyczno-politycznego, opierają się na stereotypach i kliszach, że każdy kraj ma taką odwieczną rolę przypisaną. Nie wyciągają wniosków z klęsk Polski. Opędzają to bałamutnym wnioskowaniem, że wszystkiemu winni odwieczni krzywdziciele: zaborcy, hitlerowcy, Sowici oraz antypolskie spiski i zdrada. Ten typ dedukowania przypomina opowieść o paleontologach, którzy na Syberii odkopali na głębokości 20 metrów szkielety mamutów i doszli do wniosku, że mamuty żyły w krecich norach. To obrazuje pisowskie rozumienie postępu w dziejach.

Ale to, co robi obecnie dyplomacja pisowska, nie odgrywa istotnej roli w kształcie działań partii rządzącej. Dyplomacja realizuje dziś dwa cele. Pierwszy to cyrk. Na podobieństwo bohaterów Sienkiewicza podkręcają węża i pokazują, jak twardo, godnie i podmiotowo bronią interesów Polski przed jej „odwiecznymi” wrogami. Niebawala to tandeta, taki Grand Guignol – teatrzyk grozy dla ubogich.

Poza tym polityka zagraniczna PiS jest zderzakiem, który ma amortyzować ewentualne protesty zagranicy, w szczególności płynące z Unii. Minister Rau dostał jeszcze jedno zadanie. Miał dokonać kolejnej widowiskowej czystki i oczyścić MSZ z resztek mgimowców.

Czyszczenie MSZ trwa osiem lat. Ostał się tam jeszcze ktoś, kogo PiS mógłby uznać za element niepożądany?

– Z logiki wszelkich czystek wynika, że ci, którzy czyszczą, niebawem sami zostają szczyśczeni. Miotła historii ich wymiecie.

Minister Rau ani żaden z jego następców nigdy nie pracował na żadnej placówce...

– To użyteczni dyletanci. Sałtykow-Szczedrin pisał, że w Rosji carskiej, „kiedy rozlega się zew, z nor wypelzają ci Iwanowowie, którzy są carowi potrzebni. Ci zaś Iwanowowie, którzy carowi nie są potrzebni, pozostają w norach i dalej dygocą ze strachu”. To ten mechanizm. Rozległ się zew i z nory wypelzli ci, którzy w danym momencie Nowogrodzkiej byli potrzebni.

Co przed wybuchem wojny działo się między rządem PiS a Rosją?

– Nic. Raz czy drugi były jakieś wątle konsultacje na szczelbu wiceministrów. Ale z tego, co wiem, to wszystko się rozsypywało, nie było pomysłu, nie było woli.

To mnie właśnie zastanawia. Rząd PiS oskarżał Rosję o zamordowanie prezydenta Kaczyńskiego w Smoleńsku, ale na polu dyplomatycznym panowała cisza. Nawet w kwestii zwrotu wraku tupolewa. Nie zawiązano żadnych koalicji, nic...

– Ależ jakie koalicje? Polska jest teraz krajem ograniczonej wiarygodności w Unii, nikt z nami o Rosji nie chce poważnie rozmawiać.

Gdyby pan wiedział, czym to się wszystko skończy, że dojdzie do najazdu Rosji na Ukrainę, to przyjąłby pan kilkanaście lat temu inne stanowisko?

– Przyjąłem wówczas racjonalne założenia. Nie mogłem przewidzieć ani katastrofy smoleńskiej, ani rewolucji arabskiej, ani tego, że biurokracja rosyjska okaże się aż tak niefunkcjonalna. I że Putin po prostu jako starzejący się człowiek uzna, że zmodernizowanie kraju jest ponad jego siły. Natomiast głośno protestuję przeciwko mówieniu, że Putin, gdy tylko osiągnął wiek komсомolski, poprzysiągł sobie, że najedzie i zniszczy Ukrainę. A takie wnioski wyciągnąć można z wypowiedzi polityków PiS, że oni wiedzieli o jego niecnych zamiarach od samego początku.

Polska podczas wywołanej przez Rosję wojny zdała egzamin?

– Niewątpliwie zdali go ludzie, którzy reagovali na wydarzenia z wielką empatią, przyjęli ogromną rzeszę uchodźców, zapewnili im byt. Świadczy to, że Polacy potrafią się samoorganizować, wykorzystywać wiedzę, umiejętności, zasoby. To pokazuje siłę naszego społeczeństwa nie tylko z polskiej, ale też z europejskiej perspektywy.

A politycy, prezydent Duda?

– Prezydent galopuje na wierzchowcu walce z imperializmem rosyjskim. Ale Kijów już dawno sobie uświadomił, że Polska nie ma takich wpływów w Unii i NATO jak kiedyś, więc i Ukraina pozwala sobie na bardziej bezpośrednie relacje z dużymi państwami, omijając Polskę, która zaczyna służyć ukraińskim politykom do wzajemnego poklepywania się, do uścisków. No, ale pisowcy to lubią, to jest takie właśnie sarmackie, rubaszne: niech swojego swój uści-ska, dajże bracie pyska. ●

„Eurazjatyzm na wspak”. Książka Jarostawa Bratkiewicza dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



FOT. ADAM GOLEC / AGENCJA WYBORCZA.PL



Wisława

SZYMBORSKA

ŻADNYCHPOCIESZEŃ,
NA ŻADEN TEMAT

Ktoś znajomy zrobił uwagę, że Szymborska jest daleko od dzisiejszej poetyki i może dlatego młodym ludziom niezbyt odpowiada. Trudno się im to czyta. No rzeczywiście. Styl niemal klasycystyczny, prosty, obiektywizujący, jej wyobraźnia żywi się podobnymi treściami co nauka, choć obrabia je inaczej

BOŻENA KEFF

S koro „Wiersze wszystkie” właśnie wydane (Znak, Kraków 2023), to zaczynijmy od początku.

Poetka Wisława Szymborska, już w zaawansowanym wieku, spotyka się w swoim wierszu z kilkunastoletnią Wisławą („Kilkunastoletnia”, s. 600). Niewiele mają ze sobą wspólnego, powiada ta starsza, żyją w innych epokach, w innym otoczeniu, inaczej myślą. Jedyne, co porusza starszą Wisławę, to szalik, który młodsza zostawiła, odchodząc, a starsza przechowała, ponieważ zrobiła go na szydelku „nasza” matka. Historia je łączy, ale już spojrzenie na nią – nie, łączy je tylko coś z zewnątrz, na przykład z historii rodziny. Tamta, powiada starsza Wisława, wie mało, ale za to na pewno, a ja sporo, ale nic pewnego.

Ciekawe, bo istnieje podobny wiersz Miłosza, który patrzy na siebie samego młodego, z przeszłości, i ma dla siebie wiele współczucia, starszy światowiec chciałby wziąć w ramiona tamtego młodego, zagubionego chłopca. Szymborska przeciwnie, patrzy na siebie samą z młodości jak na obcą istotę, w zasadzie ocenianą tylko po kilku zdaniach jakiegoś kilkunastoletniego wiersza, który ogólnie – nie zachwyca. Ciekawa ta różnica między wierszami Szymborskiej i Miłosza.

Lecz ja widzę podobieństwa, które łączą młodszą, dojrzałą i starszą Szymborską.

Zawsze jest uniwersalistką. Korzenie jej postawy leżą w oświeceniu. Ujmowanie całości – czymkolwiek ta całość by była – jest ważniejsze od zatrzymania się na części. Część jest ważna i można się na niej zatrzymać, ale celem jest całość, wszyscy. To, co podstawowe dla wszystkich, nawet jeśli o tym tak nie myślą w chwili, kiedy czytają wiersz.

Oświecenie zaczęło świecki uniwersalizm od zdefiniowania wszystkich istot ludzkich jako ludzi, połączonych, niezależnie od miejsca, w którym się urodzili, wspólnotą „rozumu”, specyficznie ludzką dyspozycją do rozsądku (władzy sądenia), rozumu (czyli władzy spekulacji) i idei moralnych. Niech przykładem uniwersalisty będzie tu Karol Marks, ponieważ chodziło mu o emancypację wszystkich proletariuszy, skrzywdzo-

nych jako ludzi właśnie, którym odebrano coś, co należy do niezbywalnych ludzkich praw. Skrzywdzonych jest większość, jak uważał Marks, a ich sprawa organizuje nasze myślenie o społeczeństwie.

Czy Szymborska za młodu była markсистką? Może pośrednio, poprzez akceptację wielu idei nowego ustroju społecznego, który zdobył akceptację wielu ludzi chcących emancypacji, równości społecznej, wykształcenia. Jeśli młoda poetka deklarowała, że wierzy, że „Krzywdą zniszczalna jest!/ Zniszczalna jest niewola!” („List Edwarda Dembowskiego do ojca”, s. 110), to w taki sposób wyrażała nie tyle prosty optymizm społeczny, ile nadzieję, że ludzie potrafią dokonywać przekształceń swojego świata na rzecz krzywdzonych, czy są oni większością, czy mniejszością.

Jej przeszły horyzont opierał się o wojnę, o zbrodnie nazistów i ludzi o pokrewnej im postawie, do tej pory niewidywane w Europie. Cytowany „List Edwarda Dembowskiego do ojca” – nie znam faktów, więc ryzykuję błąd – mógł też być jej listem do ojca, endeckiego polityka, zarządcy majątku hrabiego Władysława Zamoyskiego. Poglądy ojca musiały być konserwatywne – a życie córki od młodości do końca jak najdalsze od tego, co było konserwatywnym (i nie tylko) scenariuszem życia dla kobiety.

Studiowała, wyszła za męża za pisarza i komunistę, rozwiodła się w latach 60., kiedy nie było to częste, potem przez długie lata utrzymywała niesformalizowany związek z Kornelem Filipowiczem; należała do środowiska literackiego „pryszczatych” w Krakowie, była wyraźnie antyklerykalna (Hania) i nie wykazywała śladów religijności. Nie manifestowała postawy feministycznej, była uniwersalistką, a później – szczyt feminizmu to nie jej czasy, ale przeczytajcie: „Nam kobietom było najtrudniej./ Za pół dniówki harowałam, jak gdybym/ pół człowiekiem była półżywym”. Z całego tego wiersza najbardziej socrealistyczny jest tytuł: „Gdy nad kołyską ludowej konstytucji do wspomnień sięga stara robotnica”, ale reszta jest samą prawdą.

Wiersz „Lenin” także zaczyna się od krzywdy: „Że w bój poprowadził krzywdzonych”, a kończy nadzieją, że grób tego „nowego człowieczeństwa Adama” będzie wieńczony kwiatami z nieznanych dziś jeszcze planet; inaczej – nie o to chodzi, żebyśmy zastygli w podziwie, postawa Lenina ma wprawiać nas w ruch, inspirować odkrycia i poszukiwania. Nie chodzi o to, że ten wiersz mnie zachwyca lub nie (raczej tak sobie), ale o to, że Szymborska zawsze oczywiście była Szymborską, stała po stronie krzywdzonych i cierpiących.

Jej wiersz z pierwszego tomu „Transport Żydów” bardzo mnie porusza. Transporty jako narzędzie tortur i mordu to straszny temat – wydaje mi się, że po latach Szymborska, jak to ona, od opisu ciągnącego w stronę realizmu przejdzie do opisu metaforycznego w wierszu „Jeszcze”, ujmującego polski kontekst tych transportów, bezduszny wzrok; wspaniały wiersz o imionach jadących krajem.

„Nie skacz w biegu, imię Dawida/ Tyś jest imię skazane na klęskę/ nie dawane nikomu, bez domu/ Do noszenia w tym kraju za ciężkie [...] Chmura z ludzi nad krajem szła/ z dużej chmury mały deszcz, jedna łza/ mały deszcz, jedna łza/ suchy czas/ Tory wiodą w czarny las”.

Wracając do początków – wiele tych wierszy podoba mi się, są ciekawe, a pochodzą z okresu, kiedy Szymborska dowiadywała się od siebie stopniowo, jak chce pisać. Owszem, mieści się we wspólnej tematyce socrealizmu, owszem, drugi tom jest bardziej „programowy” i mniej oryginalny, ale jej wiersze są jej, choć jeszcze nie mają te-

go idiomatycznego tonu Szymborskiej, który nabędą potem.

Te wczesne wiersze – nie wszystkie w każdym razie – nie należą do „błędów młodości”. Idee komunizmu i socjalizmu oferowały zawsze uniwersalistyczną perspektywę, i to było dla niej ważne, tak jak poczucie, że świat toczy się w dobrą stronę, zwłaszcza że jakiś czas temu toczył się w stronę straszną. Wyraźnie zależało jej na poczuciu uczestniczenia, na wspólnotcie (najpierw z pisarzami, potem z krajem, wreszcie z całym światem, ludzkim i pozaludzkim, jak to u niej); rozpoznała ogólny kierunek myślenia, który był zgodny z jej nastawieniem i zgadzał się w tamtym okresie z jej odczuciami.

Szymborska nigdy nie czuła się adekwatnie w kategoriach partykularnych: zwłaszcza partykularyzm narodu jej nie interesował. Pleć – też w niewielkim stopniu. Komunizm nie był projektem – mówimy o teorii – ani plemiennym, ani ograniczonym genderowo czy geograficznie. Jeśli więc Szymborskiej odpowiadały idee (nie praktyka, z którą zerwała w 1966 roku, występując z partii – co wówczas nie było lekkie, łatwe ani przyjemne), to dlatego, że jej rodowód jest oświeceniowy. Jej życie określał bardzo trudny okres historii, na który przypadła jej młodość, a potem kolejne dekady XX i XXI wieku. Określał ją jej czas, jako i nas określa nasz.

Z czasem oddaliła się od bezpośredniej społecznej rzeczywistości i stała się poetką – filozofką fenomenów naszej egzystencji, do których zawsze podchodzi uniwersalistycznie. Bada, w jaki sposób istniejemy, na czym (nie) jest ufundowany podmiot, który w jej wypadku jest autonomiczny, uniwersalny i racjonalny, ale to nowa, postnowoczesna racjonalność, która polega na poddawaniu własnych prawd wątpleniu, bo racjonalny jest ciągle sceptycyzm, poznawanie, które nie zakłada granic. I żadnych pocieszeń, na żaden temat. Ani życia po życiu, ani Logosu ponad niebiosami.

Nie pocieszajcie się, ludzie, mówi Kasandra („Monolog dla Kasandry”, s. 271) Szymborskiej – tak czy owak mijamy, już widzę ten świat bez nas, tak czy owak nieszczęście, tak czy inaczej Troja upadnie. Ma rację, która nikomu niczego nie daje, a ją samą oddziela od reszty ludzi, ponieważ Kasandra mieszka na zewnątrz życia, a oni w środku. „Spójcie na siebie z gwiazd!” – woła Kasandra, a ludzie „spuszczali oczy” (s. 277) – i tu Szymborska najbardziej uchwyciła pewien aspekt samej siebie, swój czasem mądrościowy ton i stałą skłonność do wglądu w całość.

I cóż: z wiedzy Kasandry nie wynika nic konstruktywnego dla życia, sama prorokini ze swoimi „prorockimi rupieciami” chciałaby dokopać się samej teraźniejszości, płynąć sobie w chwili jak Calineczka w płatku kwiatu, być tam, gdzie jeszcze nie wiemy, nie widzimy, żyjemy w młodym ośrodku życia. Bo autorka, jak inni, musi być w środku czasu. „na co dzień wierzę w trwałość/ w perspektywę historii/ nie potrafię gryźć jabłek/ w nieustannej grozie” („Pisane w hotelu”, s. 290). Jest i tu i tam. Jest w równowadze. Nie chce żyć ani w ekstazie, ani w dramacie, nie mówi wielkiego aprobującego „tak”, ani dramatycznego i buntowniczego „nie”. Zachowuje odległość, zachowuje dystans.

To apollinińska poetka. Nie mam na myśli doskonałości formy ani zalet intelektualnych. Te są najwyższej jakości. Mam na myśli grecką – po nietzscheańsku rozumianą, więc jako idealizowaną, ale nie całkiem bez podstaw – nieugiętość, niechęć, na pograniczu odrady, do dramatyzowania, przesadzania, nadmiernej ekspresji, do twórczego (częściej nietwórczego) szalu. To, co nieuniknione, jest lejtmotywem całej jej poezji. Jest samotną obserwatorką i w zasadzie stoiczką, nie ponad faktami życia, ale traktując

je jako nieuniknione, całkowicie na serio, zawsze obok.

Ale jest też epikurejką – nie chce zaprzętać sobie głowy tym, co będzie, bo wtedy zniknie to, co jest, z całym swoim urokiem. Jest taka tradycja w polskiej poezji, tradycja humanizmu, potem oświecenia, począwszy od Mikołaja Reja i Kochanowskiego przez Trębeckiego i dalej. Może to by była jej właściwsza grupa poetycka, tylko że o przynależności do niej wiemy, kiedy już, jak wzywa Kasandra, patrzymy z gwiazd, a właściwie inni na nas patrzą.

No i właśnie – nigdy już w jej poezji nie powróciły deklaracje przynależności (ideologicznej) do jakiegokolwiek większej zbiorowości – nie pada nazwa kraju na P, ani innych (wyobrażonych) zbiorowości, poza tą największą, do której się zalicza zawsze, na zasadzie biologicznej klasyfikacji gatunkowej. Pełną identyfikację ma chyba tylko z narratorką swoich wierszy, poza tym transcenduje wszystko i wszystkich. Transcenduje też Wisławę Szymborską nieraz, a dla mnie najwyraźniej w przewspaniałym wierszu „Chmury”, który nawiązuje do monumentalnego wiersza Mickiewicza „Nad wodą wielką i czystą”. Mickiewicz w zakończeniu opisuje swój los jako równoległy do przeznaczenia wielkich twórców natury, do skał, do gromu, do wody. Jest monumentalnym poetą wśród monumentalnej przyrody. Opoki muszą stać, grom grzmieć, a ja płynąć, powiada.

W wierszu Szymborskiej w rzadki sposób bezpośrednio osobistym („nad całym Twoim życiem/ i moim jeszcze nie całym”) przesuwały się i przesuwają „obłoki” – to oswojone słowo, które lubi poezja, i niby oswojone zjawisko, które u niej leci, przesuwa się jak w jednym z przyrodniczych filmów Davida Attenborough w przyspieszonym tempie; lecą, ale nic im do nas, nic im do mnie, Szymborskiej, która na to patrzę i wiem, co przyniesie ten ich niekończący się przelot. Nic im do nas.

Problem w tym, że nam jednak coś do przyrody, do czasu, do zwierząt. Zwierzęta Szymborska zawsze bierze w obronę, od lat 50., od wiersza o zwierzętach cyrkowych. Zawsze, jak pani Costello, ta od Coetzeego. Szymborska nienawidzi przemocy.

Oświecenie nie polega ani na wierze w nieprzerwany postęp, ani na gilotynie rewolucji, jak czasem je podsumowują proste i nieproste umysły. Oświecenie to proces myślenia, od Kartezjusza do rewolucji francuskiej, ponad sto lat, potem idzie w dół, potem znów do góry i tak dalej. Dziś pikuje – nurt, który według Kanta zakończył dzieciństwo gatunku ludzkiego, zanika pod gęstymi czarnymi chmurami dymu jak z pożarów, po których beztrosko chodzimy.



Ktoś znajomy zrobił uwagę, że Szymborska jest daleko od dzisiejszej poetyki i może dlatego młodym ludziom niezbyt odpowiada. Trudno się im to czyta. No rzeczywiście. Styl niemal klasycystyczny, prosty, obiektywizujący, jej wyobrażenia żywi się podobnymi treściami co nauka, choć obrabia je inaczej. Obiektywizuje głos swojej narratorki, nie każe nam szukać jej po ulubionych norach samotnej i nieuchwytej duszy, daje ją nam na talerzu. Obiektywizuje postać i odrywa głos poetycki od osobistego, prywatnego doświadczenia, mówi z punktu widzenia doświadczenia, które jest wspólne, dostępne dla wielu osób, otwarte dla nas. Język nie jest tu osobnym zagadnieniem, ponieważ chodzi o wspólnotę egzystencjalną. Kiedy jako młoda poetka Szymborska zajęta była ideami komunizmu (samo to pojęcie oznacza to, co wspólne), myślała w kategorii wspólnoty, jaką zakreślały tamte idee. Potem stało się to wspólnotą ogólnoludzką, wspólnotą ogólnodostępnych doświadczeń.

Dzisiejsza poetyka coraz bardziej się subiektywizuje, wycofuje ze świata społecznej wspólnoty doświadczeń, do przestrzeni czyisto osobistych. Język staje się zagadnieniem, w takim znaczeniu, że poetki i poeci czasem stawiają nas w trudnej pozycji podsłuchujących, co podmiot (liryczny) mówi „sam do siebie”, na swoich prawach, ze swoim nalo-



*„Nic dwa razy się nie zdarza
i nie zdarzy. Z tej przyczyny
zrodziłeś się bez uprawy
i pomrzemy bez rutyny”*

„NIC DWA RAZY”
Z TOMU „WOŁANIE DO YETI”, 1957

tem znaczeń na powszechnie używanych znakach. Czasami podążanie za tym monologiem coś daje, czasami nic.

Szymborską interesuje, pasjonuje przyroda – ale inaczej niż dziś poetki (i poetów) z nurtu poezji ekologicznej. Kamień mówi do niej, że „nie ma, jako człowiek zmysłu uczestniczenia”. Jej narratorka ciągle doświadcza wykluczenia, które przecież jest dziełem samego człowieka, który wykluczył siebie z przyrody, bo taka była droga, kiedy miało się luk, bęben, a już zwłaszcza pole i stada.

Potem, gdy monoteizm obdarował człowieka nieśmiertelną duszą, do tego indywidualną, udało się przekroczyć śmierć, śmierci nie ma! A jednak jest, i to raz na zawsze. Co zaś do duszy i ciała, to jest taki wiersz, który mnie zawsze porusza: „Tortury”. To o bólu. Dusza, jak powiada poetka, raz jest, raz jej nie ma, szwenda się gdzieś, gdzie chce, „raz pewna, raz niepewna swojego istnienia/ podczas gdy ciało jest i jest i jest/ i nie ma się gdzie podziać”. Nie wiem, czy można na ten temat powiedzieć więcej.

Zadania, jakie stoją przed naszym gatunkiem, są gigantyczne, bo gatunek powinien się uratować – ale nie sam, tylko ze swoim otoczeniem; przyroda jest naszym zewnętrznym ciałem, warunkiem naszego istnienia. Ale można myśleć partykularnie, i dopóki wokół nas się nie pali, dopóki MY nie topimy się w bagnach w cudzych lasach przy przejściach granicznych – pozornie możemy spać spokojnie. Bez uniwersalizmu – myślenia w kategoriach całości, prowadzącego do współuczestniczenia, do współodpowiedzialności – zginiemy. Podobnie bez myślenia o pokrzywdzonych, o mniejszościach i o większości – o proletariuszach globalnego Południa.

Nie będę pisać i zamulać, że zawsze tęsknię za poezją Szymborskiej – często nie tęsknię, bo jest właśnie połączeniem Kasandry z panią z Krakowa, która czasem bywa filuterna, i troszkę też żartownisia, a zawsze z pewnym dystansem – to ja też czasem z dystansem.

Ale jest, stoi na półce, na szczęście. •

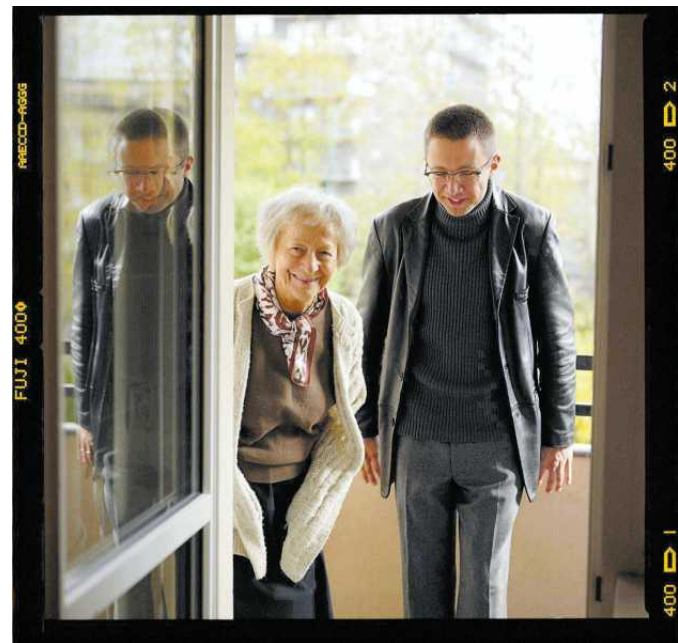
Bożena Keff

• poetka, pisarka, literaturoznawczyni, feministka. Jest autorką kilku tomów poetyckich, m.in. zbioru „Nie jest gotowy” (2000) i „Utworu o matce i ojczyźnie” (2008), książek eseistycznych „Postać z cieniem. Portrety Żydówek w polskiej literaturze” (2001) i „Antysemityzm. Niezamknięta historia” (2013) oraz zbioru felietonów „Barykady. Kroniki obseksyjne lat 2000–2006” (2006). Współautorka pierwszego w Polsce studium o homofobii „Homofobia po polsku” (2004). Trzykrotnie nominowana do Nagrody Literackiej „Nike”

Tekst ukazał się 17 czerwca 2023 r. na stronie Krytykapolityczna.pl



Książka „**Społeczeństwo populistów**”, to napisana na nowo historia polskiej demokracji. To opowieść o tym, dlaczego wpadliśmy w pułapkę nieufności i skazaliśmy się na populistyczny dryf. Autorzy analizują nie tylko przemiany świadomości społecznej, ale także stan państwa w najważniejszych obszarach jego funkcjonowania. Lektura obowiązkowa dla wszystkich, którzy sprzeciwiają się coraz większej polaryzacji polskiego społeczeństwa.



FOT. MICHAŁ MUTOR / AGENCJA WYBORCZA.PL

Róża kosztem pokrzywy

Szymborska do czytelników, czyli „chce Pani być poetką, ale się nie przygląda”.



JACEK DEHNEL

W roku Szymborskiej trudno samą Szymborską oddzielić od gęby Szymborskiej, jeszcze za życia uprawianej jej na różne sposoby, a po śmierci tym ochotniej. Gęba, podobnie jak w przypadku innych artystów, służy pozabawieniu jakichkolwiek kłów i pazurów, to raczej bezzębna gębusia. Jeśli w czyjejś twórczości jest jakiś element buntu, zagadki, bezkompromisowości, jeśli stawia ona niewygodne pytania, sprawia, że odbiorca czuje się wytrącony z równowagi czy wypchnięty ze strefy komfortu, z miejsca pojawiają się liczni starsi gębowi, którzy ruszają do przyprawiania.

Tak oto z Szymborskiej – nie zupełnie bez pokrycia w faktach – zrobiono „naszą kochaną noblistkę”, autorkę pociesznych rytmowanek, kolekcjonerkę kuriozów, ekscentryczną, starą ciotkę, którą każdy chciałby mieć. Oczywiście to, co Szymborskiej dało Nobla, i – co ważniejsze – uczyniło ją wielką poetką, zupełnie się w tym nie mieści i zostaje gębą starannie przykryte. Nie po to się uladza, żeby od spodu wychodziło szorstkie i niewygodne.

Tymczasem, jeśli nie liczyć samej poezji, mało co pokazuje Szymborską jako postać zadziorną, ba, bezwzględna nawet, jak „Pocztą literacką”.

Nie była wówczas, rzecz jasna, siwą, starszą panią znaną z popularnych zdjęć portretowych. Rubrykę na łamach „Ży-

OGŁOSZENIA

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

KSIAZKI

ŚWIĘTUJEMY ROK

WISŁAWY
SZYMBORSKIEJ

PARTNERZY:



FUNDACJA WISŁAWY SZYMBORSKIEJ

Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie

cia Literackiego” prowadziła do lat 70. Była niezależną rozwódką, wydała trzy ważne tomy wierszy i związała się z Kornelem Filipowiczem. Nie jest to postać z makatki.

I porady, których udzielała kandydatkom i kandydatom na poetów i poetki, również nie były z makatki.

•

W roku 2000 – a zatem na fali ponoblowskich publikacji, kiedy to zaczęto wyciągać z szuflad najrozmaitsze wiersze, juvenilia, wycinanki, limeryki, wreszcie ostatnio listy, bo fala ta nadal nie opadła – ukazał się tom „Pocztą literacką, czyli jak zostać (lub nie zostać) pisarzem” w wyborze Teresy Walas. I była to decyzja bardzo szczęśliwa, bo rzeczywiście w tych krótkich formach Szyborska wspina się na wyżyny dowcipu. Wprawdzie jest to dowcip złośliwy, a miejscami żrący – ale cóż, na nim też polega główna przyjemność z lektury tego zbioru, a pewnie i na tym polegała przyjemność z zerkania do tej rubryki w „Życiu Literackim” na bieżąco, kiedy „Pocztą” się tam ukazywała.

Oczywiście nie wiadomo, czy wszystkie teksty były faktycznie odpowiedziami na nadesłane propozycje – dział „Listy do redakcji” od pokoleń służy przecież do przemycania własnych opinii redaktorów albo udzielania odpowiedzi na niezadane pytania. I nie mówię tu o żartobliwych uwagach pod adresem S-o. z Lesbos, Lukr. i P.K. Tac. z Rzymu, mówię o bardziej prawdopodobnych korespondentach: Uli z Sopotu czy W-iczu z Lublina.

Nie wiem zatem, czy jakiś J. Szym. faktycznie oferował redakcji przepisane opowiadanie innego pisarza i czy pewien „tytan pracy z Gdańska” podesłał trzydzieści stron pierwszego rozdziału „Czarodziej-skiej góry” Manna, dzięki czemu Szyborska mogła spointować: „Kiepsko pan wygląda ze swoimi czterema stronami rękopisu. Trzeba przysiąc faldów. Na pierwszy ogień polecamy »Komedię ludzką«. Niezle i dużo”.

Nie wiem też, czy Janusz B. zasłużył swoimi utworami na takie słowa: „Dlaczego w Pańskich wierszach Izolda kroczy po kaifaszach dziedziczna? Dlaczego Napoleon pada przeszyty włócznią? Dlaczego kolumna pęka jak wrzątek, a fuga krwawi bryłę oczekiwania? W tym szaleństwie brak metody – jak by zauważył Poloniusz. Naturalnie Poloniusz w rozmowie z kapitanem Cookiem podczas grzybobrania”. Ale wiem, że od razu widać tu usposobienie i sposób myślenia Szyborskiej.

Niejakiej A.A. z Białegostoku, która stereotypowo dzieli naturę na piękną (motyle i jaskółki) i brzydką (gąsienice i nietoperze), redaktorka odpisała: „Naturalnie wolno Pani opiewać wdzięk róży, ale czemu zaraz kosztem pokrzywy (...)? A małpy? (...) Dla nas na przykład oczy pawianicy mają tyleż nostalgicznego piękna, co oczy Michèle Morgan [tu na wzmiankę o małpie wszyscy miłośnicy poetki od razu patrzą

po sobie porozumiewawczo]”. Po czym pada zdanie najważniejsze: „Chce Pani być poetką, ale się nie przygląda”.

Jest to bowiem przede wszystkim wspinały zbiór aforyzmów o literaturze. Pan opisujący swoje przygody z licznymi dziewczynami mógł przeczytać: „Doświadczenia pana Stendhala były w omawianym zakresie o wiele mizerniejsze, a pomimo tego, a może właśnie dlatego, miał więcej czasu, żeby się zastanawiać nad kobietami, odróżniać jedną od drugiej, i o samej istocie miłości poczynić parę spostrzeżeń do dziś zdumiewająco trafnych”. Przy okazji nowelki kryminalnej pada zdanie: „Prawdziwa literatura zaczyna się dopiero wtedy, kiedy żywe postacie intrygują bardziej od tajemniczych zwłok”, a przy okazji wierszy pełnych frazesów pojawia się zapewnienie, że ich stosowanie „nie jest bynajmniej zbrodnią wobec Sztuki, ona zawsze miewa epigonów, jest do nich przyzwyczajona. Tyle tylko, że z ich działalności nie czerpie żadnego dla siebie pożytku”. Autorka fra-szek słyszy radę, że „poziom publikowanych fraszek jest bardzo niski”, bo fraszkopisarze „piszą co drugą, podczas gdy należałoby pisać co dziesiątą. Jeśli zastосуje Pani taki sposób, to zakasuje Pani wszystkich”.

•

Nie jest bowiem tak, że Szyborska tylko kpi, poucza i obcina (po latach zresztą przyznała się Michałowi Rusinkowi, że – nie chcąc robić przykrości autorom knotów – cytowane wyimki wymyślała na wzór tekstów nadesłanych). Przeciwnie, wiele wypowiedzi, nawet jeśli nieco uszczypliwych, to zachęty do dalszego pisania, wskazanie dobrych fragmentów czy celnych pomysłów. Te jednak mniej zostają w pamięci niż dowcipne przytyki.

Nie dziwi więc, że od razu znalazł się obrońca młodych (niekoniecznie wiekiem, ale przynajmniej stażem) poetów. Był to niejaki Jan Majda, licealny polonista, specjalista od góralszczyzny, wiele lat później jeden z przywódców radiomaryjnej krucjaty przeciwko pochowaniu Miłosza na Skałce. Całe lata walczył zresztą z obojgiem naszych literackich noblistów, choć z Tokarczuk chyba nie zdążył, bo zmarł, na parę miesięcy zanim dostała Nobla.

Wówczas na łamach „Gazety Krakowskiej” Majda piorunował, że to „bezlitosna zabawa, jaką urząda sobie któryś z panów redaktorów” („Pocztą” nie zdradzała, kto odpowiada na listy, a Szyborska, jedyna kobieta w redakcji, jako kamuflażu używała liczby mnogiej: „czytaliśmy, uważamy”), że „w ten sposób tę- p i się twórczość literacką, a nie rozwija”. I dowodził, że należy takiego adepta poezji dopingować „do pracy nad opanowaniem rzemiosła przez drukowanie jego utworów”. Wprowadził też kryterium ilościowe: gdyby zsumować poetów ze szkół średnich, byłoby ich więcej niż w Związku Literatów Polskich (co zapewne było prawdą, a przelicznik ten wypadłby jeszcze mniej korzystnie dla polskich

chodziarzy w stosunku do ogromnej masy osób chodzących!). Najlepszy dowcip polegał na tym, że pokazując przykłady zdolnych licealistów, najwięcej miejsca poświęcił szesnastoletniej Ewie Lipskiej – która, jako żywo, nie była w żaden sposób reprezentatywna dla piszących nastolatków.

Jego reakcja była typowa. Kiedy tylko pojawia się poważna, bezkompromisowa krytyka, w ślad za nią rozbrzmiewają głosy o „podcinaniu skrzydeł”. Niestety, nikt nie wyjaśnia, czemu z ogromnego bogactwa zwierzęcych kończyn, jakie oferuje przyroda, wszyscy młodzi adepci poezji mają akurat „skrzydła” – a nie, jak wskazywałyby intuicja, również pletwy, raciczki, nibynóżki, nogogłaszczki czy zgola rzęski.

Bardzo jestem ciekaw, jak książka zostałaby przyjęta dziś przez młodsze pokolenia czytelników, którzy – nie bez racji – zwalczają przemocowych dziadersów i mówią o „radikalnej trosce”. Nawet jeśli obie strony tej wymiany były zanonimizowane, jeśli nikt nie publikował krytykowanych utworów, nikt nie był stawiany pod pręgierzem – to łatwo popaść, jak Majda, w narrację o „tępieniu talentów” (a teraz to pewnie i „zaszczuwaniu” czy „hejcie”).

Ale czy jest tak w istocie?

•

W jednej z notek padają znaczące słowa: „Oceniamy wiersze miłosne, ale rad w sprawach sercowych nie udzielamy. Prywatnie – proszę bardzo, w tej jednak rubryce musimy bronić interesów poezji, która właśnie świetnie rozkwita na glebie źle ulokowanych uczuć i w klimacie pewnej psychicznej niewygody”. Owszem, głos redaktorski błdzi tu często w rejonach ironii, ale wydaje się, że kawałek o „bronieniu interesów poezji” akurat jest dość serio.

Jakże często ci, którzy opowiadają o „podcinaniu skrzydeł”, w rzeczywistości nie uważają poezji za sprawę istotną, przeciwnie, traktują ją jako miłe hobby, coś w rodzaju kółka plastycznego, gdzie „mile spędza się czas wolny”. W takiej perspektywie krytyka nie jest potrzebna: ot, skoro ktoś się „twórczo spełnia” w wykonywaniu pudełek z pocztówek i malowaniu jesiennych liści, to niech się spełnia. Nie da się tego robić źle, podobnie jak nie da się źle leżeć na kocu w parku albo źle pluskać w morzu.

Dla Szyborskiej jednak poezja była sprawą istotną: nie tylko jako wykonywany zawód, ale i jako sposób istnienia. Ci, którzy wysyłali swoje utwory do „Poczty literackiej”, pytali o drogę. A skoro błdzili, należało im powiedzieć, że nie tędy droga. Kto takiemu pytającemu odpowie: „Dobrze pan idzie, znakomicie”, żeby tylko nie zranić jego uczuć, tak naprawdę robi mu swoją delikatnością krzywdę.

Mam wrażenie, że Szyborska broniła tu nie tylko interesów poezji, ale i niedoszłych poetów.

Ostatecznie, jak zawsze powtarzam, karia dobrego czytelnika przynosi więcej radości, niż kariera miernego pisarza. ●

Anna Bikont i Joanna Szczesna
„Pamiętkowe rupiecie. Biografia Wisławy Szyborskiej”. Wyd. Agora. Książka już w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



Nieintere-sujące dla aniołów



JULIA FIEDORCZUK

Jeden z moich ulubionych wierszy Szyborskiej to ten o małej dziewczynce ściągającej obrus ze stołu (z tomu „Chwila”).

Nieodpartą pokusę dziecka, żeby pociągnąć za brzegi materiału i sprawdzić, co się stanie, poetka porównuje do pasji motywującej dorosłych odkrywców; dziecięca zabawa i przekora zyskują dzięki temu status poważnego działania. Ale gest dziewczynki, wprawiający przedmioty w ruch, jest także – dosłownie i w przenośni – wywrotowy: „Pan Newton nie ma jeszcze nic do tego./ Niech sobie patrzy z nieba i wymachuje rękami”. Pleć jest tu istotna, a najwspanialsze jest to, że dziewczynka robi w wierszu to, co chce, jest sprawcza, wywołuje zamieszanie. Dobitna końcówka afirmuje suwerenną wolę eksperymentatorki: „Ta próba dokonana być musi./ I będzie”. Myślę, że coś z tego ducha – zabawy, przekory, uporu – miewają w sobie poetki. Poetki wchodzą w przestrzeń gruntownie już obadaną i skolonizowaną – i odkrywają ją na własny rachunek.

Podobnie robiła Szyborska, choć sądzę, że to, co wywrotowe, bywa u niej zakamuflowane, ukryte w do-pracowanej, czasem zabawnej formie. Widzę to tak: na przekór niesprawiedliwemu wizerunkowi pogodnej pani od wycinanek Szyborska знаła i rozumiała także mrok – i ten egzystencjalny, psychologiczny, i ten związany z konkretnymi, tragicznymi wydarzeniami historycznymi, których była świadkiem. Ciągnie mnie nie tyle do tych wierszy, w których poetka otwarcie porusza „ciemne” kwestie – albo prowadzi rozważania na tematy metafizyczne – ile do utworów, w których niepokój czai się za łagodną czy wręcz żartobliwą fasadą. W „Trudnym życiu z pamięcią” (z tomu „Tutaj”) Szyborska stosuje lubiany przez siebie zabieg personifikacji abstrakcyjnego bytu. Pamięć jest przedstawiona jako istota obdarzoną własną wolą i uporem, nieco natrętna, ale i uwodzieciska: „Chce, żebym bezustannie słuchała jej głosu”, „Chce mi bez reszty zająć uwagę i czas”. Efekt jest nieco komiczny, jakby komiksowy, bo przecież poetka gada w gruncie rzeczy sama do siebie, sama ze sobą się droczy, sama sobie „gorliwie” podtyka „dawne listy, zdjęcia” i przywołuje wspomnienie samej siebie młodszej. A jednak wylania się z tego pęknięcia coś nieprzejrzyściego – jakieś napięcie, niepokój, ambiwalencje towarzyszące zakochaniu. Pamięć nalegająca, by żyć „już tylko dla niej i z nią”, przypomina śmierć ze znanego wiersza Emily Dickinson: „Nie mogłam stanąć i czekać na Śmierć...” (tłum. S. Barańczak).



„Prawdziwa literatura zaczyna się dopiero wtedy, kiedy żywe postacie intrygują bardziej od tajemniczych zwłok”

SZYMBORSKA O KRYMINALE

Ulec jej czarowi znaczy przestać żyć, porzucić plany, „słońce terazniejsze,/ obłoki aktualne, drogi na bieżąco”. Z kolei odtrącić jej awanse – to przestać być sobą. Unikalność – lub nie – pojedynczego ludzkiego istnienia to zresztą jeden z powracających tematów Szymborskiej. Punktem wyjścia do „Myśli nawiedzające mnie na ruchliwych ulicach” (także z tomu „Tutaj”) jest zdumienie liczbą twarzy obecnych „na powierzchni świata” – czy to możliwe, że każda jest zupełnie inna i żadna już nigdy się nie powtórzy?

W „Kałuży” (z tomu „Chwila”) pojawia się innego rodzaju niepokój – związany z ograniczonym charakterem naszego bycia w czasie i przestrzeni, z przywiązaniem do pewnej konkretnej materialnej formy. Tu także parametry zdają się całkiem niezobowiązujące – to tylko kałuża i dziecięcy lęk, że „nagle zapadnę się cała,/ zacznę wzlatywać w dół/ i jeszcze głębiej w dół, w kierunku chmur odbitych/ a może i dalej”. A jednak myśl, że kałuża mogłaby następnie wyschnąć, zamykając podmiotkę na zawsze w nieaktualnym kadrze, nie jest wyłącznie dziecinna. Jak w wierszu „W poczekalni” Elizabeth Bishop, w którym odkryciu własnej pojedynczości towarzyszy wrzask ciotki dochodzący z gabinetu dentystycznego i zawrót głowy, bo zawsze znajdujemy się na krawędzi takiej czy innej przepaści. Lubię, że Szymborska żartuje z tej przepaści i jej „rozhuśtaną na grozie wesołość” – to z „Komedyjek” (z tomu „Początek i koniec”), gdzie poetka wyraża przekonanie, że aniołom – gdyby istnieli – przypadłyby do gustu raczej nieme filmy niż „wrzaski i drgawki” sztuk teatralnych czy powieści „o zawiedzionych nadziejach”. Poezja to jednak zawieszenie ciszy. Nieinteresująca dla aniołów. I tak jest dobrze. ●



*„Umrzeć
– tego nie robi się kotu”*

„KOT W PUSTYM MIESZKANIU”
Z TOMU „KONIEC I POCZĄTEK”, 1993

*Tu leży staroświecka
jak przecinek
autorka paru wierszy.
Wieczny odpoczynek
raczyła dać jej ziemia,
pomimo że trup
nie należał do żadnej
z literackich grup.*

„NAGROBEK”,
Z TOMU „SÓL”, 1962

CHOMIK MIKUŚ WPADŁ DO GARNKA

Jako kalkulek wygrałem u Szymborskiej sennik. Dopiero po latach zrozumiałem i zacząłem się wstydzić.



JAKUB
KORNHAUSER

Jako kalkulek odwiedziłem Wisławę Szymborską, koleżankę mojego taty, żeby wziąć udział w jednej z chętnie przez nią organizowanych gier towarzyskich, tak zwanych loteryjek. Do wygrania było zwykle mnóstwo fantów, w tym okulałe figurki, przedmioty o nieustalonym przeznaczeniu, pamiątki z letniskowych deptaków; raz nawet ogrodowy krasnal, którego mój tata i Jerzy Pilch kupili gdzieś koło Żagania, wracając samochodem z targów książki we Frankfurcie, i przeznaczyli na wkład do puli nagród.

Fanty mamily dziwacznością, ale niestety grałem byłem mizernym, choć znałem siedmiolatków jeszcze mniej wprawnych w sztuce iluzji. Mimo że dawano mi fory, nie paliłem się, by z nich korzystać. Wołałem czekać, aż fortuna skapnie na mnie osobiście, bez natrętnych pełnomocników, których intencji nie umiałem rozszyfrować. Ostatecznie opłaciło się: po serii ryzykownych zagrywek wpadł mi w ręce niepozornej objętości „Sennik podróży” podpisany przez tajemniczą Marę. Gospodyni, przyszła noblistka, stwierdziła z lekkim uśmiechem, że z sennikiem w dłoni nigdy już nie będę się nudził, więc moim rodzicom odpadnie konieczność zmagania się z marudzącym berbeciem. Wszyscy bardzo się śmiali, ja zresztą też, chociaż w gardle rosła mi wielka gula odpowiedzialności.

Po czasie dotarło do mnie, że ów konkretny sennik, który wyniosłem od pani Wisławy w charakterze trofeum, nijak ma się do idei sennika pełnego odwołań do zakamarków nieświadomości, analizującego podszept żądź i skargi traum, wreszcie oferującego szeroką gamę symboli, alegorii i omenów z tysiąca bliższych i dalszych mitologii. W kieszonkowym, prawie-że-broszurowym wydaniu próżno było szukać onirycznych ścieżek, po których miałyby sobie spacerować to, co wyparte. Przeciwnie, znalazłem tam sporo codziennego konkretnego, całkiem niemetaforycznego, niemal dotykającego, choć przy tym nieznacznie zdeformowanego. Tak jakby marzenie senne polegało jedynie na prostym zaburzeniu porządku rzeczy, przedstawieniu ich względem siebie, pozabawieniu pierwotnego przeznaczenia i kontekstu, a nie na ujawnianiu ważnych dla psychiki warstw. Uważałem właściwie, że można to uznać za zaprzeczenie prawideł analizy snu; treść jawna nie zwiastuje ukrytych treści, zatrzymuje się na tym, co jest nam dane bezpośrednio.

Nie pamiętam, czy tłumaczyłem sobie te odkrycia w tak uczony spo-



• 30.09.1996 r., Warszawa, Wisława Szymborska podczas uroczystości wręczenia nagród stowarzyszenia PEN Club

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

sób. Pewnie nie, bo byłem zajęty obmyślaniem nowych światów, w których przedmiotom codziennego użytku nadawało się nowe imiona i zamieniało się je rolami. Potem dowiedziałem się, że coś takiego robili przed wojną dadaści i surrealiści, no ale i tak już sama świadomość, że wymyśla się awangardowe techniki, przydawała co nieco honoru. Chodziłem więc z „Sennikiem podróży” do szkoły, gniotąc go po kieszeniach wraz z gumami do żucia z Kaczorem Donaldem i karteczkami wyrywany mi z notesów ilustrowanych postaciami z „Króla Lwa”. Szybko zapamiętałem, że gdy spotkamy we śnie ludożercę, to musimy uregulować swoje długie, jeśli przyśnią nam się słodczyce, oznacza to zbliżającą się sprzeczkę, a jeśli wymioty – utratę kogoś bliskiego. Szczególnie trafiały do mnie interpretacje snów ze zwierzętami w rolach głównych. Nie tylko dlatego, że od dziecka interesowałem się ptakami, przesiadując godzinami w krzakach i na mokradłach, żeby wypatrzeć byle ślepowrona czy bączka, nie tylko z uwagi na jamnika Nadira, naszego charakternego współlokatora, lecz również ze względu na skryty tryb życia zwierząt, zwiastujący istnienie jakiejś innej rzeczywistości, pełnej niezrozumiałych rytuałów, pragnień, języków.

Toteż z przyjemnością skonstatawałem, że zwierzęta co do zasady konotuje się pozytywnie: wydry przynoszą masę szczęścia, myszy sygnalizują rychłe zwycięstwo, mrówki sukcesy w pracy, żubr ogromną wygraną, dzik natomiast – uśmiech losu. Nawet niepozorny chomik okazał się znakiem dobrobytu. Dziękowałem mojemu sennikowi, szeroko otwierałem faunie drzwi moich snów, cieszyłem się z odnalezionego sensu istnienia. I nawet to, że nasz rodzinny chomik Mikuś wpadł do garnka z barszczem, wcale nie zachwiało mojej wiary w siłę sennikowych sugestii – bo opity zupą wygraszył się po chochli na zewnątrz i jak gdyby nigdy nic wlaź pod koldrę, zostawiając wszędzie tylko bu-raczane ślady.

W duchu dziękowałem pani Wisławie, że to dzięki niej mogłem się przekonać o słuszności nieantropocen-

trycznych teorii, według których tylko w symbiozie z innymi organizmami jesteśmy w stanie znaleźć w codziennym funkcjonowaniu jakieś znaczenie. Pomyślałem wręcz, że to ona w kostiumie Mary przygotowała do druku mój „Sennik podróży” w niebieskiej okładce z lokomotywą sunącą wśród gwiazd przy akompaniamencie chrapiącego maszynisty.

Dopiero na lekcjach polskiego zauważyłem, jak często w poezji Wisławy Szymborskiej pojawiają się zwierzęta. To już nie tylko kot w pustym mieszkaniu, ktoś „z ławicy, mrowiska, brzęczącego roju” ani żółw, któremu „śni się listek sałaty”, lub martwy żuk, co „w nieopłakanym stanie ku słonku polśniewa”, wszechobecne małpy, jaskółki, motyle. To cała plejada stworzeń z własnym głosem, z uniikalną historią i miejscem pod szczególną gwiazdą. Czytałem wiersze pani Wisławy jako świadectwa – czasem w skali mikro, czasem w ujęciu bardziej uniwersalnym – wrażliwości na najdrobniejszą iskrę życia, które wcale nie zaleca się do nas, nie chce, żebyśmy je uwznioślali i zapelniali nim ikonosferę. To raczej skromne w formie i przez to mocne w treści skargi na niesprawiedliwość w nieuznawaniu zwierząt za współobywateli ziemskich ekosystemów; a czasem ostre, choć zawsze misternie uplecione, symptomy ekspiacji. Tak jak w wierszu, który chodzi za mną od wczesnej podstawówki, zatytułowanym wprost „Zwierzęta cyrkowe” i ukrywającym w wierszowanej, melodyjnej frazie tragedię słonia „obnoszącego karafkę na głowie” i „przypupujących do taktu” niedźwiedzi.

Zdanie wybite w środku tego tekstu, „Wstydzę się ja – człowiek”, wydawało mi się, i wydaje nadal, w swojej prostocie szalenie dojmujące. I od razu kieruje moje myśli raz jeszcze w stronę „Sennika podróży”, i sam zaczynam się trochę wstydzić. Nie dlatego, żebym żałował fascynacji snami, zwierzętami i językiem, którzy chciałby poopisywać ich wzajemne relacje; żałuję raczej nonszalanckiej, za jaką ja – człowiek – obdarzam nie-ludzkie istoty żywe pakietem imion, sensów, emocji i przekonań, jak gdybym chciał je wszystkie dla siebie zagarnąć i nacierać się nimi w glorii tego, co wydobyl je z drugiego planu. Mocą pańskiego gestu uniezależniać tylko po to, by służyły człowiekowi na innym odcinku jego potrzeb.

Pani Wisławo, dziękuję za to, że nigdy się dzięki Pani nie nudziłem. Choć marudzący berbec od czasu do czasu się chyba we mnie odzywa. ●

Dr Jakub Kornhauser

• literaturoznawca, tłumacz, poeta, juror konkursów literackich. Wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. Laureat Nagrody Szymborskiej za tom „Drożdżownia” (2015). Taternik i kolarz amator. Ostatnio wydał tomy poetyckie „Krwotoki i wiewiórki”, „Brzydko tną twoje noże?” i najnowszy „In amplexu” oraz książkę naukową „Niebezpieczne krajobrazy. Surrealizm i po surrealizmie”

Lubię ptaki za ich latanie i nielatanie

Przyznaję, lubię wiedzieć o czytanych i lubianych przeze mnie autorkach, autorach, osobach autorskich tyle, ile się da, ile wlezie.



MAŁGORZATA
LEBDA

Są jednak postaci, które stwarzają problemy, niewiele o sobie mówią, nie ułatwiają czytelnicznych śledztw, a tym samym je prowokują. Tajemnicą była dla mnie Wisława Szymborska, choć podążałam tymi samymi ulicami. Moje zakłopotanie wynikające z niewielkiej wiedzy objawiło się w pełni podczas gali nagrody jej imienia, w 2022 roku, kiedy to wyróżnienie w postaci tajemniczej kostki trafiło w moje ręce. Tamtej milej dla mnie nocy, wielu i wiele chciało napić się ze mną trunków alkoholowych i bezalkoholowych. Ale w tych wysokoprocentowych dopatruję się uruchomienia we mnie ciekawości. Wyobraźcie to sobie: stoicie przed wystawnymi lustrami w toalecie Teatru Starego, gdzie odbywa się gala, i wypowiadacie do lustra, ale przecież i do siebie w tym lustrze, pytanie: „Kimże jesteś, Wisławo?”. Za część tych wielkich pieniędzy (przelew przyszedł szybko, za co dziękuję Fundacji im. Wisławy Szymborskiej) wykupiłam

wszystkie książki niepoetyckie (poetyckie bowiem posiadam), które mogłoby naświetlić mi poetkę. Wśród tego trafiła się rzecz wspaniała, o której wiedziałam, że jest, ale jakoś się nie składało, żeby przeczytać – „Wszystkie lektury nadobowiązkowe” (Znak, 2015), czyli niedługie noty (felietony) o książkach czytanych przez poetkę. Miałam nadzieję, że tą pokrętną drogą, tymi tylnymi drzwiami dowiem się o Szymborskiej więcej. Popadłam w lekturę. Z czym zostałam? Oto wyimki z mojego śledztwa: Wisławie zdarzało się gubić książki; w literaturze nie lubiła dłużyżn (ale je wybaczła); mając cztery lata, poznała bajkę Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi” i uznała ją za „arcydziełko sentymentu i dowcipu”; lubiła książki, w których liczy się nogi stonogom; kiedy w szkole dowiedziała się, że na biegunie nie ma żadnego wulkanu, przyjęła tę informację z niesmakiem; nie uważała, że przysłowia są mądrością narodu; osobiście niechętnie zwiśla nad przepaścią (mowa o chodzeniu po górach), ale nie dziwiła się ludziom (poczytywała sobie to za zaletę), którzy zwisają; był czas, kiedy Wisława kochała się w dwóch mężczyznach naraz – Bohunie i Sherlocku Holmesie; nie lubiła słowa „majsterkowicz”, ale już ludzi, których to słowo określała – owszem, bardzo; nie potrafiła się skupić na czytaniu i oglądaniu, kiedy ktoś zaglądał jej w to czytane czy oglądane przez ramię; mieszkała w Krakowie, co jest równoznaczne z tym, że go nie zwiedzała... I, cytując samą Szymborską, która omawia listy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego i Juliana Tuwima: „Mało tu żeru dla biografów, którzy czyhają na osobiste sekrety”. Ale! To, co jest we „Wszyst-

kich lekturach nadobowiązkowych” o samej poetce, to nie tylko to, co zdradza, co jakby niechcący jej się o sobie samej wymknęło – to przecież z założenia teksty o innych. Na uwagę zasługuje też inny trop: pokazuje ona, w jaki sposób czyta, a robi to – ach! – zachłannie, wbrew modom, uważnie, krytycznie. W sądach jest błyskotliwa, czasem surowa, czasem czuła. Interesuje ją wiele: gady jadowite, drogi i mosty starożytności, zamierzchle epoki, historia europejskiego stroju, Kalisz, historia literatury tureckiej, kulinaria (od ananasa do ziemniaka!), książki, które nie dają na wszystko „uspokajającej odpowiedzi”, paleontologia, archeologia, bioakustyka, kalendarz ścienny na rok 1973 (Szymborska pod



**„Radość pisania.
Możliwość utrwalania.
Zemsta
ręki śmiertelnej”**

„RADOŚĆ PISANIA”
Z TOMU „STO POCIECH”, 1967

jedną datą natrafiła na fragment „własnego wierszyka”, a na odwrotnej stronie towarzyszył temu przepis na sernik wiedeński), podręcznik dla sztukmistrzów, ropucha *Bufo blombergi* (osiąga do 24 cm długości i 1 kg wagi!), ptasie gniazda, gimnastyka dla kobiet (w czasie ciąży i połogu), hatha joga, humor nonsensowy, psie choroby, pantomima, delfiny, Księżyc, asfalt, sny, bobry, Masajowie, złotnictwo, kuchnie Dalekiego Wschodu, dzieciństwo zwierząt, Miodrag Pavlović, wiktymologia, gladiatorzy, chiromancja, cykle nieba, grafologia, czarownice, uściski (tak!), anegdota, papierosy...

I jeszcze tu pozwalam sobie na osobny akapicik ilustrujący wspomnianą wyżej zachłanność, która jest szczególnej urody, takiej, że domaga się cytatu. Oto na książkę Stanisława Szenica „Królewskie kariery warszawianek” (Warszawa, 1971) Szymborska notuje: „Tytuł szalenie obciążający, a w środku tylko cztery panie. Nie taję, że cyfra wydała mi się skromna. Autor nie jest tu winien, bez wątpienia wołałby napisać książkę grubszą, gdyby tylko miał o kim”.

Przyznaję, moja ciekawość została pokarmiona. Wróciłam do poezji noblistki wraz z jej obrazem wyczytanym z felietonów, z poczuciem, że jest mi bliższa, z przekonaniem, że poetką była również w krytycznym pisaniu o innych – a niechże, poetką się jest, a nie się bywa! Pozostała jednak sprawa niewyjaśniona, która nie daje mi spokoju. Na początku lat siedemdziesiątych w jednym z felietonów Szymborska upomniała się o swoje: „Entuzjasta, który kilka lat temu pożyczył ode mnie Dywan wschodni Langego z r. 1921, przoszony jest o zwrot”. Wisławo, czy zostało ci zwrócone? ●

DWIE OSOBY NA TYSIĄC

Do Wisławy Szymborskiej przylgnęła opinia osoby skromnej i dlatego rzadko udzielającej wywiadów, broniącej się przed blaskiem fleszy.



KRYSTYNA
DĄBROWSKA

Albo czy poetka o najwyższych ambicjach artystycznych i filozoficznych naprawdę była taka skromna? Myślę, że konsekwentne unikanie mediów wynikało u niej z czego innego. Znała wartość słów w wierszu i zarazem wiedziała, jak łatwo wiersz zagadać. Komentowanie własnej twórczości byłoby przecież pośrednio przyznaniem, że nie może ona mówić sama za siebie, stać o własnych siłach. Jakby nie wystarczała praca języka i wyobraźni, z której wyrastają wiersze, jakby tekst poetycki potrzebował protez w postaci objaśnień, kontekstu biograficznego, a najlepiej – starannie wykreowanego wizerunku autorki.

Wprawdzie w 1996 roku, kiedy Szymborska dostała Nagrodę No-

bla, światem literackim nie rządziły jeszcze media społecznościowe, które napędzają kulturę lansu, autopromocji. Z dzisiejszej perspektywy była to epoka względnej niewinności. Tym większy szacunek budzi podejście Szymborskiej, jej niezgoda na to, żeby osoba twórcy czy twórczyni przesłaniała rzeczywisty dorobek, żeby pisarka stawiała się ważniejsza od swoich książek. Poeci mają intuicję; autorka „Soli” i „Wszelkiego wypadku” pewnie czuła, do jakiego zaburzenia proporcji to wszystko zmierza. Chroniła swoją prywatność, tak, bo czy bez niej napisałaby cokolwiek? Pozbawiona sfery, gdzie można odciąć się od zewnętrznego świata i, jak ujęła to Virginia Woolf w dzienniku, być pstragiem, który zawisa nieruchomo w strumieniu? Prywatność, samotność, chwilę głębokiej introspekcji są zresztą niezbędne nie tylko do pisania, ale w ogóle do zdrowego funkcjonowania. W „Lekturach nadobowiązkowych” Szymborska zauważa: „Samotność to bardzo dobra rzecz i każdy człowiek żyjący w wielkomiejskim kieracie koniecznie jej potrzebuje. Natomiast złą rzeczą jest osamotnienie. Kiedy wreszcie zaczniemy dostrzegać różnicę między tymi pojęciami?” („Ćwiartka Szymborskiej, czyli lektury nadobowiązkowe”, wybór: Jacek Dehnel, Znak 2021).

Udzielanie wywiadów, opowiadanie o własnym życiu i pracy pochłania potrzebną do tej pra-

cy energię. Tak samo publiczne komentowanie spraw z pierwszych stron gazet w czasach, gdy osoby wybitne w jednej dziedzinie uważa się za autorytety we wszystkich innych. Można tu co prawda zapytać, czy znana poetka nie powinna wykorzystać swojej literackiej renowy, żeby wypowiadać się jako public intellectual, zajmować wyraziste stanowisko w palących społecznie kwestiach. Zależy to, jak sądzić, od temperamentu, zawsze jednak istnieje ryzyko, że rola komentatorki wysunie się na plan pierwszy i „zje” poetkę. I nie chodzi o to, by zamykać się w wieży z kości słoniowej czy chronić królestwo czystego liryzmu. Kiedy czyta się takie wiersze Szymborskiej jak „Terrorysta, on patrzy”, „Fotografia tłum”, „Dzieci epoki” czy „Tortury”, widać, ile jej poezja czerpała z bieżących wydarzeń, jak żywo odpowiadała na aktualne dramaty społeczne i zagrożenia cywilizacyjne, inspirowała się nauką i technologią, brała pomysły z prasy i telewizji. Ale prawie nigdy nie są to wiersze publicystyczne. Szymborska tworzyła wielowarstwowy język, w którym konkret współczesności spotyka się z egzystencjalną syntezą. Znaleźnienie takiego języka wymaga czasu i namysłu, spojrzenia z boku, z ukosa. A gdy stoi się w centrum zainteresowania, w blasku fleszy, nie widzi się nic.

Każdy twórca musi czasami się ukryć, być anonimowym przechodniem, podróżnym, kimś, kto

uważnie obserwuje i słucha, sam nie przyciągając uwagi. Tylko jak pozwolić sobie na to dzisiaj, gdy o sukcesie (medialnym, rynkowym, nie artystycznym) tak często decyduje atrakcyjny image? Rozmawiałam o tym ostatnio z przyjaciółmi; ktoś wspominał o francuskiej pisarce Constance Debrie i jej autobiograficznej trylogii powieściowej, której kolejne tomy – „Play Boy”, „Love Me Tender” i „Nom” – ukazały się w ciągu ostatnich pięciu lat. Jeszcze ich nie czytałam, ale już wiem, że Debrie jest piękna: okładki jej książek przedstawiają autorkę z profilu lub en face na wystudiowanych, drapieżnych zdjęciach. Z recenzji i wywiadów w internecie poznaję w zarysie jej historię: wzięta prawniczka ze słynnej rodziny sędziów i polityków po dwudziestu latach małżeństwa porzuciła męża, pracę i wygodny dom, dokonała coming outu jako lesbijka i zajęła się pisaniem na pełen etat. Za przewrotem życiowym poszła metamorfoza fizyczna: zamiast kobiecej fryzury i togi – ogolona głowa, tatuaże, skórzana kurtka. Debrie w swoich książkach opisuje tę radykalną przemianę i walkę o odzyskanie prawa do opieki nad ośmioletnim synem. Z jednej strony jestem zaintrygowana; z drugiej, liczne sesje zdjęciowe, na których pisarka wygląda jak modelka, i pompowanie jej osobistego mitu sprawiają, że mam ochotę staroświecko zapytać: czy na-

prawdę dobre pisarstwo potrzebuje tego narcystycznego opakowania?

Dzięki fenomenowi Eleny Ferrante wiemy, że może być inaczej. Autorka lub autor bestsellerowych powieści do dziś ukrywa się za pseudonimem. A jednak Ferrante stała się celebrytką à rebours: jej tajemniczość, prowokująca rozmaite domysły, to nawet skuteczniejszy chwyt marketingowy niż medialna nadobecność.

Natomiast Szymborska ani nie celebrowała swojego ego, ani – mimo że strzegła prywatności – nie zakładała czapki niewidki. Po prostu nie chciała robić szumu wokół własnej osoby. Ważniejsze było, żeby jej wiersze mogły się wysunąć w czytelnicznych głowach. A jeśli nas, piszących dzisiaj poetów i poetki, przytłacza niekiedy szum obecny kult sukcesu, presja, żeby zaistnieć, żeby być swoim własnym agentem literackim na Facebooku, Instagramie i Twitterze, do brze sobie wtedy przypomnieć, że w przeciwnieństwie do prozy poezja i tak pozostanie w niszy. Nawet ta, na którą padł reflektor Nagrody Nobla. Jak pisała Szymborska w wierszu „Niektórzy lubią poezję”: „Niektórzy –/ czyli nie wszyscy, / Nawet nie większość wszystkich, ale mniejszość. / Nie licząc szkół, gdzie się musi, / i samych poetów, / będzie tych osób chyba dwie na tysiąc”.

Ta mniejszość, te dwie osoby, może jedna, są najcenniejsze. ●

Nie porównujcie Izraela z Polską

Pojechałem do Tel Awiwu w 24. tygodniu protestów przeciwko Netanjahu.

Jak oni to robią, że nadal im się chce?

Sadurski*

Ani się obejrzałem, jak w pięć minut po rozpoczęciu demonstracji w Herclii pod Tel Awiwem znalazłem się na podium, przed dwoma tysiącami manifestantów z flagami izraelskimi i transparentami w obronie demokracji, poproszony, by w pięć minut streścić, jak wygląda państwo, w którym władza zamachnęła się na niezależność sądów. Streściłem.

Ale do Izraela w 24. tygodniu protestów przeciwko „reformie” sądowiczej przyjechałem nie po to, by mówić, ale żeby słuchać. Aby zrozumieć, dlaczego na pozór skromne, techniczne (tak o nich mówi minister sprawiedliwości Yariv Levin) propozycje zmian wyprowadziły setki tysięcy ludzi na ulice i place wszystkich miast. – Protestuję, bo chcę zostać w tym kraju, chcę tu założyć rodzinę i chcę żyć w demokracji, a nie w dyktaturze – mówi mi O., 26-letnia studentka prawa.

Dla obserwatora znającego polskie czy węgierskie doświadczenia – stale tu zresztą przywoływane jako memento (popularne hasło skandowane na demonstracjach: „Yariv Levin, tu nie Po-

Suzie Navot: – To będzie wrogie przejęcie sądu najwyższego – jedynego gwaranta naszych uprawnień i jedynego organu, który może ograniczyć władzę rządu.

Stąd intensywność protestów. Ale jak podtrzymać tę moc z tygodnia na tydzień? To na skalę światową unikalne. Odpowiada mi A., 24-letnia studentka prawa (podobnie jak O. prosi o nieujawnianie tożsamości): – Bo nie możemy mieć cienia zaufania do rządu. Pamiętamy, że propozycje Levina cały czas są na stole. Rząd może w każdej chwili poddać je pod głosowanie i w ciągu 4 godz. staną się obowiązującym prawem. Musimy więc non stop wywierać presję.

Ale, zauważam, pod auspicjami prezydenta Isaaca Herzoga toczą się negocjacje między różnymi siłami politycznymi, a projekt ustawy został zawieszony przez premiera „Bibiego” Netanjahu?

Yaniv Roznai, profesor prawa Uniwersytetu Reichmana w Herclii, bierze czynny udział w tych negocjacjach. Mówi mi, że prezydent odgrywa pozytywną rolę, „nie ma własnej agendy” i zgodzi się na każdy konsensus. Ty-

dzi sefardyjscy (takim jest on sam) nie mają zaufania do sędziów, na których opiera się władza Pierwszego Izraela. Moshe nachyla się i dodaje ze znaczącym uśmiechem: – Bo wiesz, Wojciech, lewica nie ufa zwykłym ludziom. Bardziej ufa sędziom.

Cohen-Eliya przestrzega przed porównywaniem Izraela z Polską czy Węgrami. – To opór niedemokratycznego sądu najwyższego przeciw zmianom – mówi i ma swój pomysł, który forsuje w negocjacjach prezydenckich, m.in. za pośrednictwem prorządowego think tanku Kohelet. To „Propozycja 2/3”. Sędziów SN ma wybierać dwie trzecie członków Knesetu („Jak w Niemczech – mówi Cohen-Eliya – co wymaga ponadpartyjnego uzgodnienia”). A sąd będzie mógł unieważniać ustawy Knesetu – ale minimum większością dwóch trzecich składu.

We wszystkich rozmowach z żydowskimi znajomymi uparcie wracam do wielkiego nieobecnego w dzisiejszym konflikcie: Palestyńczyków. To taki słoń w pokoju, którego się nie dostrzega.

Wybitna filozofka polityczna, dawniej wielokrotna minister w rządach Partii Pracy, a obecnie rektorka elitar-

– Do końca czteroletniej kadencji ten rząd na pewno nie dotrwa, ale też nie upadnie bardzo szybko – przewiduje Yaniv, a Yael Tamir uważa, że następnym premierem będzie centrowy polityk Beni Ganc, przywódca Partii Niebiesko-Białej (kolory flagi narodowej). Netanjahu opiera się na sojuszu Likudu ze skrajnymi prawicowymi stronnictwami broniącymi osadników i religijnych ultraortodoksów. Co oznacza, że jest zakładnikiem radykałów i fundamentalistów – słyszę w Izraelu. Dodatkowo jego pozycję osłabiają ciągnące na nim stale zarzuty korupcyjne, o czym większość rozmówców mi skwapliwie przypomina.

Nie byłbym sobą, gdybym nie zapytał prawniczego komentariatu, czy dzisiejszy „moment konstytucyjny”, jak nazywa obecny okres wielu protestujących i obserwatorów, to nie jest dobra chwila, by postawić na porządku dziennym kwestię przyjęcia całościowej konstytucji, bo Izrael jest demokracją bez pisanej „dużej” ustawy zasadniczej.

Moshe Cohen-Eliya nie uważa tego za potrzebne: częściowe ustawy zasadnicze jego zdaniem wystarczają. A Tamar Hostovsky Brandes tłumaczy, że to kwestia terytoriów okupowanych jest prawdziwą przeszkodą, uniemożliwiającą przyjęcie „normalnej” konstytucji. – Bo kogo miałaby ona dotyczyć? Tylko ludności mieszkającej na terenach wewnątrz „zielonej linii”, czyli nie wliczając terytoriów okupowanych? Na to nigdy osadnicy się nie zgodzą. Ale włączenie osadników do ludności objętej konstytucją, przy pominięciu mieszkających obok nich Palestyńczyków, którzy przecież nie są obywatelami Izraela, oznaczać będzie konstytucję apartheidu. Czyli tematu nie ma.

– Nie zapominaj, że Izrael jest państwem z nieuporządkowanymi granicami i ludnością – dodaje.

Z Herclii jadę z Yanivem do centrum Tel Awiwu. Tam centralna demonstracja na ulicy Kaplana: 120 tysięcy ludzi. Morze flag izraelskich, nieco tęczowych sztandarów LGBT+, a w uliczkach prowadzących do Kaplana nieformalne „strefy” – strefa kombatanów wojennych, strefa studencka, strefa prawników. Na obrzeżach mała grupa propalestyńska z transparentem: „Naród, który okupuje inne narody, sam nie może być wolny”.

Tuż przy głównej scenie widzę kobietę z tekturą: „Poznałam dyktaturę w Chile, teraz walczę o demokrację w Izraelu”. Presada? Być może. Ale oddaje atmosferę w piątym miesiącu protestów. ●



***Wojciech Sadurski** – jest profesorem prawa Uniwersytetu Sydneyjskiego i profesorem w Centrum Europejskim UW. Niedawno nakładem Austerii ukazała się jego książka „Demokracja na czarnej godzinie”



lin!”) – skala proponowanych „reform” może się wydawać niewielka. Chodzi o metodę powoływania sędziów i pewne ograniczenia kompetencji sądu najwyższego. Ale to perspektywa błędna, bo nieuwzględniająca realiów ustrojowych Izraela.

Jak ocenia Suzie Navot, profesorka z Izraelskiego Instytutu Demokracji: – Jeśli koalicja rządząca chce zdobyć nieograniczoną władzę, w Izraelu musi zrobić tylko jedną rzecz: przejąć kontrolę nad powoływaniem sędziów sądu najwyższego.

Jedynym ograniczeniem władzy wykonawczej w tym kraju jest bowiem sąd najwyższy – a to właśnie jego skład ma być ustalany przez zmodyfikowaną zgodnie z planem Levina komisję nominacyjną. W komisji, wedle planu Levina, większość mają mieć przedstawiciele koalicji rządzącej, na której opiera się rząd Netanjahu. Czyli PiS-owski trik: niech sędziów powołują politycy rządzącej partii, których potem ci sędziowie będą niby mieli kontrolować.

le że do konsensusu daleko, choć pewne pierwotne pomysły Levina już podobno szczęśliwie „spadły ze stołu”, np. pomysł przyznania Knesetowi kompetencji do obalania wyroków sądu najwyższego większością 61 głosów (na 120 członków parlamentu).

Dzisiejszy kryzys to nie tylko konflikt między różnymi koncepcjami prawników, ale też wyraz głębokiego pęknięcia w społeczeństwie izraelskim. Jak mi tłumaczy centroprawicowy ekspert (a przy tym profesor prawa) Moshe Cohen-Eliya, regularny komentator w prorządowej telewizji Kanał 14, dzisiejszy konflikt to reakcja „Drugiego Izraela” na lata dominacji „Pierwszego Izraela”. Drugi Izrael to Żydzi sefardyjscy, pochodzący z Bliskiego Wschodu i północnej Afryki, przekonani, że od początku byli odsunięci od władzy przez Pierwszy Izrael, czyli Żydów aszkenazyjskich, tych z Europy. – Pierwszy Izrael ma wszystkie instytucje poza Knesetem – mówi mi Eliya. A Ży-

nego college'u humanistycznego pod Tel Awiwem, Yael Tamir, tłumaczy mi: – Większość Żydów izraelskich doszła do wniosku, że okupacja i demokracja to dwie różne rzeczy, że możliwa jest demokracja i okupacja jednocześnie. Profesor Tamir mówi, że nie zgadza się z tym rozdzieleniem, ale to jest dominujący pogląd. – Tak rozumują przywódcy protestu: dziś mamy konkretny problem do rozwiązania. A sprawą arabską zajmniemy się później.

Yaniv Roznai zaś mi tłumaczy: – Dla Palestyńczyków nasza walka o demokrację to wewnątrzżydowska sprawa. Oni nam mówią: „Wyjaśnijcie to między sobą, zmieńcie swój rząd, a my zobaczymy, co z tego wyjdzie”. I dodaje, że liderzy protestów też niespecjalnie zapraszają Palestyńczyków, by nie odstraszyć umiarkowanych i konserwatywistów. Włączenie „sprawy arabskiej” do agendy protestu ograniczyłoby zasięg ruchu. Zwłaszcza że Arabowie do tego się nie kwapią.

Prawniczka Tamar Hostovsky Brandes, aktywna w ruchu protestu, uważa, że przywódcy palestyńscy czynią błąd, zachowując bierność. – Oni będą głównymi przegranymi destrukcji sądownictwa. – W jaki sposób? – pytam. – Gdy sąd najwyższy zostanie przejęty, łatwo będzie odebrać głos izraelskim Arabom w wyborach. Już teraz przed każdymi wyborami komisja wyborcza stara się pod różnymi pretekstami wyeliminować partie arabskie, ale sąd najwyższy unieważniał większość tych decyzji. Przejęcie sądu przez dzisiejszą większość będzie klęską dla partii arabskich.

Daukszewicz gorszy od Czarnka

Dla kogoś, kto zaatakował świętość,
nie ma miejsca we wspólnocie.

Marcin Matczak



Sprawa Daukszewicz vs. Jaconi pokazuje, że wolność słowa jest u nas zagrożona podobnie jak godność osób transpłciowych. I to zagrożona zarówno z prawej, jak i z lewej strony. Pytacie w listach, dlaczego się na tę lewą stronę uwzięłem. Bo bardziej boję się wilków w owczej skórze niż wilków normalnych, a społeczeństwo otwarte trzeba chronić od przyjaciół, bo przed wrogami samo się obroni. To, że prawica lubi cenzurę, wiadomo. Ale prowolnościowa lewica?

Nie chodzi o obronę Daukszewicza. Jego żart był nieempatyczny jak Morawiecki mówiący po śmierci kobiety w ciąży, że za PO umierało ich więcej. On wie, że dołożył się do cierpienia osób transpłciowych i na krytykę zasłużył. Ale ludzie idą dalej – i temu należy się sprzeciwić. W normalnym świecie przeprosiny są wystarczające, w nienormalnym nie znaczą nic. Staję więc w obronie przeprosin.

Sprawa „żartu” to przykład kultury kasowania (cancel culture), a ona nie jest po prostu krytyką czy nawet hejtem, bo na nich nie poprzestaje. Nie jest kasowanie, jak twierdzi redaktor Orliński, po prostu bojkotem – tym byłoby niekupowanie płyt czy książek Daukszewicza. Kasowanie objawia się w pragnieniu, by człowiek zniknął – z telewizji albo z życia publicznego w ogóle. Jest wygnaniem ze wspólnoty, miksem banicji i ekskomuniki. Żądaniem, by kogoś nie było wśród „nas”, bo to, co zrobił, ukazało jego nieakceptowaną inność.

Kasowanie jest potomkiem ateriskiego ostracyzmu i petalizmu znanego z Syrakuz. To ucywilizowana agresja. Banicja była alternatywą dla zabicia przez tłum, a rzymskie exsilium – karą zastępującą śmierć. Balijską praktykę kasepekan – wyrzucanie ze społeczności osób lub całych rodzin – porównuje się do „społecznego i duchowego wyroku śmierci”. Żadna krytyka czy bojkot nie idzie tak daleko. Kasowanie jest podobne do praktyk religijnych: do katolickiej ekskomuniki, „wykluczenia” u świadków Jehowy czy „odłączenia” w Kościele scjentologicznym. Opiera się na przekonaniu, że ktoś zaatakował świętość. Dlatego nie ma dla niego miejsca we wspólnocie. Daukszewicz ma zniknąć, bo zdaniem kasujących dopuścił się wobec osób transpłciowych tzw. mikroagresji. Ten wymysł lewicy to agresja podświadoma, wynikająca z bycia członkiem danej klasy, np. bycia białym, „konserwatywnym przykiem” (Magdalena Środa). Taki ktoś, cokolwiek świadomie robi, mikroagresji nie ukryje, bo ta, zdaniem lewicowych aktywistów, wychodzi mu przez pory. Na tym polega problem: nie można mikroagresji powstrzymać, ale można zostać z nią ukaranym. Co więcej, za nieintencjonalny błąd karze się tak samo jak za intencjonal-

ne, złośliwe działanie. Przecież w tej narracji Daukszewicz jest takim transfobem jak Czarnek.

Renata Kim pisze: „Osoba, która powiedziała coś takiego, nawet jeśli przeprosi, przyrzeknie poprawę, to nie zmienia faktu, że pod spodem transfobia w niej tkwi”. Innymi słowy, nic nie może Daukszewicz z nią zrobić: „żart” to odsunięcie zasłony, pozwala wejrzeć w jego czarną duszę. Nieostrożne słowo, jak u Freuda, ujawniło prawdę o człowieku.

Także Jaconiowi żal Daukszewicza nie wystarczy. Jasne, „żart” dotknął sprawę dla niego najważniejszej. Ale podobno nazywał przeprosiny Daukszewicza „pokątnymi” (znowu motyw tego, że ten co innego mówi, a co innego w nim tkwi), a na pewno napisał, że potrzebuje nie przeprosin, ale publicznej nauki. Co to znaczy? Czy Jaconi chce uczyć wrażliwości wobec osób transpłciowych Daukszewiczem i hejtem na Daukszewicza? Jak taka nauka ma wyglądać i czy jest moralnie dopuszczalna? Czy to nie wykorzystanie człowieka? Mimo wyrażenia żalu ma cierpieć za swoją nieostrożność w imię wyższej sprawy? Czy to nie przeczy słowom Jaconia, że „sytuacja, w której walcząc o godność jednych, rozjeżdżamy walcem godność drugich, jest niedopuszczalna”? Czy nie lepiej było powiedzieć, że przeprosiny zamykają sprawę?

Dla kasujących nie zamykają. Renata Kim proponuje, żeby Daukszewicz „poszedł na spotkanie o transpłciowości organizowane przez Piotrkę Jaconia, zgłosił się jako wolontariusz do fundacji Transfuzja i tam nauczył się wszystkiego, czego potrzebuje, i zamówił książki o transpłciowości, a jest ich sporo w Polsce”. Czyli resocjalizacja – dogłębna, nie powierzchowna zmiana przestępcy. Kim, jak w Kościele scjentologicznym, daje Daukszewiczowi szansę. Scjentolodzy twierdzą, że złe czyny osoby „odłączanej” wynikają z tego, że posiada ona „fałszywe dane”, i aby uniknąć „odłączenia”, trzeba dostarczyć jej „dane prawdziwe”. Kim zatem dostarcza, nie bacząc, że twierdzenie, iż Daukszewicz nie potrafi zrozumieć tego, co zrobił, bez reedukacji, jest poniżające dla tak inteligentnego człowieka.

Kasowanie to atak na rzecz dla społeczeństwa otwartego najcenniejszą: na wolność słowa. Ona ginie, gdy pojawia się strach przed eksperymentowaniem, nawet głupim, bolesnym czy kiczowatym. Bo wtedy pojawia się autocenzura, efekt mrozący i kończy się niekrepowana twórczość.

Kiedyś na spotkaniu autorskim Szczepan Twardoch musiał się tłumaczyć Justynie Sobolewskiej z tego, że w „Królu” nad Warszawą lata wieloryb. Mówił, że artysta jest jak alchemik, który musi mieszać różne substancje i liczyć na to, że powstanie coś dotąd nieistniejącego, ale pięknego. Jednak czasem mu wybuchła. Mimo to musi stąpać po granicy między sztuką a kiczem, eksperymentować, swobodnie kreować – książkę, żart, ideę – bez obawy, że to go zniszczy. Myślę, że w imię tej wolności satyrycy odchodzą ze „Szklą kontaktowego”.

Ktoś powie: nie wolno eksperymentować kosztem cierpienia innych. Tak. Dlatego mamy krytykę i instytucję przeprosin. Niezamierzony efekt eksperymentowania słowem – cierpienie – łagodzi się słowem, nie zniknięciem winowajcy.

Z petalizmu zrezygnowano w Syrakuzach, bo wybitni obywatele w obawie przed wygnaniem wycofywali się z życia publicznego, a gdy to robili, przywództwo trafiało w ręce mniej zdolnych, co przynosiło kryzys. Historia uczy też, że można poddawać banicji nie tylko ludzi, ale i przedmioty nieożywione: Iwan IV Groźny zesłał na Syberię dzwon, który wzywał do protestu przeciwko niemu.

Może więc by tak poddać banicji kasowanie? ●

PO PRAWDZIE

5-10-15

Kaczyński nie posłuchał Sierakowskiego i Sadury i teraz ma problem.

Agnieszka Kublik



Mnośtwo dobrych chęci, sprawnej organizacji, wielkiego zaangażowania Polaków w pierwszych miesiącach wybuchu wojny w Ukrainie to była niewymuszona, instynktowna pomoc. Po prostu byliśmy romantyczni i serdeczni. Za to nasze obywatelskie wsparcie rząd Kaczyńskiego chętnie i nieskromnie przyjmował gratulacje z zagranicy.

Państwo powinno potem szybko przejąć organizację tej pomocy. Nie przejęło. W efekcie sympatii wobec Ukraińców mamy coraz mniej. A Kaczyński to wykorzystuje. Czy to było z premedytacją obliczone na skok antyuchodźczych emocji przed wyborami?

Państwa unijne na początku czerwca uzgodniły solidarną odpowiedzialność za migrantów. Polska miała by przyjąć około dwóch tysięcy osób (kwota jest pochodną PKB i populacji), ale ponieważ przyjęliśmy około miliona uchodźców z Ukrainy, być może byłibyśmy z tego zwolnieni. Bo – co PiS pomija – państwa członkowskie wynegocjowały zapisy o możliwości całkowitego lub częściowego odstąpienia od tzw. wkładu solidarnościowego przez państwa, które „znajdują się pod silną presją migracyjną”.

Ale Kaczyński rozpętał wokół tematu gorący spór. Padły zakłęcia o „naruszaniu suwerenności Polski” i zapowiedź referendum w sprawie relokacji migrantów. „Nie zgodzimy się na to, nie zgadza się na to także naród polski. Ta kwestia musi być przedmiotem referendum” – grzmiał w Sejmie.

Potem na swoich wiecach oskarżał Unię: „Dzisiaj na skutek różnego rodzaju czynników, w tym braku wyobraźni zachodnich elit, rusza nowa fala. Nowa fala przez Morze Śródziemne. Być może będą uruchamiane znów nowe wielkie ataki, bo już się zaczynają, na naszą granicę. Szczególnie granicę z Białorusią. My się obronimy, ale nie pozwolimy, żeby inni decydowali za nas”. „Re-fe-rendum!” – skandowali ludzie.

Referendum za miliony, by miliony decydowały o dwóch tysiącach migrantów, których być może wcale nie przygarniemy? A gdzie tam. Jak w 2015 roku Kaczyński chce rozhuścić nastroje przeciwko obcym, by wystąpić w roli jedyne go obrońcy Polaków. Ale wyrosła mu konkurencja. Podczas konwencji Konfederacji słychać było okrzyki „Stop ukrainizacji Polski!”. I brawa.

Ta konkurencja rosła od początku wojny, tylko po cichutku. Antyukraińskie nastroje socjolodzy rejestrują od miesięcy. „Niechęć do Ukraińców jest coraz większa” – mówili już jesienią Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski, którzy przygotowali raport

„Polacy za Ukrainą, ale przeciw Ukraińcom”. „Temat poruszali ludzie sami, niepytani. Wielkomiejska klasa średnia równie chętnie, jak klasa ludowa z mniejszych ośrodków”.

I ostrzegali: „Koniecznie trzeba rozbroić tę ukrytą niechęć, zanim wybuchnie. Inaczej ktoś to zagospodaruje i zgarnie kluczowe 5-10 procent”.

Rząd ich nie rozbrajał. I teraz Kaczyński musi podgrzewać antyuchodźcze nastroje, żeby odebrać te procenty Konfederacji.

Znów Sierakowski z Sadurą: „Niestety sympatia nie jest już dominującym uczuciem u Polaków. We wszystkich grupach społecznych, wiekowych, w dużych i małych miastach i bez podziału na płeć, dominują negatywne uczucia wobec uchodźców z Ukrainy”.

Skąd tyle niechęci?

Sadura: „To jest oczywiście podsyte brakiem wiary w państwo, obawą, że system usług publicznych nie da rady”. Sierakowski: „To tradycyjny sposób Polaków na wyjaśnianie lub odregowanie swoich problemów. Gdyby ufali państwu, gdyby świadomość społeczna i klasa polityczna były na trochę wyższym poziomie, to Polacy by patrzyli na procesy społeczne, a nie szukali winnych”.

Czego konkretnie boją się Polacy? Utraty pierwszeństwa w dostępie do świadczeń i do służby zdrowia, edukacji, opieki.

„Jedyną klasową różnicą w ocenie polityki państwa wobec uchodźców jest ta, że badany z klasy średniej zdarza się upatrywać szansy w tym, że uchodźcy z Ukrainy podejmą się pracy za niższe stawki, co pozytywnie wpłynie na inflację. Ale to kalkulacja w gruncie rzeczy czysto pragmatyczna: mogą zostać, dopóki na nas pracują. Dla rozmówców z klasy ludowej masowy napływ zdesperowanych ludzi to konkurencja w produkcji i niewyspecjalizowanych usługach, a do tego zagrożenie ograniczeniem dostępu do wsparcia państwa. Ten resentyment będzie rósł” – czytamy w raporcie.

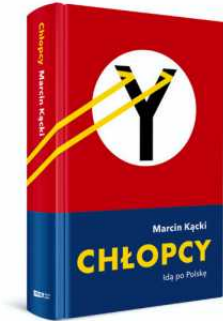
„Ukraińcy stali się ofiarami niezadowolenia z pogarszającej się sytuacji ekonomicznej Polaków, a przeciwko uchodźcom zadziałało to samo, co wcześniej nastawiało Polaków przeciwko innym Polakom” – to wnioski socjologów.

W Niemczech w 2015 roku AfD z mikroskopijnej partyjki wyrosła na trzecią siłę – a przecież tam media i elity polityczne nie dopalały niechęci wobec uchodźców, publicznie ją artykułując. Bo populiści mają intuicję i potrafią wykorzystywać badania naukowe lepiej niż demokraci. Kaczyński wie, jak wykorzystać „sezon na uchodźców”, co udowodnił osiem lat temu. Ale teraz trafił na cwańszych od siebie.

Do czego się posunie, żeby ich zaszachować? ●

Kim są konfederaci, „kuce Korwina” i sieroty po wszechpolakach? Książka Marcina Kąckiego „**CHŁOPCY, Polskę**”, wyd. Znak. Litera Nova ukaże się 12 lipca.

W przedsprzedaży na Znak.com.pl



KILKA PROCENT DREDÓW

**Lewica prowincjonalna,
czyli jak ponownie
nawiązać kontakt
z rzeczywistością**

Ziemowit Szczerek

Wszyscy to znamy. Przyjeżdżają, powiedzmy, warszawscy lewicowcy na prowincję spotkać się z lokalnym aktywnym. A tu, dajmy na to, któryś z prowincjonalnych aktywistów, i to taki bardzo aktywny i zapalony, ma – powiedzmy – dredy. I tu już się potencjalnie może zacząć inba. Bo czy te jego dredy przypadkiem nie są kulturalnym przywłaszczeniem kultury, na przykład, Jamajczyków?

Czy biały mężczyzna, przepraszam, osoba białoskóra, w ogóle może mieć dredy? I zaczyna się wielkomiejski zamek wampirów, toksyczny, nietoperzowy lot środowiska wielkomiejskiej lewicy wokół wszystkich innych, niezależnie od tego, czy z tą lewicą sympatyzują, czy nie. Zaczyna się przeteoretyzowanie, zaczyna się dzielenie włosów i zapalki na czworo. Nie wspominając już o fakcie, że sama Tokarczuk, jako niedostatecznie lewicowa według lewicowych zapalczywców z tzw. lewicy teoretyzującej, kwalifikuje się jako „osoba dziaderska”.

Gorzej, jeśli do gry wchodzi lewicowi wielkomiejscy akademicy: wtedy, na przykład, zacząć się może udowadnianie – wbrew zwykłemu doświadczeniu wielu ludzi – że w PRL-u ludziom nie mogło się żyć źle, bo tak rzeczonym akademikom wychodzi z teorii, że socjalizm był świetnym systemem, a wszyscy, którzy go pamiętają i im się, cóż, nie podobało – to dziadersi, którzy nie powinni się odzywać. Kiedyś, w siedzibie krakowskiej lewicowej spółdzielni Ogniwo, byłem świadkiem, jak pewien sympatyzujący z lewicą, ale nadzwyczaj rzeczowy człowiek, muzyk i budowlaniec, trzy razy zadawał proste pytanie: „W jaki sposób lewica zamierza sprawić, by w potencjalnym, rządzone przez nią świecie nie odnowił się podział na równych i równiejszych, na przykład, kult jednostki?”, bo on takiego pomysłu na lewicę nie widzi, i trzy razy szacowne grono lewicowych intelektualistów-teoretyków nie było w stanie mu na to pytanie odpowiedzieć, uciekając się do akademickiego buksowania, które przypominało lecące przez ekran cyfry z „Matrixa”.

A jeszcze gorzej, jeśli do wrót lewicy zakolatają dotychczasowi wyborcy, powiedzmy, PO, wychowani w hiperliberalnej narracji. Jeśli skłonią się nagle ku teozom lewicowym. A skłonić się mogą z różnych powodów: a to dlatego, że tezy takie są aktualnie modne wśród młodzieży (choć ak-

tualnie i z tej grupy wiekowej wypiera je Mentzen), a to dlatego, że nie podobają im się wszechwładza Kościoła czy toksyczne szczucie prawicy na kolejne grupy społeczne. Albo że nie podoba się im prawicowa tożsamość ideologiczna z paleokonserwatywnym Putinem. Wtedy, idąc w lewicę z otwartymi ramionami, ale jednak nie do końca mózgiem otwartym na wszystkie tezy turbulewicy, od narracji „Jakub Szela baza” czy fantazjowanie o rewolucyjnym terrorze po cancelowanie autorki „Harry’ego Pottera” za jej poglądy dotyczące transseksualizmu. A wtedy dowiadują się często, że „japa, libku” i że „mamy w dupie twój głos”.

Efekt: może to jeden z powodów, dla których przywiązanie do lewicowych poglądów deklaruje w Polsce znacznie więcej osób, niż rzeczywiście głosuje na lewicę.

POSEŁ I LANS

A czy tak jest faktycznie? I jakie są inne powody? Z pytaniem brzmiałym: „Dlaczego w Polsce, gdzie jest potencjał na kilkadziesiąt procent poparcia dla lewicy, lewicowe partie mają poparcie ledwie o kilka procent wyłazające ponad próg wyborczy?”, nie zamierzałem się kierować do wielkomiejskiej, „centralnej” lewicy. Tej nadającej ton lewicowej narracji. Z tymi jej problemami dotyczącymi jakości kotletów sojowych, z jej świętymi krucjatami przeciwko winom bezalkoholowym dla kobiet w ciąży, przeteoretyzowaniem i odklejeniem. Tylko zrobiłem to, co zawsze, gdy mam powyższego dość: wyjechałem w Polskę.

Weźmy takie Końskie. Miejsce, w którym, jak głosi mądrość polityczna Grzegorza Schetyny z 2015 roku (do tej pory niewykorzystana), „wygrywa się wybory”. Miasto niespełna dwudziestotysięczne, ze starym, popałowym parkiem i jego zabudowaniami (też odremontowanymi), ze starymi osiedlami z czasów PRL-u tonącymi latem w zieleni, a zimą w wilgoci i błocie. Miasto, w którym za PRL-u działała wielka państwowa odlewnia, bo Końskie ma tradycję przemysłową sięgającą głęboko w prze-

szłość, później sprywatyzowana i podzielona na mniejsze zakłady. Z nowymi chodnikami, z odremontowanym ostatnio rynkiem, który mnie się nawet podoba, bo po remoncie tworzy czytelną centralną przestrzeń i nadaje w końcu miasteczku urbanistyczny porządek.

– Podoba ci się? – pyta Piotr Matyjaśkiewicz, psycholog z wykształcenia, który dziś pracuje w HR Rossmanna, i działacz, jak sam mówi, z „sercem po lewej stronie”, który latem 2020 roku współorganizował „czarny marsz” przeciwko zakazowi aborcji. – Przecież to bez sensu zabetonowane, i skwerki wycięli...

– No skwerku szkoda – mówię – ale akurat ja mam w głowie ustawione tak, że w mieście musi być rynek, bo miasto bez rynku to chaos i brak oparcia.

– Konecki vox populi ma inne zdanie i mówi, że betonoza – ucina Matyjaśkiewicz. – Pamiętasz? Tu się w 2020 roku nasz marsz zaczął.

Pamiętam, bo byłem. I nawet opisywałem. Ten marsz okazał się frekwencyjnym sukcesem tak wielkim, że aż zaskoczył wielu, w tym samego Matyjaśkiewicza. Wszystkich: Kościół, lewicę, policję, samych mieszkańców Końskich, którzy, pamiętam, patrzyli na to wszystko z grubym niedowierzaniem. Tak wielki potencjał protestu przeciwko ultrakonserwatywnej władzy się odsłonił w prowincjonalnych Końskich. Mieście, w którym „wygrywa się wybory”, a które – podobno – jest „bastionem PiS-u”.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale pogoniłem wtedy z trybuny posła lewicę, który chciał przemawiać, i mu powiedziałem, że przyjechał do Końskich na gotowe, polansować się, gdy ktoś za niego zrobił protest, zamiast się od początku interesować swoimi wyborcami – mówi Piotrek. – Nie chcę tu brzmieć jakoś buńczucznie, ale cholera, gdybym był w jakichś warszawskich lewicowych strukturach, tobym tu do nas, do miejsca, gdzie się okazało, jak wiele lewica może ugrać, przyjeżdżał i chciał z nami, organizatorami, rozmawiać. Poznać sytuację, dowiedzieć się, jak z ludźmi rozmawiać.

Idziemy więc przez Końskie.

ZA NORMALNOŚCIĄ

– Tu – pokazuje Piotrek – była odlewnia, tu, gdzie teraz starostwo, był biurowiec odlewni. Po drugiej stronie ulicy jest taki, widzisz, sadek, szkoła miała tam powstać, ale nie powstała, i gdy była wypłata, to wszyscy, cała odlewnia, w tym mój ojciec, który też tam pracował, i to prawie do końca, szła tam i siedziała do nocy. Taki – mówi – robotniczy karnawał.

Idziemy do osiedlowej knajpy, całkiem niedaleko odlewni. Wystrój jak ze starych dobrych, klientela typu starsi, zmęczeni życiem, piwo po 6 złotych, w telewizji mistrzostwa w Krakowie, przez publikę zwane „sasinosowymi”.

– E! Ja bardzo przepraszam! – krzyczy siedemdziesięcioletni pan Józek z za ostatniego stolika. – Ale za kogo głosujecie? Nie za PiS-em przypadkiem? Nie za państwem policyjnym? Bo ja nie! Ja za normalnością!

Pani z za baru prosi, żeby bez polityki było, bo tu się potrafią za pyski brać, choć sama, sugeruje, podobnie jak pan Józek też nie za PiS-em bynajmniej.

– No widzisz – mówi mi Piotrek, przynosząc dwa piwa. – A u nas jednak to elektorat, nazwijmy go, socjalny. Taki, w którym lewica zdobywała po 40 procent poparcia, bo adresowała przekaz do tych ludzi, że ich wyciągnie z biedy, z bezrobocia i tak dalej. A lewica pozwoliła tę przestrzeń zająć PiS-owi. A PiS też jest partią socjalną. Daje programy takie jak 500 plus. I wyborca mówi: okej, PiS też kradnie, ale się dzieli. A lewica abdykowała.

– Nie no, lewica też mówi o programach socjalnych – przypominam.

– Ale ja tego nie słyszę! Tu tego nie słychać. Ja słyszę, że lewica każe wpisywać do mediów społecznościowych zaimek albo żeby pakiety menstruacyjne były w szkołach. Ja się zresztą tym zgadzam, ale jeśli główna narracja na tym polega, a nie na mówieniu, że to nie twoja wina, że się urodziłeś w takich Końskich, że my ci pomożemy, no to człowiek taki głosuje na PiS, a nie na lewicę. Myślę, że twoja teza, że wielkomiejska banieczka zjadła lewicę, ma coś w sobie. Wystawiając na czoło kwestie głównie światopoglądowe, lewica sprawia, że ludzie głosują na PiS.

– Za to krytykuje lewicę Remigiusz Okrasa. Magda też. W ogóle lewica zawierciańska tak zwana.

– No tak, ale Remik Okrasa z kolei wydaje mi się za bardzo antydemokratyczny, za wiele wybaczając PiS-owi, czego ja, właśnie z pozycji lewicowych, demokratycznych,



ILUSTRACJA HANNA PYRZYŃSKA



uwążam, że nie powinien robić. Ten PiS go uwiódł. A PiS twierdzi, że ceną za pakiety społeczne musi być autokratyzacja państwa, musi być kościół na każdym kroku. A dla-czego niby musi?

- No to jak konkurować z PiS-em?
- Lewica nie powinna, moim zdaniem, tak konkurować, żeby dawać ludziom jeszcze bardziej populistyczny szit, tylko powinna robić to, co do niej należy. Czyli mówić o redystrybucji, że jak ktoś za dużo zarabia, to powinien się dzielić. Ale też żeby nie wyjeżdżać od razu z takim poziomem, 80 procent, jak Razem na początku! Przecież w Polsce nadal jest wielki mit dorabiania się, pod tym względem jesteśmy mocno zame-rykanizowani.
- Czyli balansować.
- Powinna lewica mówić, że gdyby takie firmy jak Amazon, dają przykład, płaciły większy podatek, to w takich Końskich można by, nie wiem, chodnik wyremontować.
- Lewica to mówi.
- Okej, ale jakoś tego nie słysząc, a jeśli nie słysząc, to nie jest to wina wyborców. W Końskich ludzie oglądają albo TVP, albo TVN i ani tam, ani tu lewicy za bardzo nie ma.
- No to jak ma ta lewica trafić do ludzi?
- No jak to jak? Przyjeżdżać! Jeździć po Polsce! Jeździć do takich Końskich, w których wygrywa się podobno wybory.
- A nie przyjeżdżała tutaj?
- W ciągu ostatnich paru lat to raz był Czarzasty. I nawet dobrze go odebrano. No i ten typ, którego pogoniłem z trybuny.

GDYBY TAK RUSZYĆ W TEREN...

- No właśnie, jak to jest – pytam Seweryna Prokopiuka z białostockiego Razem – nie lubi was ani TVP, ani TVN, ale Konfederacji też nie lubi, a Konfie rośnie. A wam nie.
- No – wzdycha Prokopiuk – być może czegoś nie umieliśmy zrobić.
- Siedzimy u niego w mieszkaniu, w bloku. Na ścianie portret Che Guevary, w szafce nieprzeszkłonej – książki, w szafce przeszkłonej – alkohole. „To z podróży różnych” – mówi Prokopiuk. Teraz się wybiera na Bałkany ze znajomymi, dwa tygodnie, objazdówka, chce titowskie monumentalistyczne pomniki pooglądać w dawnej Judze, ale nie wie, czy mu się uda, bo ekipa bardziej nastawiona na góry i morze. Z Litwy lubi sobie przywieźć piwo Baltas, a ja popijam sobie, siedząc u niego, z kubka litewskiego klubu sportowego Žalgiris, tylko nie pamiętam, czy z Kowna, czy z Wilna.
- Seweryn dawniej był nauczycielem, ale szkołę zamknęli. No i teraz pracuje, mówi,

- jako robot. W magazynie, normalnie. A i tak, mówi, dobrze, że teraz szefowie płacą normalnie, do ręki, a nie jak dawniej, że część pod stołem. Boją się, mówi. Chociaż tyle się zmieniło.
- No tak – mówi. – Nie ma nas w mediach, bo lewica swoich nie ma, w TVN czy TVP nie bardzo. Pozostają media społecznościo-we, a te są bańkowe. No ale tak, wiadomo, ludzie mówią, że lewica powinna jeździć po prostu po Polsce, przyjeżdżać. Robiliśmy spotkanie Zandberga w Bielsku Podlaskim, moim rodzinnym mieście, dwa razy. Robiliśmy w Sokółce, innych miejscach, może faktycznie warto wrócić do tego tematu, choć wiadomo: było różnie. No ale bywało nawet okej. W Bielsku, wierz mi lub nie, ludzie naprawdę byli Zandberga ciekawi, rozmawiali z nim, pytali o to i tamto, narzekali, że go nie ma w telewizji.
- Konfa jest w podobnej pozycji – przypominam.
- No wiesz, no... jasne, może faktycznie gdyby ruszyć w ten, wiesz, teren, toby pewnie coś to dało. Narrację skoordynować... na

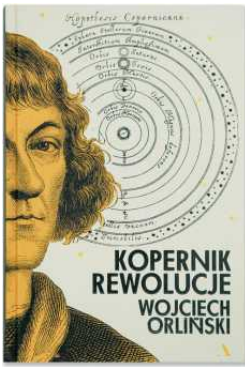
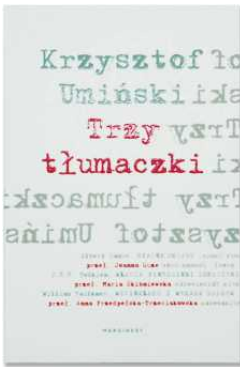
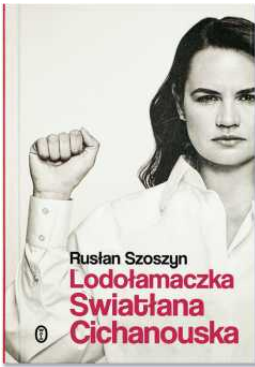
- początku to była energia, moc, ja wstąpiłem do Razem w 2015 roku, byłem zachwycony, startowałem w wyborach, nie weszliśmy, ale na początku dostałem parę tysięcy głosów, no a potem to już... no widać czegoś nie potrafililiśmy, nie wiem.
- Może to ta irytująca lewicowa banieczka jest jednym z problemów?
- No ale to jest margines...
- Ale nie ma innej żywej, dostępnej dla każdego debaty lewicowej niż ta w internecie, więc każdy, kto chce mieć coś wspólnego z lewicą, wchodzi do tego netu, na Fejsa, na Twittera i widzi to szambo... a ono, cóż, zniechęca.
- No to prawda, ja to rozumiem. Jasne, na przykład wyciąganie takiego tematu jak te słynne już dredy Olgi Tokarczuk, które niby stanowią przywłaszczenie czyjejś tożsamości kulturowej, ośmiesza tych, którzy go wyciągają. Albo ten słynny wąsaty wujek, który opowiada rubaszne żarty. A może ten wujek ma lewicowe przekonania, w sensie społeczne? To może, kurczę, nie mówmy mu: „Wąsaty wujku, nie chcemy twojego głosu”? Wiem, że wujek może być trudny, jeśli chodzi o pary homoseksualne, ale może o tym pogadamy, a nie od razu „nie chcemy twojego głosu”? Mnie samemu też, na przykład, nie podoba się to, co mówi lewica w sprawie seksworkingu...
- Taki Mentzen na przykład unika niewygodnych tematów – wrzucam. – On się nie chwali, że chce do więzienia wsadzać kobiety na dziesięć lat za aborcję, tylko udaje takiego fajnego typka, liberała. No ale to jest oszustwo.
- No tak – odpowiada Prokopiuk. – Ale narrację warto zmienić. Nie mówię, żebyśmy od razu z siebie robili alt-left czy jakiegos Okraskę, ale warto naprawdę przejść w socjalne tematy. Jak zaczynaliśmy, to mieliśmy takie pomysły, żeby skończyć podział na Polskę A i Polskę B, żeby państwo nie wycofywało się z prowincji, żeby przenosić na prowincję jakieś urzędy, żeby nie zamykać szkół, poczt. Wykluczenie komunikacyjne, takie rzeczy. Pochodzę ze wsi pod Bielskiem Podlaskim, mój ojciec był rolnikiem, ja sam przez chwilę byłem rolnikiem, to są rzeczy mi bliskie. Dla mnie Białystok jest już dużym miastem, taka jest moja perspektywa. No a takie sprawy jak kwestia dredów Tokarczuk to często naprawdę podnoszą ludzie, którzy nie mają tak podstawowych problemów.

W MIEŚCIE OBCEMU NIE LEJĄ

A teraz Sanok, Podkarpacie, znów mieszkanie w bloku. Mieszkają w nim, bo przenieśli się tam z Krakowa, Duszan Augustyn (pochodzący z Leska) i jego dziewczyna Rita. Na razie piszą doktoraty, zobaczą, co będzie dalej. W Sanoku w każdym razie taniej niż w Krakowie, a poza tym mają trochę dość dużego miasta. A tu wcale się nie nudzą. A to kino, a to jakiś event, a jak się

OGŁOSZENIA

Prezentujemy 5 nominowanych książek



ORGANIZATOR
I FUNDATOR NAGRODY:



Rybnik

POD PATRONATEM:

wysokieobcasy.pl

KSIAZKI

nic nie dzieje zupełnie, to idą nad San. Na Słowację blisko. Duszan pisze o wykluczeniu transportowym, zresztą zajmuje się tym tematem już od dawna. Ma ciekawe pomysły na to, w jaki sposób można skomunikować nawet małe miejscowości z regionalnymi ośrodkami.

– Powiedzmy, że ktoś jedzie do pracy do miasta autem – mówi. – No to po co ma wozić powietrze? Można mu dopłacić, żeby zabrał inne osoby, które, na przykład, nie mają samochodu. Albo na cały bak benzyny. Wtedy się dorzuca, kierowca dostanie jeszcze ekstra kasę za to, że pełni taką funkcję, i wszyscy są zadowoleni.

Siedzimy w sanockiej knajpie, podnoszą się głosy, że nie ma sensu, że tak się nie da. Że uprawnienia, że mało kto by się zgodził, ale Duszan twierdzi, że nikt nie mówi, że ma być łatwo, ale jeśli się rozwiązań nie będzie szukało, to ich po prostu nie będzie.

Pytam, czy w Krakowie, w lewicowym środowisku, miał problemy z dredami z klucza „Olga Tokarczuk i zawłaszczenie kulturowe”.

– Nie – śmieje się – za to wczoraj na Robotniczej w Sanoku zhejtował mnie jakiś hardcore working class typ, że „nigdy by nie mógł mieć takich włosów”. A Rita (jest węgierską Słowaczką) nie zrozumiała go dobrze

kie dziwne uczucie, że „tutaj to chyba wódki nie piją, a jak piją, to na pewno nie poczęstują”. Niby wiem, że nie ma nic bardziej wkurzającego niż ktoś, kto się próbuje w nieodpowiednim momencie przysiąść do stolika i zagadywać o tym, jaki Zandberg jest fajny, ale jakoś...

Duszan, jak mówi, przyjechał do miasta z „oczekiwaniem całej tej podkarpackiej kultury goszczenia i bratania, zagadywania, z jakiej wiośki jesteś, picia z jednego kieliszka”. A tam, cóż:

– Nikt nie chciał obcemu polać – mówi – choć wiem, że sam przyszedłem na imprezę bez flaszki, bo w sumie co mogłem im takiego ciekawego dać, oni byli przecież bardziej lewaccy ode mnie. Wyszło na to, że po prostu przyjechałem ze wsi do miasta. I wtedy wróciłem do kumpli pić cytrynowkę w miasteczku studenckim, w sumie to wtedy i tak nie miałem kasy na rozbijanie się po knajpach, w których nie wiedziałem, jak zagadać do laski przy barze.

ODRZUCONY PRZESZCZEP

Znów Białystok.

– Byłeś kiedyś na Woodstocku? – pytam Seweryna Prokopiuka. – Tam, wiesz, rejestracje cztero-, pię-

czynsz. Obyczajowe sprawy wielkomiejskiej lewicy nie są czymś, z czym mogliby się zidentyfikować, bo nie mają one wiele wspólnego z życiem i problemami, więc zgłoszą na PiS. O ile, oczywiście, pójdą na wybory.

A Magdalena Okraska, która razem z mężem Remigiuszem, przez dużą część lewicy określanym jako lewicowa ekstrema, mówi jeszcze dobitniej:

– Nie ma tworzenia lewicy – czy w ogóle robienia polityki – bez mieszkania tam, gdzie chce się ją tworzyć. Wszelkie idee sztucznie przeszczepiane z daleka zostaną, jak sztuczne przeszczepy, z lekkim obrzydzeniem odrzucone.

I dodaje: – Cała lewica wyjechała z prowincji do większych ośrodków – trochę „musiała”, ale i bardzo chciała. Mała miejscowość, małe miasto, wieś, w której się wychowali, kojarzą im się z zacofaniem, brakiem wyboru i – to ich ulubione słowo – opresją. Opresją jest ciasno spleciona wspólnota, opresją jest kontakt z innymi, przymusowa przestrzena bliskość, która go wymusza. Jak ludzie, którzy wyjechali i zapomnieli, mają te ośrodki potem reprezentować dalej przed innymi instancjami czy porwać za sobą politycznie? Przecież to się nie uda. Jeśli próbują, to też bez przekonania. Jedni drugih nie znają i nie szanują.

Jeśli główna narracja na tym polega, a nie na mówieniu, że to nie twoja wina, że się urodziłeś w takich Końskich, że my ci pomożemy, **no to człowiek taki głośnie na PiS, a nie na lewicę**

i mówi: „O, jaki Sanok fajny, ludzie do siebie zagadują”.

Ale nie, mówi, w Krakowie akurat z dredami problemów nie miał. W takim krakowskim Ogniwie, jednym z centrów życia młodej krakowskiej lewicy, w dość postpunkowym albo wręcz punkowym środowisku, czepiać się kogoś za dredy to trochę jak czepiać się za irokeza. Że niby też przywłaszczanie kulturowe. Bez jaj. Większy luz.

Duszan jednak niezbyt dobrze czuł się w Ogniwie i szukał pomysłów na siebie gdzie indziej. W PSL-u, nawet, jak twierdzi, „Agrounia mu się podoba, jak pogonili gównowców”. Ale w Ogniwie, mówi, było, z jego perspektywy, dziwnie.

– Nie chcę, żeby ktoś się tam obraził, ani nie chcę uogólniać – mówi Duszan – bo coś jednak się udało: zorganizowaliśmy w Ogniwie imprezę ze studentami z zagranicy, a krakowskiemu Razem robiłem szkolenie o wykluczeniu transportowym na wiach.

Co więc było nie tak?

– To bardziej historyjka o trochę onieśmielonym chłopaku z prowincji, który marzył o bardzo lewackim miejscu w dużym mieście, takiej trochę komunie czy squacie, i wyidealizował je sobie w wyobraźni... Po wejściu miałem takie pomieszczenie onieśmienia i zachwytu tym, że przy stole podrywają się chłopaki, a przy drugim stoliku dyskutują marksiści... Tego u nas nie było. Ale gdy chciałem się w tym świecie odnaleźć, po swojemu zagadując, to miałem ta-

cioliterowe, prowincjonalne, ludzi to tabuny takie, że się w głowie nie mieści, wszyscy za tolerancją, otwartością, przeciwko konserwie, klerykalizacji, a kto ich zagospodarowuje? Lewica? Nie, Owsiak.

– No właśnie. – Prokopiuk kiwa głową. – A Owsiak to przecież liberal. Masz rację, tam są ludzie niezagospodarowani. No tak, Konfederacja umiała zrobić to, czego my nie umieliśmy. Oni poza systemem doszli do tego, co mają, pracą medialną, przecież oni też byli olewani przez media, gorzej nawet chyba byli traktowani niż my.

Dlaczego więc lewicy nie wychodzi? Mówi Anna Cieplak, pisarka i lewicowa aktywistka z Dąbrowy Górniczej:

– W tym roku cała grupa sąsiadów z osiedla socjalnego w Sosnowcu miała problem z Tauronem – opowiada – który z dnia na dzień podniósł ceny energii. W miejscu, gdzie ludzie ledwo wiążą koniec z końcem i są wycofani z życia społecznego, często bezradni nawet przy wsparciu MOPS-u, cena energii została podniesiona o 200 proc. Większość nie miała pojęcia dlaczego. W ogromnej kolejce w Tauronie nie było nikogo wyglądającego na klasę średnią, a zrozumienie procedury było bardzo trudne. Żadne media o tym nie napisały, jakby sprawa nie istniała. No więc mimo wszystko ludzie z grup sproletaryzowanych chcą głośować na PiS, bo PiS daje im środki doraźne. Taką, na przykład, trzynastką możesz wyrównać zaległości za

Czyli co: czyżby lewica była skazana na odrzucenie postulatów obyczajowych? Czyżby indywidualizm naprawdę nie pasował do prowincjonalnej mentalności? A może to jednak przesada? Może niektórzy przedstawiciele lewicy prowincjonalnej też są – w jakimś stopniu – zbiasowani albo patrzą na sprawę przez pryzmat rzeczywistości, która wyczerpuje bardziej niż wielkomiejska? To nie jest zarzut, ale być może niektórzy z nich stracili coś, co jest w lewicy konieczne: chęć szukania rozwiązań? W taki sposób, w jaki robi to, na przykład, Duszan Augustyn?

– Pamiętam szok, jak zobaczyłem zeszłoroczną Paradę Równości w Sanoku – opowiada Duszan. – Niby małe miasto, niby Podkarpacie – i tłumy! Wyszli ci wszyscy, którzy do tej pory się ukrywali, bali. Nawet kibice Stali Sanok za bardzo nie dymili. Rany, jakie to było wyzwalające, i to było naprawdę czuć. Że ludzie na to jednak czekali. Ja, do którego nieraz w Sanoku dopieprzano się o dredy, mogłem iść z tęczową flagą przez centrum miasta, w wielkim tłumie, przemawiać z mównicy. I w tym roku też będę. Aż się dziwię, że mi dadzą mikrofon po tym, jak w zeszłym przerobiłem kibolską przyspiewkę Stali Sanok, że „Krosno. Jasło – dwa pedały” i dodałem do niej „w trzeciej lidze się kochały”. Wpadają na marsz! ●

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Hałda, wio!

Janusz Rudnicki

Budzą mnie upiorne krakanie i fetor piekielny, więc myślę sobie: ach, mam gdzieś taką rzeczywistość, która mnie właśnie chyba otacza, pierdolę ją, nie będę oczu otwierał. No i leżę, leżę, ale zimno mi coraz bardziej, więc trudno, unoszę te powieki, i tak. I jedno moje oko śmieci widzi, wokół mnie i dalej, wszędzie, góra ich, a ja pod nią, co ja tu robię? Żywy i wyrzucony na wysypisko?

A drugie moje oko zamiast nieba ciemny, gęsty dach widzi, zrobiony z ptaków, nie wiem jakich, nie odróżniam. Ptaki na niebie, ptaki na ziemi, oprócz nich psy i koty beżpańskie, kto jest kim – nie wiem, nie odróżniam, ale rozpoznam na przykład bociana. Jednego nawet miałem, mieszkał u mnie jakiś czas, no bo ile można trzepotać skrzydłami z Polski do Afryki i z powrotem, ryzykując, że pod sam koniec drogi wpierdolić się można w linie wysokiego napięcia.

Nadlatuje właśnie jeden, w dziobie zawiąniętko, kładzie je na ziemię i dziobie, wyteżam wzrok, to niemowlę, widocznie nikt go nie chciał, więc go sobie dziobie, od oczu począwszy, a ja, zamiast myśleć o tym, skąd się tu wzięłem, to się na niego gapię jak sroka w gnat.

Zimno mi coraz bardziej, coś białego w oddali widzę, brodę w tych śmieciach i u celu okazuje się, że to suknia ślubna. Nowa, dopiero co wyrzucona, zaraz po ślubie lub jeszcze przed. Okrywam się nią, ale mało pomaga, dalej zimno, więc ją wdziewam, pęka po bokach, ale jakoś się udaje, ciepłej.

Przyjeżdża śmieciarka, dobrze, wrócę do domu tak samo, jak przybyłem, ale jej kierowca, widząc mnie, żegna się natychmiast, w sensie: znak krzyża czyni, drzwi od wewnątrz rygluje i odjeżdża z przyspieszeniem auta sportowego i ze śmieciarni, które miał wyładować.

Wchodzę na górę, atakuję szczyt, żeby po okolicy się rozejrzeć. Ciężka to wspinaczka, grzęznę co raz w odpadach, jakąś łaskę znajduję, pomagając, stoję o niej na samym wierzchołku. Jeśliby uchwycić mnie z tyłu, to niezły byłby kadr z powiewającą suknią, szkoda, że tego nie widzę, no jak, jeśli sam się w nim znajduję. Jak romantyczny wędrowiec, tylko że zamiast gór hałdy, mgła w miejsce chmur.

Coś w tej mgle dostrzegam na dole, coś, co się rusza, zaintrygowany schodzę na ziemię, to koń. Tak, tak, odróżniam. Trochę podobny do tego, który mówił. No i kiedyś pomieszkiwał u mnie jeden, żeby odpocząć od stresu z liniami wysokiego napięcia. Pasie się, skubie sobie trawę, to jest wykładzinę ze sztucznej trawy. Podchodzę, nie boi się, no to z dwóch dętek cugle robię, z deski kłozetowej siodło i hejta, wišta wio, do domu na mnie czas, dosiadam go. A mnie ptaki. Dwa na ramiona, ale przeganiam, bo mi od razu prosto do uszu kraczą, a jeden na głowie, niech tam, niech siedzi, jego czerni dobrze z moją bielą kontrastuje.

●●●

Książka „Człowiek na rondzie” powstała w ten sposób, że różni ludzie wyrzucali do góry różne słowa, a ja do nich strzelałem i one spadały z nieba jak kaczki, a mój pies aportował mi je u stóp. Czasami wciela się ten mój pies w kota, stosuje metempsychozę naprzemienną, wtedy chce, żeby go huścić. W książce występuje jako ten, który nasikał mi na garnitur i ludzie rezygnowali z mojego otoczenia. ●

„Człowiek na rondzie”

Janusz Rudnicki
Biuro Literackie, 2023



Adam Michnik poleca. Przyjaciel Jana Pawła II

Człowiek wielkiej dobroci, ale...

Dla papieża Kościół był święty, bo założył go Jezus. Święty razem ze swą monarchiczną strukturą

Tarnowski*



***Karol Tarnowski**
– ur. w 1937 r. Filozof, wykładowca filozofii na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie i UJ. Jest wychowankiem duszpasterstwa prowadzonego przez ks. Karola Wojtyłę. Tekst ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” z 30 kwietnia 2023 r. Tytuł: „Wyborcza”. © KAROL TARNOWSKI

W czasach komunizmu Kościół w Polsce wyrósł na potęgę duchową, a przy okazji materialną. Był znakiem oporu wobec roszczeń z założenia totalitarnej władzy – nawet jeśli wśród jego członków znalazło się sporo „tajnych współpracowników”. Nazwiska takie jak Wyszyński, Wojtyła, Tokarczuk i wielu innych, w tym męczenników jak ks. Popiełuszko, mówią same za siebie.

Niemalą rolę odgrywały imponujące zewnętrzne znaki religijności – pielgrzymki, procesje, budowa kościołów. Nie było to bez wpływu na samopoczucie ludzi Kościoła: ich pewność siebie, poczucie racji czy wręcz nieomylności.

Obecnie pod rządami PiS Kościół dostał dodatkowy parasol ochronny, co go jeszcze bardziej demotywuje i demoralizuje. Można odnieść wrażenie, że stracił z oczu zwykłego człowieka i jego bolączki.

Ale Kościół w Polsce to przecież tylko część Kościoła powszechnego, który znalazł się w głębokim kryzysie przede wszystkim za sprawą skandali pedofilskich i obojętności hierarchii. Wiedza o tych skandalach rosła powoli, aż przekroczyła masę krytyczną: to, co w latach 90. zostało odkryte w Stanach Zjednoczonych czy Irlandii, spowodowało wstrząs, przyspieszając dechrystianizację w tych krajach.

To wątpienie powinno było dać do myślenia także decydentom Kościoła w Polsce, ale my długo czuliśmy się immunizowani na ten kryzys – w pewnym sensie alibi stanowiła osoba papieża Polaka. Dopóki żył.

Niewątpliwie Jan Paweł II był najwybitniejszym z papieży ubiegłego wieku. Wielki mąż stanu, inicjator pogodzenia Kościoła i Synagogi (pierwszy, który przekroczył mury synagogi w Rzymie). Pierwszy też papież tak otwarcie ekumeniczny (moderator modlitewnego spotkania przedstawicieli innych wyznań w Asyżu). Pierwszy, który przeprosił za winy Kościoła w przeszłości. Dla Polski i świata był mężem opatrznościowym, bez którego trudno wyobrazić sobie upadek komunizmu, obrońcą ruchu „Solidarność”, człowiekiem, który wlewał nadzieję w serca Polaków, autorem wielu mądrych przemówień, charyzmatycznym duszpasterzem, a przy tym człowiekiem wielkiej osobistej dobroci.

Po jego śmierci szybko ulegliśmy jednak papolatarii, stawiając papieżowi dziesiątki pomników, nazywając jego imieniem mnóstwo ulic, placów i uczelni. Sytuację tę pogłębiło jego pośmiertne wyniesienie na ołtarze, sanktyfikacja, która spowodowała, że nowy święty został wyjęty z dziejowych ram życia i pozbawiony swego człowieczeństwa, które nigdy u nikogo nie jest przecież do końca doskonale – obciążają go błędy i grzechy.

Wobec Jana Pawła II Polacy zachowywali się tak, jakby nie do końca podlegał on ludzkiej kondycji. A skoro jednak podlega, to mamy prawo stawiać pytania na temat jego stosunku do pedofilii oraz praktyk Kościoła i osądzać je, biorąc pod uwagę stan świadomości Kościoła w tamtych czasach.

Otóż stosunek ten polegał – jak teraz coraz lepiej wiadomo – z reguły na usuwaniu księdza pedofila z miejscy przestępstwa i przenoszeniu go (po ewentualnej pokucie) do innej parafii, gdzie mógł rozpocząć proceder od nowa, bo nie miał wystarczająco skutecznego nadzoru.

W praktyce tej uderza nie tylko niechęć do karania księży, ale przede wszystkim całkowite désintéressement w stosunku do samych ofiar, brak empatii i wiedzy psychologicznej.

Jan Paweł II zasadniczo nie postępował inaczej, bo był dzieckiem tego czasu, a co najważniejsze – sam był „elementem” struktury Kościoła instytucjonalnego. Wszystko to spajała swoista teologiczna wizja Kościoła jako takiego.

Otóż dla Jana Pawła II – jak dla wielu innych – Kościół był święty, ponieważ był założony przez Jezusa, był Kościołem męczenników i ukonstytuował niezwykle trwałą i imponującą tradycję, która wcieliła się w quasi-ponadczasową strukturę hierarchiczną, opartą na modelu monarchicznym. Strukturze takiej grozi autorytaryzm i lekceważenie rozwiązań demokratycznych.

Niestety, dla Jana Pawła II Kościół był święty razem ze swoją klerykalną strukturą monarchiczną, co stąpiło jego krytycyzm także w stosunku do jej złych przejawów.

Tymczasem Kościół taki nie jest z ducha Ewangelii, bowiem staje się strukturą autorytarnej władzy. Wyciągnijmy z tego kilka prostych, ale i zasadniczych wniosków.

1.

Kościół jest przede wszystkim INSTYTUCJĄ LUDZKĄ, a więc niedoskonałą i zmienną, która w skrajnych przypadkach może się zwracać przeciwko obecnemu w niej Duchowi Świętemu. Należy pamiętać, że boski Duch nie jest bynajmniej obecny tylko w Kościele, ale działa także poza nim. Świadomość tego jest żywa w Biblii i autentycznych świadkach Ewangelii.

Jak pisał Kochanowski: „Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,/ I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie”. Kościoła więc nie wolno idolatryzować – jak czynił to do pewnego stopnia Jan Paweł II.

2.

Zasadniczym odkryciem – przypominieniem wynikającym z obecnej sytuacji, którą by można określić Tischnerowskim terminem „koniec chrześcijaństwa tomistycznego”, jest DZIEJOWOŚĆ, historyczność, skończoność. Zwracał na to uwagę np. kard. John Henry Newman.

Wynika z tego, że nie można bezkrytycznie przymierzać stanu świadomości wolnej Polski w XXI wieku do czasów komunizmu. Inne dziś mamy priorytety. Wtedy Kościół jawił się jako ostoja wolności indywidualnej i narodowej. Dlatego chwaliliśmy ks. Janowskiego za jego wsparcie „Solidarności”, nie zwracając uwagi na jego „dziwne” prywatne zachowania względem dzieci. Teraz miary mamy inne, gdyż

znowu na jaw wyszła mroczna strona Kościoła. Lecz wtedy trzeba było nade wszystko bronić Kościoła przed komunizmem.

Oto dlaczego Wojtyła stawiał na Kościół jako instytucję, która w jego oczach utożsamiała się po prostu z chrześcijaństwem jako polem działania Ducha Świętego. Dziś rozumiemy lepiej, że Duch wieje, kędy chce, a instytucja Kościoła jest do gruntu ludzka i grzeszna (choćby chciana przez Boga-człowieka). A skoro tak, to może (i de facto musi) popełniać błędy (nawet zbrodnie), cofać się i potykać. Ale błędy te i zbrodnie muszą być piętnowane i – zarówno w porządku kościelnym, jak świeckim – karane. I musi być możliwe dochodzenie prawdy w tych sprawach nie tylko przez naukowców, ale także uczciwych dziennikarzy.

Z drugiej jednak strony nie wolno zapominać o dwóch zasadach. Po pierwsze, że prawda w sprawach historycznych nigdy nie jest definitywna na sposób matematyczny – chyba że łapie fakty i uczynki na „gorąco”. Po drugie, warto pamiętać o ewangelicznej zasadzie: „Nie sądzcie, a nie będziecie sądzeni”; oznacza to zawieszenie pretensji do wydawania definitywnych wyroków osadzających człowieka – a więc i jego duszę oraz sumienie.

Papież powinien się wykazać odwagą i zlikwidować obowiązek celibatu. I zainicjować radykalniejsze od Wojtyły przepracowanie teologii seksualności

Jan Paweł II współtworzył instytucję Kościoła, mając świadomość swojego czasu. Kiedy jednak skandale pedofilskie zaczęły wychodzić na jaw, zaczął też na nie reagować instytucjonalnie. To był proces powolny i często mało skuteczny. Dramatem polskiego Kościoła jest także fakt, że podsuwani przez otoczenie papieża kandydaci na biskupów okazywali się często ludźmi przeciętnymi, niemądrymi i tchórzliwymi.

3.

Skoro Kościół jest instytucją ludzką, to a priori musi się mu przyznać prawo do zmian tego, co ludzkie, bowiem żaden przepis, choćby uważany był za wieczny, nie jest wolny od EWO-LUCJI, czasem skutkującej nawet jego likwidacją. Dotyczy to np. przepisu o obowiązkowym celibacie dla duchownych, który z powodów zasadniczych w skali masowej się nie sprawdza – jest to zresztą dramat nie tylko polskiego Kościoła.

Oczywistym argumentem za jego likwidacją jest rażący nieporządek w sprawach seksualnych, który ujawnił się w Kościele. Dlatego papież stanowczo powinien się okazać odważny i zlikwidować dotychczasowy obowiązek celibatu. Podobnie powinien zainicjować radykalniejsze od Wojtyły przepracowanie teologii seksualności.

4.

Główną, endemiczną pokusą Kościoła jest WŁADZA, o czym wiadomo było od dawna. Władza będąca naturalnym składnikiem społeczeństwa jest niezbędna w każdej instytucji. Ale Kościół wypracował model władzy feudalnej, to znaczy hierarchicznej i de facto absolutnej, pozostającej poza wspólnotową kontrolą. Ten model władzy grozi nieuchronnie nadużyciami i jest całkowicie anachroniczny w naszych czasach – od dawna wiedzieli o tym oświeceni katolicy, nawet tak konserwatywni jak Jacques Maritain.

Nie można pomyśleć dzisiaj o żadnej instytucji bez jakiegś formy rzeczywistej demokracji. Nie może być tak, żeby lud boży – świeccy, kobiety, młodzież – nie miał żadnego realnego wpływu na działania Kościoła, to znaczy także możliwości podejmowania wspólnotowych decyzji. To z kolei jest możliwe wtedy, gdy świeccy są dobrze kształceni, słuchani, biorą udział w dyskusjach i ponoszą odpowiedzialność w pewnych ważnych kwestiach. Miarą dla wypracowania nowego modelu władzy w Kościele powinna być Ewangelia.

Pokusa władzy oznacza także korzystanie przez Kościół z uzależniającego wsparcia ze strony władzy świeckiej i czerpanie z tego przywilejów. To, co obserwujemy obecnie w Polsce – związek ołtarza z tronem w wydaniu PiS i o. Rydzyka (jako pars pro toto) – jest najkrótszą drogą do pozbawienia Kościoła jakiegokolwiek rzeczywistego moralnego autorytetu.

5.

Cokolwiek byśmy powiedzieli o dziejowości człowieka i instytucji, chrześcijaństwo ma jedną miarę (choć jest ona z konieczności dziejowo interpretowana) – jest nią Ewangelia i osoba Chrystusa. W tym miejscu musimy powrócić do zagadnienia pedofilii i do wymownych cytatów.

„Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, temu lepiej byłoby kamień młyński uwiązać u szyi i wrzucić go w morze” (Mk, 9, 42-43). „Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie (...), do takich bowiem należy królestwo Boże” (Mk 10, 14). „Zaprawdę powiadam wam: wszystko co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili” (Mt 25, 40).

Wprawdzie szacunek i ochrona dziecka należą de iure do podstawowych praw człowieka, ale dla chrześcijanina Ewangelia jest jednoznaczna: „lepiej uwiązać u szyi kamień...”. Dlatego o tej prawdzie – jak o wielu innych – zapomniano?

Smutno pomyśleć, że Jan Paweł II, który często spotykał się z dziećmi, nie zdobył się na szczerą rozmowę z którąś z ofiar i na prawdziwie empatyczny gest względem niej. Być może nie był jeszcze po temu czas, ale to pokazuje, że nie sposób nawet najwybitniejszemu człowiekowi przeskoczyć horyzontu ducha czasu. I nie sposób mu tego wybaczyc. ●

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dwie książki, które ostatnio ukazały się w Polsce, a które dokonują ostatecznego rozrachunku z Kościołem katolickim, łączy jedno: głębokie przekonanie, że katolicyzm jako religia dominująca, oddziałująca na życie zwykłych ludzi dokonał żywota. Zasadnicze pytanie brzmi: co pojawi się po nim?

NIE MA KOŚCIOŁA
MOJEJ MŁODOŚCI

Terlikowski kojarzy się środowiskom liberalnym jednoznacznie nieciekawie: konserwatysta, homofob, naśmiewający się z Anny Grodzkiej, lider narodowego katolicyzmu, orędownik restrykcyjnych zasad seksualnych, młot na lewicę. Jak to jednak bywa z ogólnym obrazem, ten też jest niepełny, pozbawiony niuansów i szczegółów. A to właśnie Terlikowski doprowadził wiele lat temu do ustąpienia Stanisława Wielgusa z tronu archidiecezji warszawskiej, publikując w „Rzeczpospolitej” dowody na zbyt bliskie kontakty biskupa ze Służbą Bezpieczeństwa. Mówiąc wprost: Terlikowski ujawnił, że Wielgus był agentem. Benedykt XVI odwołał go w dniu ingresu do warszawskiej katedry, a dziennikarz został bez pracy. Idźmy dalej: to Terlikowski od kilku lat walczy – i jest to najodpowiedniejsze słowo – z biskupami, zakonnikami i księżmi o ujawnienie skali przestępstw seksualnych. Stał na czele komisji badającej sprawę wrocławskiego dominikanina, który uwodził przez lata młodych ludzi. Zabiera zdecydowany głos, który nie podoba się wielu polskim biskupom. Terlikowski w najnowszej książce wstydy się swych niegdysiejszych poglądów, być może nawet zrozumiał, że homoseksualiści to ludzie, a etyka seksualna Watykanu nie przystaje do współczesności.

Katolicki publicysta zatytułował swoją książkę „Wygasanie. Zmierzch mojego Kościoła”. Stawia w niej tezę, że polski katolicyzm po drugiej wojnie światowej mógł się rozwijać dzięki charyzmatycznym liderom, na czele z kard. Stefanem Wyszyńskim, Karolem Wojtyłą, a także ks. Błachnickim, twórcą ruchu oazowego. Obraz Polski katolickiej zawiera się – w znanych nam doskonale – obrazkach: pełnych świątyniach, pielgrzymkach papieskich, seminariach, do których garnęli się młodzi mężczyźni, a także jako moralne zwycięstwo nad systemem komunistycznym. Co z tego, że Polacy nie słuchali papieża podczas jego wizyt w kraju, księża kształceni w seminariach nie byli gotowi do pracy z ludźmi, a romans biskupów z polityką po 1989 roku oburza już chyba naprawdę każdego. Co z tego, że jeszcze 10 lat temu na lekcje religii chodziło ponad 90 proc. dzieci i młodzieży, skoro po Strajku Kobiet chodzą już tylko ci, którzy mają za mało siły, żeby przeciwstawić się rodzicom. Co z tego, że 20 lat temu kościoły były pełne ludzi, skoro po kolejnych skandalach pedofilskich ujawnianych przez media – bo przecież nie przez kościelne komisje – świątynie pustoszeją. I teraz najważniejsze: dokładnie do tych samych wniosków dochodzi Terlikowski.

Jego książka to z jednej strony zapis żałoby po „narodzie przykościelnym”, który stał się najszybciej laicyzującym się społeczeństwem na świecie. Z drugiej strony to bardzo osobiste rozliczenie z własnymi poglądami, na czele z tezą, że tylko obrona dogmatycznego podejścia do moralności ocali Kościół. Terlikowski się mylił, tak jak nadal mylą się polscy biskupi i większość kleru.

JAKI KOŚCIÓŁ DZISIAJ?

No dobrze, ale co z tego wynika? Jezus mawiał, że jedna odnaleziona owca liczy się bardziej niż cała reszta stada. Terlikowski dołączył do nas, do liberalnych katolików rozumiejących, że prostackie odrzucenie współczesności prowadzi donikąd.

Głos Terlikowskiego jest zdecydowany i może dotrzeć do tych wszystkich, któ-



KONIEC
GRZECHU

Dożyłem czasów, w których Tomasz Terlikowski mówi językiem liberalnych katolików.
Koniec świata chrześcijańskiego zbliża się wielkimi krokami

Arkadiusz Gruszczyński

rzy przez ostatnie 20 lat go gorliwie czytali. A mówi on o sprawach dla polskich katolików niewygodnych: „Kościół naszej młodości nie istnieje”, wyrokuje wprost. I dalej: „Kościół przeżywał niesamowity okres. Seminaria były pełne, rządzone przez centroprawicową koalicję państwo przychyłne religii, a wszystkie pojawiające się problemy załatwiały kolejne pielgrzymki papieskie. Nic nie trzeba było robić, wszystko załatwiał za biskupów papież. I nawet jeśli już wówczas trwały procesy powolnej laicyzacji, nawet jeśli już wówczas rozwijał się kryzys związany z katechizacją, zbyt bliskimi relacjami biskupów z politykami czy kompletnym brakiem transparentności finansowej, wszystko to przykrywały kolejne pielgrzymki, tłumy w kościołach, moc tradycji i religijności, choć niekoniecznie wiary”.

Terlikowski – proszę wybaczyć – jedzie po bandzie. Uważa, że pierwsze rysy na nieskazitelnym wizerunku polskiego Kościoła pojawiły się przy okazji sprawy abp. Juliusza Paetza. Przypomnijmy: grupa odważnych księży z archidiecezji poznańskiej, z rektorem seminarium na czele, próbowała interweniować w Watykanie w sprawie swojego biskupa, który molestował kleryków. Za Spizową Bramą sprawę bagatelizowano, Wojtyła miał się o niej dowiedzieć dopiero od swej przyjaciółki, choć – jak gorzko zauważa Terlikowski – opinia publiczna nigdy nie poznała szczegółów tej bulwersującej sprawy. Paetz przeszedł na spokojną emeryturę. A może – kontynuuje Terlikowski – te rysy pojawiły się wraz ze sprawą kard. Henryka Gulbinowicza, którego podopieczni, jak i on sam, okazali się seksualnymi drapieżcami?

Dla autora „Wygasania...” takim momentem było też ujawnienie, że wielu prominentnych księży współpracowało z bezpieką. Hierarchia po 1989 roku przyjęła model „przemilczenia, lekceważenia, względnie atakowania osób ujawniających podobne fakty”. Tych rys było tak dużo, że święty kielich Kościoła w końcu nadawał się do renowacji.

„Strumień, a może lepiej powiedzieć potok laicyzacji długo płynący pod ziemią, wybił z całą mocą podczas protestów Ogólnopolskiego Strajku Kobiet”, pisze Terlikowski i jest to najważniejsze zdanie tej książki, bo od tego momentu w polskiej sferze publicznej można swobodnie krytykować dosłownie każde działania polskiego Kościoła.

Terlikowski zauważa, że została w tamtym momencie zerwana „transmisja religijności i wiary”, młodzi ludzie, dla których papież jest dziadkiem z memów, nie zgadzają się na ingerowanie bożego prawa w ich życie prywatne. Kościół kojarzy im się z obciachem, tak sam jak drugi dziadek z memów, czyli Jarosław Kaczyński. „Strajk kobiet ukazuje jednak także boleśnie inne zjawisko, jakim jest kompletna utrata własnego religijnego języka przez Kościół hierarchiczny. Gdy ten próbuje mówić językiem klasycznego myślenia religijnego, staje się anachroniczny, niezrozumiały i nieakceptowalny społecznie. Gdy rzecznik prasowy Konferencji Episkopatu Polski wspomina o grzechu, to – nawet jeśli pod pewnymi względami ma rację – jego przekaz nie trafia do tych, którzy protestują”.

Na kolejnych stronach wyjawia prawdę, która dla wielu radykalnych katolików może być szokująca: „Warto mieć jednak świadomość, że istotą naszych problemów wcale nie jest neomarksizm ani nasi ideowi przeciwnicy, ale nasze własne nierozwiązane problemy, w tym brak ewangelizacji, misji i zdecydowania”.

OTWARCIE NA DIALOG

„Docierało do mnie powoli”, „bronilem staroego porządku”, „nie mogłem się pogodzić z tym, że mój Kościół znika” – Terlikowski robi rachunek sumienia, choć momentami mocno jeszcze błądzi, pisząc chociażby o „tak zwanych” małżeństwach jedнопłciowych. Przełomowym momentem w życiu religijnym naszego bohatera była praca

w komisji wyjaśniającej sprawę o. Pawła M., który uwodził młodych ludzi. Chyba zobaczył tam klerykalizm w najgorszej postaci, bo stawiający dobro księży na pierwszym miejscu, co przecież jest cechą mafii, a nie wspólnoty religijnej. Chyba zobaczył o. Macieja Ziębę, który nie poradził sobie z problemem: zlekceważył sygnalistów, wykonał pozorowane ruchy, nie ochronił ofiar.

Kulminacyjnym momentem książki Terlikowskiego jest przyznanie, że... laicyzacja jest naturalnym procesem krajów rozwiniętych, a „wiera w to, że Polska jest społeczeństwem całkowicie odmiennym, niewrażliwym na zjawiska w świecie, jaki nas otacza, jest fikcją”. Na kolejnych 200 stronach proponuje konkretne rozwiązania. Życzylby sobie prowadzenia w salkach parafialnych katechezy dzieci i młodzieży, ale nie zgadza się na wyprowadzenie lekcji religii ze szkół. Marzy mu się uczciwa i rzeczowa rozmowa o biskupach, którzy kryli księży pedofilów. Chciałby również na nowo, na szeroką skalę, odczytać nauczanie papieża Polaka.

Trzeba jednak uczciwie zaznaczyć, że Terlikowski nie porzuca swych konserwatywnych poglądów. Zmiana, która się w nim dokonała, dotyczy czegoś innego, a mianowicie otwarcia na dialog z osobami prezentującymi inne zdanie. Rewolucja w jego przypadku ujawnia się jednak w podejściu do kapłaństwa: Terlikowski dopuszcza zniesienie celibatu, wybieranie proboszcza przez ludzi mieszkających na terenie parafii. „Nie widać powodu, by nie wprowadzić mechanizmów kontrolnych władzy biskupiej. To wszystko, choć nie jest nowością, mogłoby posłużyć właśnie wzmocnieniu autorytetu Kościoła, a nie jego osłabieniu”. Rozwód Terlikowskiego z konserwyzmzem rozumianym jako bezkrytyczne przywiązanie do tradycji staje się więc faktem. Być może się łudzę, może Tomasz Terlikowski po prostu porzucił radykalizm i w nowej formule próbuje przekonać do siebie tych, którzy jeszcze nie uwierzyli w Boga?

Postawię jednak tezę, że autor jest tą figurą, którą polska kultura ukochała najbardziej: skruszonego grzesznika, zaangażowanego wcześniej w budowę nieludzkiego systemu, opierającego się na opresji i przemocy. Terlikowski – przytoczę to porównanie – jest jak Leszek Kołakowski rozliczający się z komunizmem, a jego książka to „Pomiat dla dorosłych” na miarę naszej epoki. Nie jest to też zmiana poglądów typowa dla polskiej debaty publicznej, czyli zmiana, za którą kryje się krzywda. Terlikowski nie jest przykładem księży, którzy rzucili sutanny i zaczęli krytykować katolicyzm. To zmiana innego rodzaju: intelektualna, ewolucyjna, głęboko przemyślana.

DOMINACJA MORALNOŚCI

Może trochę przesadzam, bo Terlikowski pozostał w Kościele, a Kołakowski i Adam Ważyk nie mieli złudzeń co do komunizmu. Nie można też na dobrą sprawę porównywać komunizmu z XX-wiecznym Kościołem, który próbował się odnowić po Soborze Watykańskim II. Nie da się – będąc uczciwym – postawić znaku równości między cenzurą, policją polityczną, przesładowaniem opozycji z katolicyzmem trzeciej dekady XXI wieku, w którym papież dopuszcza swych krytyków do głosu, obsadza ważne stanowiska watykańskie kobietami i krytykuje klerykalizm. W późnej nowoczesności Kościół może sprawiać wrażenie opresyjnej instytucji, szczególnie w takim kraju jak Polska, w którym Episkopat wielokrotnie dyktował legislatorom prawo. Z tą różnicą, że z Kościoła można się po prostu wypisać. Bo – jak pisze Chantal Delsol – „Kościół stał się jednym z wielu ośrodków opiniotwórczych”. Delsol, jedna z najważniejszych teolożek katolickich współczesnej Francji, w eseju „Koniec świata chrześcijańskiego” dopelnia niejako tego, o czym pisał Terlikowski: Kościół katolicki musi zrozumieć, że czasy dominacji moralności chrześcijańskiej właśnie się kończą. Katolicy w najbliższej przyszłości bę-

dą, na wzór Żydów, „troszczyć się o to, jak żyć i przetrwać, a „większość z nas widzi chrześcijan jako małą trzódkę bez innych ambicji niż ciche bycie solą ziemi, co prawda wychudzoną, ale wezwaną do odnowienia sposobu zajmowania swojego miejsca w społeczeństwie, już nie przez dominację, ale w sposób odpowiadający jej istocie”. Taką perspektywa wymusza zmianę podejścia do społeczeństwa, które nie jest zainteresowane katolicką nauką społeczną czy tą związaną z seksualnością. Wymusza również zmianę wewnątrz Kościoła, przyzwyczajonego do swej dominującej roli. Od kiedy chrześcijaństwo zajęło miejsce pogaństwa mniej więcej w V wieku, widzieliśmy przez te wszystkie wieki, aż do wybuchu rewolucji francuskiej, cierpliwe i konsekwentne utrwalanie władzy katolickiej. Teraz – pisze Delsol – chrześcijanie i ich moralność znaleźli się w odwrocie. Politycy wraz z nowoczesnymi społeczeństwami legalizują więc prawo do aborcji, zezwalają na zawieranie małżeństw jedнопłciowych, finansują zabiegi in vitro, wprowadzają do szkół edukację seksualną, czyli robią to, czego zakazuje Watykan.

Kiedyś homofob, lider narodowego katolicyzmu, młot na lewicę, a dzisiaj mówi: „W wielu sprawach się myliłem”

Delsol stawia tezę, że to, co dzisiaj obserwujemy na Zachodzie, jest w prostej linii powrotem do czasów pogańskich, choć wydaje się, że chodzi po prostu o dostosowanie prawa do obyczajów ludzi żyjących w systemie stawiającym na pierwszym miejscu rozwój jednostki, a nie interes mgliście zarysowanego ogółu. Mówimy też o ludziach żyjących tu i teraz, a nie odbierających nagrodę w bliżej nieokreślonej wieczności. Zmiana, o której pisze Delsol, jest znacząca, ponieważ „status mniejszości jest bardzo specyficzny i musimy się go uczyć od Żydów i protestantów. Gdy stanowi się większość, konieczną cnotą jest tolerancja, pokora i dyskreja. Gdy staje się mniejszością, tolerancja nie jest już cnotą, ale koniecznością; cnotami są spokój, cierpliwość i wytrwałość”. Teolożka uważa, że chrześcijaństwo wraca więc do epoki katakumb, choć niektórzy księża jeszcze tego nie dostrzegają. „Zbyt często duchowni zachowują się tak, jakbyśmy jeszcze trwali w świecie chrześcijańskim: wypowiadając się z pozycji autorytetu na wszystkie tematy, rządząc despotycznie kierowanymi przez siebie instytucjami, innymi słowy: przyjmując arogancki sposób działania, który w sytuacji pozostawania w mniejszości jest śmieszny”. Znamy to, prawda?

Warto wczytać się dokładnie w analizę Delsol, choć jest to miejscami lektura irytująca ze względu na konserwatywne poglądy autorki, która odbiera kobietom prawo do przerywania ciąży czy dwóm mężczyznom możliwość zawarcia związku małżeńskiego. Jej esej jest brawurową opowieścią o dwóch stuleciach, które kończą kilka-naście wieków katolickiej dominacji. Teo-

lożka nie daje recept, nie szuka rozwiązań na wyjście z kryzysu, tylko opisuje świat takim, jaki jest. Nie udaje, że Kościół można byłoby naprawić w celu utrzymania dotychczasowej władzy, choć umówmy się, że jest to władza pozorna, bo kto – na Boga! – przejmuje się katolicką nauką dotyczącą ciała i seksu? Pytanie jest inne: czy kiedykolwiek ludzie się nią przejmowali?

Lewica może powitać te rozważania z radością. O ile upadek instytucji może i jest dla nas wszystkich dobrą wiadomością, o tyle rewizja systemu moralnego może budzić niepokój części, szczególnie polskiego, społeczeństwa. Od niepamiętnych czasów moralność w Polsce wyznaczał Kościół, często za pomocą okrutnej przemocy, formatując – umówmy się, że często w destrukcyjny sposób – dziecięce umysły. Był jednak Kościół kompasem opowiadającym o zwycięstwie prawdy, sprawiedliwości, zachęcającym do pomocy grupom wykluczonym czy do odrzucenia „pokus tego świata”. Czy koniec świata chrześcijańskiego oznacza początek epoki nihilizmu?

Nie oznacza, o czym również jasno pisze Delsol. Ludzie nie staną się z dnia na dzień źli, morderstwa nie zostaną usankcjonowanym sposobem rozwiązywania problemów społecznych, a kradzież, oszustwo, przemoc fizyczna czy zdrada – obowiązującymi normami. Społeczeństwa Zachodu odkrywają przecież duchowość Azji, a nie da się wprost odrzucić religijności.

MÓJ KOŚCIÓŁ

O jakim Kościele piszą Terlikowski i Delsol?

Od wielu lat jestem człowiekiem religijnym, nie wypisałem się z Kościoła katolickiego, choć byłem o krok od apostazji po kolejnych skandalach pedofilskich, braku transparentności w jego finansach, związkach kleru z politykami od rządu po gminę. Jeszcze jestem katolikiem, co nie jest łatwym doświadczeniem.

Ufam intuicji Olgi Tokarczuk, która wiele lat temu, przy okazji otwarcia lewicowej Świątlicy Krytyki Politycznej w Warszawie, pisała w tekście „Jak wymyślić heterotopię. Gra towarzyska” o religii, która jest dobrem wspólnym. „Religijność jest czymś niezwykle intymnym – stosunek do niej przypomina nasz stosunek do seksu: ludzie mówią o tym, w co i jak wierzą, tylko najbliższym i tylko szeptem przy świecach. W sferze publicznej kwestie religijne okryte są dyskretnym milczeniem. Czasami ktoś się upije i wypapla wszystko albo natrętny paparazzo sfotografuje celebrytę, jak przemyka do ukrytej w podejrzaney dzielnicy świątyni. Wszyscy wiedzą, że to się robi, ale jakoś nie wypada o tym mówić. A już na pewno nie w szczegółach”.

Terlikowski nigdy nie był moim idolem, choć moi koledzy z Kościoła się w nim zaczytywali, wierzyli w każde jego słowo, a jego teksty często pojawiały się jako argumenty w dyskusjach na tematy światopoglądowe. Budował tym samym obłązoną twierdzę, w której nie było miejsca na liberałów, lewicę, wegetarian i gejów. Nie wiem, czy ci ludzie przeczytają dzisiaj „Wygasanie...”, choć powinna to być lektura obowiązkowa we wszystkich parafiach w Polsce, a Episkopat powinien zaprosić Chantal Delsol na wykład inauguracyjny wielki projekt pod roboczą nazwą: laicyzacja jako szansa Kościoła katolickiego w Polsce.

Tak naprawdę chodziłoby o Kościół, który nie pyta o orientację seksualną, pochodzenie społeczne, status materialny. Nie interesuje go, czy w poprzednich wyborach głosowało się na partie prawicowe. To Kościół, który debatuje z liberałami i lewicą. Kościół, który jest wrażliwy społecznie, nie buduje kolejnych świątyni, tylko wyposaża szpitale, nie stawia kolejnych pomników papieża, tylko inwestuje w stołówki, który nie mówi o seksie przedmałżeńskim, tylko uruchamia program finansowego wsparcia dla samotnych matek. Nawrócenie Terlikowskiego biorę za początek tych zmian. ●

NASZA EUROPA



• Prigożyn w sobotę wieczorem był żegnany przez Rosjan w Rostowie niemal jak bohater. Ale zadowolony był z innego powodu: stawką jego szarzy były dochody związane z działalnością Wagnera w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Tamtejsze operacje najemników prowadzone są zakulisowo i oczywiście w sposób przestępczy, a Prigożyn otrzymał gwarancje, że będzie mógł je kontynuować.

FOT. AP PHOTO

Po buncie wagnerowców

ROSJANIE UJRZELI, ŻE PUTIN NIE JEST NA ZAWSZE

– Gdy stało się jasne, że siły bezpieczeństwa nie chciały do Prigożyna dołączyć, ale też nie chciały go powstrzymać
– to była dla mnie szokująca rewelacja. Prawdziwa demonstracja słabości
– mówi Mark Galeotti, jeden z najlepszych zachodnich ekspertów od Rosji

Luis Doncel

EL PAÍS

Id soboty trwa w Rosji spektakl, który musi być fascynujący dla każdego specjalisty od tego kraju. Jak pan to wszystko ocenia? – Jedną z najbardziej uderzających rzeczy było to, jak niewielki opór napotkał Prigożyn, który błyskawicznie przejął kontrolę nad ważnym militarnie milionowym miastem, a potem wysłał kilka tysięcy swoich najemników na „marsz sprawiedliwości”, który dotarł 200 km od Moskwy. Szybko stało się jasne, że siły bezpieczeństwa nie chciały do niego dołączyć – ale też nie chciały go powstrzymać. To była dla mnie szokująca rewelacja. Prawdziwa demonstracja słabości państwa. Świat zobaczył nagle Rosję, która na zewnątrz wygląda na nadal potężną, ale okazuje się pusta, bo od dawna sama pożera się od środka. Jak na ironię, uważam, że ostateczna umowa Prigożyna z Putinem była najlepszą, jaką obaj mogli zawrzeć. Wyciągnęła

Putina z doraźnej matni, którą byłaby konieczność bombardowania Rostowa nad Donem. A co do Prigożyna: nie postawiłbym nawet funta na to, że długo pożyje, ale przynajmniej na razie wychodzi cało z sytuacji, która wyraźnie go przerosła.

Widzieliśmy najsłabszego Putina od ponad 20 lat u władzy. Jakie skutki może to mieć dla Rosji?

– Jedyne, co pozostało reżimowi, to udawać, że nic się nie stało. Widać już intensywne wysiłki propagandowe, które mają pokazać, że wszystko jest po kontrolą. Ale prawdą jest, że Putin jest teraz słabszy niż kiedykolwiek. Jego reżim opiera się na trzech filarach: osobistej charyzmie wodza, ogromnych kwotach pieniędzy płynących stale na tuszowanie wszelkich problemów gospodarczych i społecznych oraz na totalnej kontroli nad rozbudowanym do granic aparatem bezpieczeństwa. Pierwsze dwa filary zostały już osłabione przez wojnę w Ukrainie. Jeśli chodzi o trzeci, czyli wsparcie aparatu bezpieczeństwa, po raz pierwszy mamy realne wyobrażenie o tym, jakim poparciem faktycznie cieszy się Putin. Armia i Gwardia Narodowa nie przyłączyły się do wagnerowców, ale też ich nie powstrzymały! To po-

kazuje, że kontrola Kremla nad strukturami siłowymi już nie jest pełna. Reżim słabnie na wszystkich frontach. Putin boi się dziś przede wszystkim, że jego wizerunek wszechmocnego cara zamieni się w obraz słabnącego dyktatora. Gdyby w najbliższych tygodniach poświęcił ministra obrony Siergieja Szojgu, wyglądałoby to na część układu z Prigożynem. A na to nie może pozwolić. Tak więc, paradoksalnie, akurat Szojgu jest teraz bezpieczniejszy niż przed rebelią.

A czy obecna sytuacja wagnerowców jest szansą dla armii ukraińskiej?

– Nie sądzę, by miało to duży wpływ na przebieg wojny. Natomiast jest to szansa dla Kijowa na krótką metę i problem na dłuższą.

Szansa wynika z faktu, że Grupa Wagnera, spójna, zdyscyplinowana i skuteczna siła bojowa, będzie przez jakiś czas wyłączona z działań frontowych. Możliwe, że część ludzi Prigożyna zostanie włączona do regularnych jednostek, ale na pewno nie od razu i nie wszyscy będą mieli na to ochotę. Jeśli Ukraińcy przeprowadzą w najbliższych dniach szturm, który przełamie linię obrony, Rosjanie będą dysponowali mniejszą siłą do utrzymania przygotowywanych od miesięcy pozycji.

Jednak w dłuższej perspektywie tarcia między Prigożynem a dowództwem wojskowym przeszkadzały Rosjanom w koordynacji działań w Ukrainie. Teraz, po wypadnięciu Prigożyna z gry, może być więcej spójności podejmowanych operacji. Jest też drugi element korzystny dla Moskwy: ze wszystkich rosyjskich generałów najbardziej kompetentny jest Siergiej Surowikin, który na początku tego roku został odsunięty od dowodzenia rosyjską armią w Ukrainie. Do pewnego stopnia stało się to właśnie z powodu jego bliskości z Prigożynem. Ale był jednym z pierwszych, którzy wezwali wagnerowców do odstąpienia od zamachu stanu. Pojawiają się informacje, że Surowikin wiedział o planach Prigożyna, tak jak zresztą musiała o tym wiedzieć FSB, ale ta jego deklaracja poparcia dla Kremla może sprowadzić go z powrotem na linię frontu, co nie byłoby dobre dla Ukrainy.

Czy to początek końca Putina?

– Tak, ale nie wiem, jak długo ten jego zmierzch potrwa. To znaczy jestem pewien, że za jakiś czas historycy będą uznawali ten moment za punkt zwrotny, w którym ludzie zdali sobie sprawę, jak słaby naprawdę okazał się Putin i jak bardzo nie wiedział, jak re-

NASZA EUROPA

agować. Nie wiem jednak, czy kolejne przesilenie w tym kryzysie będzie miało miejsce za tydzień, miesiąc czy rok.

Czy to może być zachęta dla innych, silniejszych niż Prigożyn ludzi do rzucenia wyzwania Putinowi, skoro zobaczyli już, że jego władza nie jest tak solidna?

– Nie sądzę, by zagrożenie pochodziło od konkretnych osób. Problem polega na tym, że reżim Putina staje się coraz mniej zdolny do reagowania na kryzysy. Tym razem udało mu się przetrwać. Ale następnym razem, kto to wie? To pytanie zadaje sobie dziś każdy oligarcha, który związał swoją fortunę z Putinem.

Rosjanie obserwowali w mediach społecznościowych zmierzającą w kierunku Moskwy kolumnę ciężko uzbrojonych

Rosjanie mają wrażenie, że Prigożyn to watażka, ale dba o swoich ludzi. Nagle porównanie go do Putina daje odkrywcze wnioski. I podważa legitymację i wiarygodność Putina, kończy jego „bezalternatywność”

najemników, której nikt nie był w stanie zatrzymać. W jaki sposób wrażenie, jakie to wywarło, może zaszkodzić Putinowi?

– To, że Rosja nie jest demokracją, nie oznacza, że opinia publiczna całkowicie nie ma tam znaczenia. Putin jest niechętny nowej fali powszechnej mobilizacji, do której wzywają generałowie, ponieważ wie, że właśnie ona może wywołać masową reakcję społeczną. Ma nadzieję przeczekać do wyborów regionalnych we wrześniu.

Putinowi zależy na tym, co myślą o nim Rosjanie. Jest to jeden z powodów, dla których jego ludzie obsesyjnie przeprowadzają sondaże opinii publicznej. Był ponadto bezpośrednim świadkiem upadku dwóch autorytarnych reżimów – z powodu presji ludu: Niemiec wschodnich i Związku Radzieckiego. Znaczna część tożsamości politycznej Putina jest związana z ideą, że jest on niezwykłym i wszechpotężnym władcą, który samodzielnie wie, jak należy bronić Rosji.

Ale nagle Prigożyn oznajmił Rosjanom, że wojna idzie źle, a liczba ofiar jest wielokrotnie wyższa od oficjalnie deklarowanej, że biurokracja i korupcja paraliżują państwo i armię. Więcej: że wojna została rozpęta na podstawie kłamstw, że Ukraina i NATO wcale nie miały w planach żadnej agresji wobec Rosji. Ten przekaz odbił się głośnie echem w mediach społecznościowych. Ludzie mają wrażenie, że Prigożyn to watażka, ale patriota, który dba o swoich ludzi. Nagle porównanie go do Putina daje odkrywcze wnioski. I podważa legitymację i wiarygodność Putina, kończy jego „bezalternatywność”.

Wiele zachodnich stolic obawia się sytuacji, w której kraj posiadający jeden z największych arsenałów nuklearnych na świecie może się pogrążyć w chaosie.

– Oczywiście największym koszmarem jest implozja Rosji i dekompozycja ośrodków władzy. Ale dziś nie ma realistycznych przesłanek dla takiego scenariusza. Regiony wcale nie dążą do oderwania się, a aparat państwowy jest nadal dość silny. Państwo biurokratyczne funkcjonuje. A jeśli chodzi o obawy, że Putina zastąpi ktoś gorszy – trudno wyobrazić sobie bardziej agresywny reżim. Złaszcza że żaden następca nie miałby ta-

kiej osobistej władzy jak on. A to oznaczałoby konieczność zawierania paktów, co zwykle odsuwa bieg spraw od skrajności.

W swoim sobotnim przemówieniu Putin sześciokrotnie wypowiedział słowo „zdrada”. A zdrada jest, według jego własnych słów, jedyną rzeczą, której nie wybacza. Jak wiarygodne są gwarancje bezpieczeństwa dla Prigożyna?

– Gdyby coś mu się stało w tej chwili, Putin wyszedłby na kłamcę, a Prigożyn na męczennika, patrona wszystkich żołnierzy niezadowolonych z tego, co dzieje się na froncie. Ale nie mam żadnych wątpliwości, że Putin nigdy nie zapomni ani nie wybaczy tego, co się stało. Prigożyn zostanie usunięty w odpowiednim czasie.

Jaki był właściwie cel Prigożyna? Musiał wiedzieć, że nie miał realnych szans na powodzenie buntu. Że nie da się opanować Moskwy z 4 tysiącami najemników. To była desperacja czy też miał wsparcie kogoś z elity władzy?

– Było to zarówno desperackie, jak i huraoptymistyczne posunięcie. Być może Prigożyn wierzył, że pewna liczba jednostek wojskowych przejdzie otwarcie na jego stronę, ale tak się nie stało, wszyscy czekali na rozwój wypadków, siedząc cicho zgodnie ze starym rosyjski zwyczajem. Może zakładał też, że Putin pod presją pójdzie na ustępstwa, wyrzuci szefa sztabu i ministra obrony.

Ale tak naprawdę podejrzewam, że Prigożyn spodziewał się, że zostanie aresztowany, gdy Sojgu przeprowadzi swój plan inkorporacji wagnerowców do regularnej armii. Uznał, że przegrywa walkę z generalicją, i wobec tego mógł pomyśleć, że najlepiej będzie uderzyć wyprzedzająco. To raczej desperacka próba ratowania własnej skóry.

Czy tego rodzaju funkcjonowanie elit nie jest bardziej charakterystyczne dla systemu feudalnego niż dla państwa w XXI wieku?

– To dziwna sytuacja. Rosja jest hybrydą. Pod wieloma względami jest nowoczesnym państwem biurokratycznym. Ale na szczycie tego państwa są ludzie, którzy rządzą nim w sposób feudalny. To system, w którym funkcjonuje dwór nieusuwalnego cara, wszystkie instytucje są wykorzystywane jako instrumenty autokratycznej polityki, a ambicje jednostek zaspokaja się, oferując miejsca w aparacie, ale nie żadne zmiany mechanizmów. Taka jest właśnie dziwaczna natura państwa Putina. Nowoczesna biurokracja i średniowieczny dwór w jednym.

Co się stanie z Grupą Wagnera, a zwłaszcza z jej rozbudowaną działalnością w Afryce i innych krajach, gdzie wysyłanie regularnej armii jest nie na rękę Kremlowi?

– Myślę, że dni Wagnera jako siły bojowej w Rosji i Ukrainie dobiegły końca. Ale Grupa Concord, do której formalnie należy Wagner, przetrwa. W szczególności jej operacje w Afryce, które są zbyt lukratywne i użyteczne dla państwa rosyjskiego. Częścią skrywanej wciąż przed światem umowy będzie to, że ta część Grupy Wagnera będzie mogła nadal funkcjonować, z Prigożynem lub bez niego. ●
tłum. Łukasz Grzymiśławski

Mark Galeotti

● jest profesorem University College London, senior associate fellow w think tanku Royal United Services Institute, dyrektorem firmy konsultingowej Mayak Intelligence oraz autorem ponad 20 książek o współczesnej Rosji



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

Kupują w UE, sprzedają Putinowi

Byłe radzieckie republiki tworzą sieć, która omija sankcje

Od półprzewodników po uran – z poufnego raportu Parlamentu Europejskiego na temat Armenii, Kirgistanu, Uzbekistanu i Kazachstanu wynika, że w 2022 r. nastąpił w tych państwach gwałtowny wzrost zakupów towarów zastosowania militarnego.

Claudio Tito

la Repubblica

Armenia: wzrost o 195 proc., Kirgistan – 151 proc., Uzbekistan – 53 proc., Kazachstan – 25 proc. Żeby zrozumieć, jak Rosja może trwać mimo europejskich sankcji nałożonych po agresji na Ukrainę, trzeba zwrócić uwagę na te liczby. Pokazują one skalę wzrostu eksportu z tych państw do Moskwy. W 2022 r. nastąpił rekordowy skok – i tak już pozostało w roku bieżącym.

Dotyczy to wszystkich państw Azji Środkowej, z którymi Kreml już dawno temu podpisał umowę o wolnym handlu, a w 1992 r. zawarł także sojusz wojskowy, który w istocie wskrzesił w mocno okrojonym składzie Układ Warszawski.

Mechanizm jest prosty: „sojusznicy” Putina kupują towary w Europie, a następnie odsprzedają je Rosji. Półprzewodniki, uran, proch strzelniczy. Wszystko, co jest niezbędne do prowadzenia wojny. Mechanizm działa też w drugą stronę: kupują np. rosyjską ropę i odsprzedają ją w Europie.

Wiele liczb dowodzących tych operacji znalazło się w poufnej dokumentacji, którą w ostatnich tygodniach studiowali członkowie COREPER, Komitetu Stałych Przedstawicieli złożonego z ambasadorów 27 państw członkowskich przy UE. Raport został przygotowany przez ekspertów Parlamentu Europejskiego. Pokazuje on również, jak państwa UE lekcewały procedury mające zapobiegać omijaniu sankcji.

Dowiadujemy się więc, że od marca 2022 do końca ubiegłego roku wymiana handlowa między Rosją a Azją Centralną wzrosła o 63 proc. i że rosyjskie inwestycje w tych krajach wzrosły o 80 proc. Zwiększył się PKB prawie wszystkich tych krajów: od 12 proc. w Armenii do 8 proc. w Tadżykistanie. Inna znamienita informacja: przekazy pieniężne z Rosji do krajów tego obszaru wzrosły o blisko 10 proc.

Natomiast eksport z krajów UE i Wielkiej Brytanii do Armenii, Kirgistanu i Kazachstanu od czasu wprowadzenia sankcji wzrósł od 15 do 90 proc. Dla zilustrowania roli Europy w tym zjawisku raport sięga po przykład Finlandii: eksport towarów z tego państwa do Kirgistanu, Kazachstanu i Uzbekistanu wzrósł szalenie od lutego 2022 – tylko do Kirgistanu o ponad 430 proc. A import – o ponad 800 proc.

Trzej główni partnerzy Moskwy

Raport koncentruje się na trzech głównych partnerach Kremla w regionie: Kazachstanie, Kirgistanie i Uzbekistanie. Np. sumy na należących do Rosjan kontach w bankach kazachskich wzrosły aż 44-krotnie. Import zwiększył się o 8,5 mld dol., z czego jedna czwarta (prawie 2,5 mld dol.) pochodziła z UE. Również dzięki Kazachstanowi Rosja obecnie nadal kontroluje 60 proc. światowych obrotów uranu. Jak do tego doszło? Główną rolę odegrała holenderska spółka Uranium One Netherlands, która przeniosła swoje kazachskie aktywa do rosyjskiej państwowej grupy Uranium One JSC Rosatom.

Z kolei wartość dostaw półprzewodników do Rosji przez państwa Azji Centralnej w 2022 r. sięgnęła prawie 3,7 mln dol. – rok wcześniej wynosiła zaledwie 17 tys. dol.

Kazachstan niweluje również embargo na rosyjską ropę, sprzedając do UE 27 mln ton ropy, głównie wydobytej ze złóż w Rosji. I jeszcze jedna imponująca liczba: w 2022 r. Kazachstan wyeksportował do Rosji 11,5 tony prochu strzelniczego (dla porównania: w 2021 – zero). Jednocześnie w 2022 r. zaimportował z Francji 17,8 tony prochu.

Analogiczne procedury dotyczą celowników optycznych, laserów i łożysk do pojazdów gasienicowych. Import sprzętu radarowego, który ostatecznie trafia do Rosji, jest obecnie 22 razy większy niż przed wojną, półprzewodników – cztery razy większy, układów scalonych – aż 74 razy. Nastąpił również wzrost importu sprzętu AGD z UE do Kazachstanu: lodówek idzie tam teraz 23 razy więcej, zmywarek – 45 razy, podobnie z pralkami i odkurzacami. Wynika to także z faktu, że mikroprocesory nowoczesnych artykułów gospodarstwa domowego są wykorzystywane przez rosyjski przemysł wojskowy.

Nawet szwajcarskie zegarki i francuskie perfumy

Spójrzmy na Kirgistan. Według raportu import z UE do tego kraju wzrósł o prawie 80 proc., a import ze Stanów Zjednoczonych – o 140 proc. W tym samym czasie rząd kirgiski potroił import z Chin. Bodaj najbardziej ewidentny przykład dotyczy firmy Dastan, która sprowadza komponenty z UE, a potem wykorzystuje je do produkcji torped i wyrzutni. Kto z nich korzysta? Rosyjska marynarka wojenna.

Siedmiokrotnie zwiększyły się dostawy celowników. W 2022 r. Kirgistan wysłał do Rosji 392 sztuki (a zaledwie 33 w 2021 r.). Sprzedaż zestawów słuchawkowych i mikrofonów w 2022 r. wzrosła 200 razy. Z Chin, Japonii i USA Kirgistan sprowadził 1575 zaawansowanych lunet celowniczych – oficjalnie 284 z nich trafiły do Rosji. W poprzednich latach Kirgistan w ogóle nie odsprzedawał tego typu importowanego sprzętu.

Wzrósł nawet import towarów luksusowych: francuskich perfum o 114 proc., włoskich wyrobów skórzanых o 165 proc., szwajcarskich zegarków o ponad 6 tys. proc., amerykańskich napojów o 190 proc. Oczywiście produkty te nie pozostają w Kirgistanie.

Z kolei obroty handlowe między Rosją a Uzbekistanem wzrosły o 23 proc. Zwraca uwagę tempo importu uzbeckiego: ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich o 109 proc., z Brazylii o 59 proc., z Indii o 42 proc., z Niemiec o 54 proc. Uzbekistan szybko zarejestrował objęte sankcjami rosyjskie banki, w tym VTB, Gazprombank i Sovcombank. Niektóre rosyjskie firmy inżynierskie otrzymują części zamienne z Europy w ramach uzbecko-rosyjskich umów o współpracy w sektorach inżynierii mechanicznej, metalurgii, energetyki i chemii. Chińska firma Honor podpisała umowę z rządem uzbeckim na reeksport smartfonów do Rosji. Uzbecki eksport sprzętu elektrycznego wzrósł 21-krotnie, a części samochodowych – czterokrotnie.

To pokazuje, że Unię Europejską czeka zadanie zasadniczej rewizji relacji z państwami Azji Centralnej. ●
tłum. Bartosz Hlebowicz

PRZYCZAJONY DZIADEK Z WEHRMACHTU

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

W atakach na Tuska kumulują się wszelkie antyliberalne, antyniemieckie i antyunijne fobie ostatnich trzech dekad

Anna Wolff-Powęska*

Opublikowany w mediach społecznościowych w przededniu obchodów 4 czerwca pisowski spot z wizerunkiem obozu w Auschwitz, skomentowany przez Muzeum Auschwitz jako „smutny i niedopuszczalny przejaw moralnego i intelektualnego zepsucia debaty publicznej”, potwierdza opinię izraelskiego filozofa Avishaia Margalita.

W „Etyce pamięci” przypomina on, że kontrolowanie pamięci zbiorowej i manipulowanie nią to jeden z przejawów „podkopywania samej moralności, a więc więzi łączących ludzi ze względu na ich człowieczeństwo”. Wszechobecny populizm postrzega zaś jako „taki rodzaj moralizującej wyobraźni politycznej i taki sposób postrzegania świata politycznego, który ustanawia moralnie czysty i w pełni zjednoczony naród”.

Forsowany w obozie władzy re-wizjonizm historyczny polega na przewartościowaniu najnowszej historii, rywalizacji w cierpieniu, konkurencji ofiar. To preferowanie kultu bohaterów walczących z komunizmem („żołnierze wyklęci”) oraz napiętnowanie „pedagogiki wstydu”, choć nauce przynależne jest krytyczne podejście do dziejów, także własnego narodu. To populistyczna polityka pamięci oscylująca między prawdą historyczną a manipulowaniem pamięcią.

Antyniemiecka retoryka nie pojawiła się u nas jak deus ex machina. Podziały na tle ideologicznym, światopoglądowym i politycznym to codzienność w naszych debatach. Polska wyróżnia się jednak na tle krajów regionu nie tylko wykorzystywaniem przeszłości, ale również wpisywaniem jej w moralno-patriotyczne i religijno-misyjne wzmożenie w celu unicestwienia przeciwnika politycznego.

W atakach na Donalda Tuska kumulują się obecne u nas od trzech dekad wszelkie antyliberalne, antyniemieckie i antyunijne fobie. Jako człowiek „z pogranicza kulturowego, małej etnicznej mniejszości”, co miało w retoryce przeciwników politycznych gdańskiego liberala determinować jego powierzchowne przeżywanie pol-



skości, z „dziadkiem z Wehrmachtu” w tle, nadaje się on idealnie do roli kozła ofiarnego.

Traktowany był od początku jako przedstawiciel „toksycznych elit”, które w opinii zwolenników IV RP pozbawiły Polskę podmiotowości. To jednak nie „oszołomy” wymachujące na oślep moralną maczugą, lecz intelektualiści w białych rękawiczkach, w imię wartości chrześcijańskich, rozpoczęli nagonkę na sprawujących władzę na przełomie XX i XXI wieku.

Wdzięcznym preludium i pretekstem okazały się dwie kwietniowe żaloby: w 2005 r., po śmierci Jana Pawła II, i w 2010, po katastrofie smoleńskiej. Debaty organizowane przez konserwatywne pisma mobilizowały uwagę przeciw liberałom i siłom centrowo-lewicowym, które oskarżono o pozbawienie państwa polskiego powagi oraz podmiotowości.

„Teologia Polityczna” piórami prominentnych autorów uznała „złoty róg” za herb pierwszego

dwudziestolecia transformacji jako symbol nieodzyskanej podmiotowości.

Polityka pierwszych władz demokratycznego państwa przedstawiona została jako działania w duchu politycznego minimalizmu, bez aspiracji do podmiotowości: „siedźmy cicho, nam się nic nie należy”, „bierzmy, co dają”, „my panna bez posagu”. Za metaforę miękkiej kolonizacji uznany został jamnik. Bo jamnik nie stawia pytań, on tylko tańczy na wese-

lu: „jak mu zagrają, tak tańczy” (nr 5/2009/2010).

Marek A. Cichocki i Dariusz Karłowicz dokonali zbiorowej psychoanalizy Polaków. Czy istotnie, jak sugerują, Polacy po śmierci Jana Pawła II stawiali sobie pytania o religijny aspekt śmierci i zmartwychwstania, a po katastrofie smoleńskiej ogarnęło naród poczucie lęku i grozy?

Autorzy przekonują, że ówczesne władze zrobiły wszystko, by to poczucie grozy zatrzeć, żeby przekonać Polaków, „że nic się nie stało”. Postawa rządu wpisala się po katastrofie smoleńskiej w „cywilizację wschodnią, takiej dżicy jako norma moralna oparta na niezdrowych zasadach”, grzmiały pisma prawicowe.

Katastrofa smoleńska miała być skutkiem braku powagi, pijanego karnawału, błazenady w polskiej polityce. Wśród wrogów krzyża na warszawskim Krakowskim Przedmieściu, podpitych, agresywnych szumowin atakujących modlących się dostrzeżono radnych PO. Czytamy o nędzy niepoważnego państwa, które zagoniło polskość.

Dowiadujemy się, że trumny pary prezydenckiej odwiedzały tłumy, bo tam przyszedł naród. Niektórzy przyszedli ze wstydu, że dali się wciągnąć w szambo polityczne. Na królewski Wawel wraz z trumnami prezydenckiej pary powieszono powagę na lawetach i złożono ją w krypcie. Uznano, że Lech Kaczyński zginął za wartości, a państwo nie dostrzegło rozbudzenia duchowego społeczeństwa i zlekceważyło rewolucję moralną.

Prawicowe pisma uznały „sprawców smoleńskiej zbrodni” za „zgraję hipokrytów”, która „tanim belkotem próbuje zmyć hańbę, wierząc, że oszukać Polaków jest rzeczą łatwą”. To „namiestnik Komorowski” i partia „przyjaciół Rosji” żerują na „zagubionym społeczeństwie”. Lech Kaczyński zginął jako drugi władca poza granicami kraju. Pierwszym był Władysław III, który w 1444 r. poległ pod Warną.

Powodów do „zdrady o świcie” nie brakowało. Premier miał żyć traumą przegranych w 2005 r. wyborów. Równie wielka jak Tuska miała być nienawiść Bronisława Komorowskiego, wsparta przez platformerskich „renegatów”, „frustratów”, partię – „skansen agresywnych i twardogłowych typów, złączonych wspólną nienawiścią i żądzą odwetu”. To ci, którzy „nie pozwolili nam dobić komunę”, „rząd miernot i kanalii”. Prezydent musiał zginąć pod ciężarem ich nienawiści.

Środowisko prawicowe, którego przedstawiciele rychło znaleźli się blisko nowego obozu władzy, uznało autorytety III RP za arkę przymierza między III RP a latami stalinizmu, a otoczenie Tuska za formację niszczącą za po-

mocą brutalnych metod swoich przeciwników.

Z jednego z wywiadów ze Zdzisławem Krasnodębskim do opinii publicznej dotarł przekaz, że w dniach żaloby ludzie dostrzegli wielki strach w oczach Tuska. Jacy ludzie i przed czym ten strach? Profesor sam sobie odpowiedział: „Czy budowniczy czasów wielkiego grillowania ma się dzisiaj czego bać? Czy te 96 trumien nie oznaczają paradoksalnie końca tego wszystkiego, na czym zbudował on swoją polityczną potęgę?”.

Wszystkim rządcom po 1989 r. zarzucano pozbawianie Polaków poczucia dumy oraz służalczość wobec czynników zewnętrznych. Atak kierowano przeciw prowadzącym negocjacje w sprawie przyjęcia Polski do Unii.

Andrzej Lepper głosił w 2003 r.: „Jeśli ktoś siebie stawia w pozycji słabego, jeśli ktoś negocjacje prowadzi na kolanach albo czolgając się, bijąc czołem o beton Brukseli, to nic z tego nie będzie”. Maciej Giertych atakował: „Unia Europejska ma rodowód niemiecki i masonski, w którym nie może być miejsca dla tradycyjnej, katolickiej i narodowej Polski”. Do Unii „ciągną germanofile i sympatycy masonerii”.

Maciej Giertych: Unia Europejska ma rodowód niemiecki i masonski, w którym nie może być miejsca dla tradycyjnej, katolickiej i narodowej Polski

Rosła w siłę opozycja, która straszyla Europą pod niemiecką batutą, dyktatem niemieckich banków, wykupem polskiej ziemi przez potomków Hakaty, bo to „sympatycy masonerii i germanofile próbują nas do tego eurokolchozu wprowadzić”. Antoni Macierewicz przestrzegał, że zamiast kuroniówek będziemy mieli „verheugonówki-jalmużnę, która będzie demoralizować polskich rolników”.

Liderzy ZChN przestrzegali przed nowym porządkiem tak różnym od Porządku Miłosierdzia. Przywódcy LPR posługiwali się metaforą wojenną. Straszili odradzaniem się niemieckiej buty. Dominowała propaganda, że po 1989 r. stworzyliśmy całkowicie dysfunkcyjną strukturę, w której władza wypycha tysiące młodych Polaków za granicę, upadają uniwersytety, zdevastowany został system edukacji publicznej, zdemontowane siły zbrojne.

Polska jest od dwóch dekad członkiem UE, ma zagwarantowane bezpieczeństwo poprzez członkostwo w NATO. Tymczasem ludzie obozu władzy zachowują się dzisiaj jak zagrożone ofiary zmuszone do czujności, by w każdej chwili odeprzeć atak. Prawica ciągle walczy o niepodległość, mocarstwowość, podmiotowość.

Agresja Rosji na Ukrainę wyznaczyła nową fazę w stosunkach polsko-niemieckich. Z jednej strony schadenfreude, bo „myśmy przewidzieli”, do czego może doprowadzić współpraca z państwem Putina, a Niemcy mieli bielmo na oku. Z drugiej – uzasadniona wrogość wobec imperialnych i w konsekwencji

zbrodniczych działań Putina pozbawia niektórych komentatorów oceniających stosunki międzynarodowe poprzedzające agresję Rosji na Ukrainę obiektywizmu w ocenie sytuacji; nie biorą oni pod uwagę całej złożoności uwarunkowań historycznych w tym regionie Europy.

Niemcy jako państwo, które wywołało II wojnę światową, zostały w kilka lat po niej przyjęte w poczet państw budujących zręby integracji. Eksperyment się udał. Ucywilizowanie poprzez współpracę najpierw handlową, później we wszystkich innych dziedzinach życia przywróciło byłych agresorów do wspólnoty państw demokratycznych.

Wyciągnięcie przez Niemcy wniosków z tej lekcji w relacjach z Rosją okazało się jednak kontrproduktywne. Czy jednak można było wszystko przewidzieć?

Jeśli się uwzględni historyczne i obecne relacje Polski, Ukrainy, Niemiec, zaskakujące wydają się niektóre wypowiedzi zawarte na stronie „Kultury Liberalnej”, skondensowane w artykułach „Polska – Niemcy: nieaktualne pojednanie” (nr 723/2022) i „Niemcy – Polska – Ukraina: jak uniknąć kiczu pojednania?” (nr 733/2023).

W pierwszym Karolina Wigura i Jarosław Kuisz wzywają do nowego „multilateralnego pojednania i partnerstwa z Niemcami na poziomie społeczeństw i regionu, a nie tylko elit”. Apel słuszny, jednak jego wymowa jest wielce ambiwalentna. Autorzy zdają się nie zauważać faktu, że zbliżenie tych społeczeństw i regionów jest faktem dokonany.

Najbardziej balamutne jest jednak stwierdzenie, że „oba społeczeństwa nic o sobie nie wiedzą”. Fakt, że trudno o mierzalność wzajemnej wiedzy o sobie sąsiadów. Zważywszy jednak, że od traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy minęło ponad 30 lat, a od wielu dekad mają miejsce, dzisiaj już bez pośrednictwa centrali, normalizacja i partnerskie relacje na różnych poziomach edukacji i w różnych sferach życia, taka wypowiedź wprowadza w błąd. Autorzy skupili się na długiej liście zaniechań niemieckich, nie dostrzegając belki w oku drugiej strony.

Czy, jak apelują, potrzebujemy dziś działań na miarę nowych czasów? Na czym miałyby polegać nowe pojednanie: multilateralne, regionalne, europejskie? Trudno prorokować chociażby z tego względu, że to tylko od Niemców oczekuje się, iż odrobnią historyczną lekcję.

Autorów szokuje brak u przeciętnego obywatela RFN wiedzy o Polakach oraz pracy nad przezwyciężeniem negatywnych stereotypów wschodniego sąsiada. Wobec braku danych na temat wiedzy przeciętnego Polaka na temat współczesnych Niemiec trudno oczekiwać przetłumaczenia pojednania na nowy język. Bo cóż to znaczy? Partnerskie podej-

ście i praca nad przezwyciężeniem negatywnego stereotypu sąsiada obowiązują obie strony. Dialog wymaga wzajemnej wiedzy, zaufania i wyzbycia się kompleksów. Odczucie, że jest się partnerem, zależy głównie od nas samych.

Rakiem obiektywizmu w ocenie relacji trzech państw i narodów naznaczony jest drugi artykuł, Anny Kwiatkowskiej i Wojciecha Konończuka. Już samo porównywanie relacji polsko-ukraińskich z relacjami polsko-niemieckimi w czasie trwającej za wschodnią granicą wojny budzi sprzeciw. Z pewnością autorzy mają rację, że pojednanie z Ukrainą będzie łatwiejsze niż z Niemcami, chociaż trudno przewidzieć, jaka będzie Europa po zakończeniu wojny. Czy unikniemy, jak zapewniają, „kiczu pojednania” w relacjach polsko-ukraińskich? I czy obecne relacje polsko-niemieckie można nazwać kiczem, miernotą, tandetą, lichotą?

Poczuciem dumy może napawać spontaniczna pomoc Polaków dla uciekinierów ukraińskich i dla broniących niezawisłości ukraińskiego państwa jego obywateli. Mają rację autorzy, że wzajemna sympatia w czasie wojny wzrosła. Nie ukrywając przy tym schadenfreude, stwier-

dżając, że po raz pierwszy sympatia do Ukraińców przewyższyła procentowo wśród Polaków sympatię do Niemców i że Niemcy nie radzą sobie z uchodźcami, bo „to nie w Polsce płonęły schroniska dla uchodźców i nie w Polsce synagogi są chronione przed atakami przez uzbrojonych funkcjonariuszy”.

Zabrakło tylko informacji, ile jest w Polsce meczetów i synagog, ile domów dla uciekinierów z obszarów konfliktu, ogarniętych wojną czy katastrofą klimatyczną.

Przekonanie, że Polacy i Ukraińcy zbudowali ogromny kapitał zaufania, czego autorzy odmawiają Polakom i Niemcom, konkluzja, że w relacjach z Niemcami zmiata się trudne sprawy pod dywan – wszystko to traci na wiarygodności. Pozbawione jest bowiem obiektywnej oceny uwzględniającej politykę trzech omawianych państw i postaw społeczeństw w kontekście historycznym i przy aktualnych uwarunkowaniach polityczno-społecznych. Tendencyjna analiza zaś prowadzi do tendencyjnych wniosków i prognoz. ●



***Prof. Anna Wolff-Powęska** – historyk idei, politolog, emerytowany pracownik UAM w Poznaniu

FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Niewykształcony jak ksiądz

Dziś odpowiedzi na pytania o wiarę szybciej znajdę w Google’u niż w swoim kościele.

Magdalena Czyż

Niedługo przed wybuchem wojny w Ukrainie zirytowana tekstem Jacka Wojtysiaka o antyklerykalizmie rzuciłam redakcji „Gościa Niedzielnego” rękawicę, prowokując do otwartej debaty na temat przyczyn tego zjawiska. Kilka dni później wybuchła wojna i siłą rzeczy zapomniałam zarówno o przyczynie swojej irytacji, jak i rzuconej rękawicy.

Tymczasem Jacek Wojtysiak na łamach „Gościa Niedzielnego” mi odpisał. Niestety, w zamęcie spraw uchodźczych nie zauważyłam. Dopiero jakiś czas temu przypadkiem na jego tekst trafiłam. Długo zastanawiałam się nad sensem tak spóźnionej odpowiedzi. Może byłoby lepiej, gdybym po prostu wysłała do niego przeprosiny.

Doszłam jednak do wniosku, że w czasie kampanii wyborczej temat na pewno wróci, i to raczej w ostrzejszej niż łagodniejszej formie. Dlatego warto się nad nim publicznie pochylić.

Jacek Wojtysiak, profesor filozofii i wykładowca KUL, pisze, że różnica między mną a nim w podejściu do antyklerykalizmu polega na tym, że ja za jedyny i realny uważam antyklerykalizm „zawiedzionych oczekiwań”. On zaś serio traktuje także antyklerykalizm programowy i podejrzliwości. Z tym, że ten pierwszy uważa za najbardziej podstawowy. I przedstawia jego genezę: „programowa niechęć do księży jest w dużej mierze skutkiem odejścia od wiary katolickiej. Kto odchodzi od wiary, której uczono go w dzieciństwie, często nie lubi tych, którzy z tą wiarą mu się kojarzą. A są to przede wszystkim księża”.

Może się mylę, ale raczej nie jest tak, że człowiek budzi się rano i stwierdza: „Od dziś będę niewierzący i w związku z tym nie będę lubił księży”. Odejście od wiary jest procesem długim, często wieloletnim i uwarunkowanym wieloma czynnikami do tej wiary zniechęcającymi. A pierwszym jest brak zdolności odpowiedzi księży na dręczące wiernych pytania. Dziś przeciętny wierny te odpowiedzi szybciej znajdzie w Google’u niż w swoim kościele.

Dlatego uważam, że antyklerykalizm, jak go nazwał Wojtysiak, „zawiedzionych oczekiwań”, jest tyleż dominujący, co najbardziej problematyczny. Zwłaszcza w kontekście galopującej sekularyzacji w Polsce. I nad przyczynami utraty wiary publicyści katoliccy i badacze Kościoła powinni się pochylić.

Problemem dzisiejszego Kościoła w Polsce nie jest Jan Hartman, bo on nigdy w Kościele nie był. Owszem, można śmiało stwierdzić, że nienawidzi Kościoła ideowo i wręcz chronicznie. Kąsa go bez umiaru i pluje na niego jadem nienawiści, cytując Gomułkę. Ale znacznie większe niebezpieczeństwo dla wspólnoty katolickiej widzę w odchodzeniu tych, których księża nie potrafią i nie są w stanie zatrzymać. A nie potrafią dlatego, że są słabo wykształceni. I tu kłania się problem autorytetów w Kościele.

Dziś sztuką jest utrzymanie owczarni siłą argumentacji za wiarą i pożytkami z niej płynącymi. O ile takowe istnieją. Straszanie piekłem i nęcenie niebem już nie działa tak skutecznie jak jeszcze w XIX wieku. Tylko ilu księży potrafi taką argumentacją w swoim niedzielnym kazaniu błysnąć?

Zrzucanie winy na odejście od wiary nie rozwiązuje problemu, jeśli się nie szuka faktycznych przyczyn tego odejścia. Takim podejściem pozwala się jedynie temu problemowi pogłębić. ●

**Zbigniew
Zamachowski**

• jeden z najpopularniejszych polskich aktorów filmowych i teatralnych. Grał u Kutza, Kieślowskiego, Wajdy, Wojtyłki, Bajona. Był aktorem Teatru Studio i Teatru Narodowego, współprowadził „Pytanie na śniadanie” w TVP. Członek redakcji muzycznej Radia Nowy Świat, w którym prowadzi audycję „Zamach na dziesiątą muzę”



ZOSTAŃ DOBRYM EGOISTĄ

Skoro tu i teraz jest okej, to jest okej

Z **MARIĄ** (ROCZNIK 1994) I **ZBIGNIEWEM** (ROCZNIK 1961) **ZAMACHOWSKIMI**
ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

Jak wypoczywacie? W ogóle potraficie? Bo to trudna sztuka.

MARIA ZAMACHOWSKA: Prawdę mówiąc, chyba z wypoczywaniem mam kłopot. Wypoczywam na pewno, gdy słucham muzyki w samochodzie...

...jadąc do pracy. Pytam o czas bez pracy, telefonu, e-maili.

M.Z.: Zdarza się, ale nieczęsto. To umiejętność, której się dopiero uczę, bo jej nie mam.

ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI: A ja z tym nie mam najmniejszego problemu. Jeśli już się zdarzy wolny czas, to bez najmniejszego kłopotu odkładam telefon, wyłą-

czam, znikam. Nawet udało nam się z partnerką wyjechać na święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok do Borów Tucholskich, w miejsce, gdzie nie było żadnego zasięgu, niczego. I to nie był stracony czas ani tęsknota za robotą.

Intensywność działania mojego jest tak wielka, że naturalnie potrzebuję takiego resetu, którego już nie mogę się doczekać. 4 lipca zaczynam wakacje. Najpierw chcemy z przyjaciółmi pojechać na Islandię. Potem kilka dni drobnych spektakli. I wyjazd na trzy tygodnie w sam środek niczego, gdzie nie ma naprawdę nic.

Więc i bez sprawdzania e-maili?

Z.Z.: Ja w ogóle e-maili nie sprawdzam, bo tego nie cierpię. Nie ma się czym chwalić, ale nic nie poradzę – wejście do komputera jest dla mnie udręką.

A gdyby wtedy pana ominęła jakaś zawodowa szansa?

Z.Z.: Mam dwoje fantastycznych agentów, więc wiem, że jeśli coś bardzo ważnego się zdarzy, to na pewno dadzą mi znać.

Cale życie powtarzam tę frazę, którą większość pewnie zna – rób to w życiu, co lubisz, a nie będziesz musiał pracować. I tak robię. Dlatego nawet jeśli jestem urobiony, nie czuję, że jestem zmęczony.

Szczęściarz.

Z.Z.: Nawet w PRL, kiedy intensywnie grałem, umiałem wygospodarować czas chociażby na wakacje. Myślę, że Marysia to potwierdzi...

M.Z.: Owszem...

Z.Z.: Dziękuję! Więc nawet w czasie największej intensywności zawodowej, głównie filmowej, myśmymy zawsze rodziną jeździ-

li co roku na trzy tygodnie nad morze. To był czas poświęcony wyłącznie dzieciakom, rodzinie. Czyli nie jestem pracoholikiem, nawet jeśli fakty by na to wskazywały.

M.Z.: A ja jestem. Praca sprawia mi przyjemność, ale bardzo łatwo przegapiam moment, w którym trzeba powiedzieć „dość”. Jestem bardzo zadaniowa i po prostu robię i robię, aż zrobię. Ale moje pokolenie zaczyna się dopominać o wypoczynek, już nie mówiąc o zetkach. I ja też się powoli uczę takiego zdrowego zadbania o czas dla siebie. Jak być, co tata mi powtarza, zdrową egoistką.

Z.Z.: Ja już dawno zrozumiałem, że bycie egoistą bez krzywdzenia innych – czyli dbanie o swoje potrzeby – jest niezbędne do życia. Również do życia dla innych.

Posłużę się przykładem, myślę, że Staszek Radwan nie będzie miał mi za złe.

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Maria Zamachowska

• aktorka, wydawczyni radio-wa, z wykształcenia kulturoznawczyni, prowadzi audycję „Numer na bis” w Radiu Nowy Świat, córka Zbigniewa Zamachowskiego

Otóż on był znany z tego, że lubił zniknąć. Ma do napisania muzykę do spektaklu, ale zapada się pod ziemię. Nie ma go i nie ma muzyki, nie ma, aż nagle w ostatniej chwili pojawia się, z muzyką. W końcu go zapytałem i wyjaśnił – że on co jakiś czas musi dojść do takiego punktu, w którym już nie istnieje myśl, że musi coś zrobić dla kogoś. Jest tylko on sam ze sobą. Oczywiście do momentu, w którym mógłby zawalić robotę i zrobić komuś krzywdę.

Zetki to potrafią...

Z.Z.: Już drugi raz słyszę „zetki”, a nie wiem, o co chodzi.

Urodzeni po 1995 r., pierwsze pokolenie dorastające w pełni scyfryzowanym społeczeństwie.

M.Z.: To Bronia, rocznik 2001.

Z.Z.: A!

Zetki potrafią o 16.00 zamknąć komputer, w środku jakiejś roboty, i lecieć np. na jogę.

M.Z.: Mnie się to wydaje bardzo pożądaną umiejętnością. Chociaż się do zetek nie łapię, jestem 1994.

Tak zostawić rozgrzebaną robotę i zwa-lić na innych?

M.Z.: Nie, ale chciałabym potrafić zadbać o swoje granice, o to, gdzie jest przestrzeń na życie zawodowe, gdzie na życie prywatne. I nie czuć się źle, kiedy odmawiam.

Ale jak na planie filmowym rzucić wszystko o 16?

Z.Z.: To się już dzieje. Ostatnio bardzo rzadko zdarza się, że zaliczamy nadgodzi-ny. I to nie my, aktorzy, tego pilnujemy, ale ekipy techniczne, elektrycy, oświetlacze. Ludzie po prostu mówią: sorry, niedługo 18, koniec roboty, musimy się do tego cza-su uwinąć. I wszyscy się stosują, i udaje się uwinąć! To jest naprawdę zdrowe.

Wolę taką sytuację niż to, co pamiętam sprzed wielu, wielu lat, kiedy bywało, że ostatnie próby generalne odbywały się do drugiej-trzeciej w nocy. To był oczywiście inny czas, inne pokolenie i wspominam to z lezką w oku jako coś fantastycznego, ale nie chcę popadać w melodię „myśmy byli z innej gliny”. Mnie, choć jestem z tamtego czasu i pokolenia, dziś też nie byłoby stać, żeby tak się poświęcać.

Dobra, zaryzykuję – nasze szefostwo w Radiu Nowy Świat jest dosyć, powie-działbym, bezwzględne, jeśli chodzi o sto-pień oddania się robocie. Im bardziej, tym lepiej. Czasem nawet mam wrażenie, że do pewnego rodzaju zatracenia.

Magda Jethon to pracoholiczka?

Z.Z.: Tak, ale u niej ta cecha jest absolutnie dodatnia. Ona stale myśli o radiu i zara-ża tym innych, ale nie ma problemu z tym, że ktoś od czasu do czasu mówi: no, sorry, dziś nie dam rady.

Inna rzecz, że nam jest łatwiej niż w jakiejś korporacji, bo w Nowym Świecie spo-tkali się ludzie o podobnym temperamen-cie i podejściu do pracy, z poczuciem misji. Ja uwielbiam muzykę filmową i kocham o niej opowiadać, więc łatwiej mi znieść wymagania czy perfekcjonizm kogoś po-dobnie spełniającego się w pracy.

Spotkał pan kiedyś w teatrze, na planie filmowym geniusza, który sam sobie dał prawo, że mu wolno więcej? Na przykład Krystiana Lupe?

Z.Z.: Z panem Krystianem się nie spotka-liśmy, więc trudno mi się odnieść do je-go trybu pracy. Generalnie nie lubię zatra-cania się czy poświęcania siebie na ołta-rzu sztuki. I na szczęście nie pracowałem z takimi przemocowymi artystami. A na-wet jeśli gdzieś wyczuwałem coś takiego, to w porę reagowałem.

Na przykład znając tryb pracy z profesorem Jerzym Jarockim, przecież wielkim re-żyserem i pedagogiem, musiałem mu od-mówić. Wiedziałem, że nie jestem w stanie oddać mu dziewięciu miesięcy życia, zrezy-gnować z innych przedstawień i życia oso-bistego, żeby powstało dzieło, choćby naj-większe.

Wtedy dzieciaki dorastały, budowałem dom i wybrałem to, a nie Jarockiego. Że-byśmy się dobrze rozumieli – nie oskar-żam profesora o przemoc czy eksploato-wanie współpracowników. On po prostu oczekiwał pełnego zaangażowania. Nawet nie musiał tego formułować wprost, takie rzeczy się wyczuwa, wyłapuje z otoczenia. I ktoś się na to pisał albo nie, co też zależa-ło od etapu w życiu. Bo na przykład u Je-rzego Grzegorzewskiego...

...pańskiego mistrza. Pracę magisterską zatytułował pan „Ja jestem od Grzego-rzewskiego”.

Z.Z.: ...myśmy pracowali godzinami, do niego nie przychodziło się do pracy, tak na-prawdę ta robota nigdy się nie przynała i nigdy nie kończyła. On tak po prostu pra-cował. Jak złapał flow, to potrafił zbudować jedną trzecią spektaklu na jednej próbie.

Pan Jerzy nikogo do niczego nie zmu-szał, nie narzucał swojej racji. Byli aktorzy, nawet wybitni, którzy kompletnie nie po-trafili „wkleić się” w teatr, jaki proponował, i byli tacy, którzy poszliby za nim w dym.

Jak lubicie wypoczywać razem? Przy muzyce, jak w Nowym Świecie?

M.Z.: Tak, ale pierwsze, co mi przyszło do głowy, to kości. Gra w kościanego pokera.

Kto wygrywa?

Z.Z.: Różnie.

M.Z.: Tadeusz, rocznik 1999.

Z.Z.: Tadeusz jest farciarzem. A w kości gra-my od stu lat. Czasem, jak już nam się znu-dzi, choć rzadko, przerzucamy się na kar-cianego tysiąca, ale szybko wracamy do ko-ści.

Słuchając was w Nowym Świecie, wy-obrażałam sobie, że najlepiej odpoczy-wacie, układając płyty.

M.Z.: Ja nie mam płyt.

Z.Z.: To jest pokolenie już bez płyt.

M.Z.: To znaczy jakieś mam, ale ich nie ko-lekcjonuję. Dla mnie od zawsze był plik. Ale rozumiem wcześniejsze pokolenia, te, które gromadziły kolekcje winyli, po-tem kaset, potem płyt CD. Bo ja te pliki też miałam, zbierałam, tylko że na kompute-rze, i jak weszły serwisy streamingowe, to przez pierwsze lata byłam pogubiona, nie umiałam się w tym odnaleźć. Wcześniej te utwory były moje, tylko zapisane nie na krążku stojącym w regale, ale na mo-im twardym dysku. I kiedy muzyka zaczę-ła płynąć na żądanie z serwerów gdzieś na drugim końcu świata, miałam poczucie, że moja biblioteka muzyczna wyparowała.

Z.Z.: No właśnie. Ja też ciężko znoszę sytu-ację, w której niby mam, a nie mam. Niby w serwisie streamingowym mam swoją ko-lekcję, playlisty, nawet pościągane płyty, ale co z tego, kiedy serwis akurat postanawia się zaktualizować. Albo każe się przelogo-wać, a wysiadł internet.

Więc i tak większość muzyki ze swojego streamu trzymam dodatkowo w kompute-rze, ku rozpaczy realizatorów, którzy wo-leliby, żebym przysyłał utwory streamin-giem.

Zawsze mam dla nich dobre uzasadnie-nie – tematy filmowe mają tyle wersji, ty-le różnych odmian, a mnie w danej audy-cji chodzi o konkretną. Ale rzeczywiście, myśmy żyli – no bo mała Marysia siłą rze-czy też – w świecie, w którym winyl nie był obiektem kolekcjonerskim, tylko po pro-stu płytą, z której się słuchało muzyki. Jak byłem bardzo młody, to pracowałem, że-by kupować sobie singielki, no i pocztów-ki dźwiękowe. Jeszcze gdzieś mam ich ca-ły ogromny plik, muszę je kiedyś wykorzy-stać w audycji. I tak już mi zostało, kupuję te płyty i kupuję, mam ich całe multum.

Multum, czyli ile?

Z.Z.: Nie liczyłem dokładnie, ale myślę, że powyżej dwóch tysięcy. Dwa solidne rega-ły, a teraz to już na podłodze rosną kolum-ny płyt i zaczynają na parapecie.

M.Z.: Plus to, co zostało w domu. Bo mó-wisz o studiu.

Z.Z.: No tak, w domu też całkiem sporo.

M.Z.: Wy o winylach, a ja myślę, że płyty CD jeszcze czeka zmartwychwstanie.

Z.Z.: Ale wiecie, że powoli zaczynają wra-cać kasety magnetofonowe?

M.Z.: Tutaj, u nas, w Radiu Nowy Świat, wi-działam nową kasotę.

Z.Z.: Co już mnie dziwi niepomierne, po-nieważ jakość nagrań z kaset jest dużo gor-sza niż z CD.

Jaka muzyka was łączy?

M.Z.: Na pewno filmowa. No i polska pio-senka?

Z.Z.: Tak oraz tak. Udało nam się z mamą moich dzieciaków zaszczepić im miłość do dobrej piosenki, do dobrego tekstu. Czy-li standardowo słuchają Osieckiej, Młynar-skiego... Zresztą sama powiedz, nie będę mówił za ciebie.

M.Z.: Starszych Panów, rzecz jasna. Słu-chamy wszystkich piosenek, których tekst coś mówi. Znam te piosenki od zawsze, a czasami ich sens odkrywam dopiero te-raz. Ot, choćby „Karuzela z Madonnami” – wydawało mi się, że znam ją na wylot, a od niedawna słucham jej inaczej.

Wiesz, jestem wam bardzo wdzięczna za to rośnięcie z piosenką, która „musi po-siadać tekst”. Dla mnie to była oczywistość, norma, ale jak poszłam do gimnazjum, to się okazało, że wcale nie.

Z.Z.: W ogóle muzyka nas łączy, wszystkie dzieciaki są muzyczne. Marysia ma ideal-ny słuch, Bronia śpiewa, Antoni i Tadeusz

grają na instrumentach. W końcu i ja, i Ola, ich mama, skończyliśmy szkoły muzyczne. To pewnie gdzieś w genach zostaje.

A w pewnym momencie, jeżdżąc dużo po Polsce samochodem, zacząłem nagry-wać sobie snuje.

Zbigniew

Zamachowski:

Nie lubię

zatracania się

czy poświęcania

siebie na

ołtarzu sztuki

Snuje?

Z.Z.: Takie płytki CD z własnymi składan-kami. Na płytkę wchodzi 80 minut mu-zyki, a tych snujów nagrałem ze 20. Siłą rzeczy dzieciaki, jeżdżąc ze mną – a tylko do Włoch na narty to co roku 1500 kilo-metrów w tę i 1500 z powrotem – zaczęły w pewnym momencie konstruować wła-sne snuje. No i teraz mam tych snujów od dzieci już z 6 tysięcy utworów, sporo trzymam w telefonie i słucham randomo-wo. Ale i tak jestem w stanie na 100 pro-cent powiedzieć, który utwór jest z czyje-go snuja.

Słuchałam pana audycji z Bronią i nie był pan tak stuprocentowo skuteczny w zgadywaniu autora snuja.

Z.Z.: No dobrze, w pojedynczych utworach mogą się pomylić. Ale jak jest ich więcej, to natychmiast wiem, że ten pakiet to Mary-si, ten Tadeusz... A z Bronką i tak miałem po-wyżej 50 procent trafień, więc uważam, że wyszedłem z twarzą.

M.Z.: Oprócz piosenek zaszczepiliście nam muzykę filmową. Ona była w domu od po-czątku mojego życia. Zwłaszcza lubimy być razem przy piosenkach ciepłych w brzmie-niu, ale niosących dużo smutku, melan-cholii.

Na przykład z filmowych przede wszyst-kim Hans Zimmer, ale pierwsze konkrety, które przyszły mi na myśl, to utwór „May It Be” z „Władcy Pierścieni” i temat z „He-likoptera w ogniu”. Ale znaleźliśmy też nieć porozumienia przy takim haśle jak Tay-lor Swift.

Wspólny program radiowy może zatem?

Z.Z.: O, repertuarowo bez trudu. Tylko zgranie się czasowe jest praktycznie nie-możliwe.

Czyli wracamy do pracoholizmu.

Z.Z.: No, jednak tak... Był pomysł na wspólny program z Wojtkiem Malajkatem. Zna-my się 41 lat, a udało nam się trzy razy wspólnie poprowadzić audycję. Ale może z dziećmi byłoby łatwiej ustawić terminy?

M.Z.: Tata musi przestać jeździć tak dużo po kraju.

Z.Z.: A wie pani, to naprawdę fajny pomysł, rodzinna audycja. Nie wiem, co na to pani dyrektor Jethon, ale pewnie nas przeczyta i się dowiem.

„Muzyczne Zamachy”? „Zamachy mu-zyczne”?

Z.Z.: Jakieś Zamachy na pewno. Chociaż bez zamachiwania się na siebie, bo dzie-ciaki podrzucają czasem do mojej audycji propozycje, i to są zawsze strzały w dzie-siątkę, nie ma pudła.

Tylko jak tu planować przyszłość z wyprzedzeniem większym niż tydzień. Pandemia, wojna w Ukrainie, kryzys klimatyczny, PiS z jego kolejnymi, przepraszam, zamachami na kolejne wolności i kolejne grupy zawodowe, społeczne. Z.Z.: O, przyszłość to jest pytanie do moich dzieci.

Dlaczego? W lipcu kończy pan 62 lata. Dziś to późny wiek średni.

Z.Z.: Współczuję moim dzieciakom, w ogóle ludziom w tym młodym wieku. Rozmawialiśmy o tym nieraz, że teraz zakładanie rodziny, budowanie stabilnej przyszłości to prawie niemożliwe.

Ja już bardzo byłbym gotów do roli dziadka, ale wiem, że to się raczej rychło nie stanie. I wcale się nie dziwię dzieciakom, że nie prą do tego, bo sam miałbym w ich wieku i w tych czasach wiele wątpliwości.

Rozumiem tych, którzy – gdy ktoś w rodzinie jest w ciąży – boją się, czy ciężarna przeżyje...

M.Z.: Byłam na proteście kobiet, tym największym, po wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Na inne marsze, nie tylko te o prawa kobiet, nie chodzę, co nie znaczy, że nie wspieram. Wspieram, ale po prostu nie czuję się dobrze w tłumie.

Ja bardzo, bardzo długo obawiałam się o to, co będzie. Zamartwiałam się konkretnymi wydarzeniami, kryzysami, ale też czułam ogólny lęk o przyszłość. Dopiero od kilku miesięcy odczuwam spokój, jakiego nie czułam przez całe życie. Chyba kryzysy wokół spiętrzyły się już tak bardzo, że powiedziałam sobie: co będzie, to będzie. Mam pracę, którą lubię. Mam cudownych ludzi dookoła siebie. Mam gdzie mieszkać. Mam stado psów. Oczywiście czytam, śledzę, oglądam i się martwię, ale przyjęłam założenie, że skoro tu i teraz jest okej, to jest okej.

Z.Z.: Adaptujemy się do tych warunków, które są. Można siedzieć i rozpaczać, można głądzić albo się zamknąć w sobie. A można

zastosować receptę z profetycznej frazy Wojtka Młynarskiego. „Róbmy swoje” – rzetelnie, w poczuciu, że to ma sens. I może, choć jestem pełen wątpliwości, coś się uda zmienić, z pomocą tych prostych instrumentów, które nam daje ustrój zwany demokratycznym, czyli w wyborach?

M.Z.: Na początku mnie raziło, bo uważam, że to, co wypowiadamy, do nas potem wraca, podobnie jak to, co robimy. Jeżeli jesteśmy wulgarni, to ta wulgarność do nas wróci. Ale się przyzwyczaiłam, zrozumiałam, choć nadal nie jestem zwolenniczką takiego języka.

Maria Zamachowska: Chciałabym potrafić zadbać o swoje granice, o to, gdzie jest przestrzeń na życie zawodowe, gdzie na życie prywatne

M.Z.: Ja nie mam wielkich wątpliwości, że się uda, przynajmniej jeśli idzie o młodsze pokolenia. One są bardziej czujne, bardziej czule, bardziej empatyczne. Czasami robimy coś pochopnie, czasami ktoś palnie głupotę, ale właśnie przez cały ten syf, przepraszam za słowo, który się dzieje, młodzi ludzie zaczynają współpracować, są bardziej wyczuleni na siebie nawzajem.

Z.Z.: Wszystko to, o czym mówisz, to są cechy ludzi, których ty spotykasz, których ja spotykam. Ale gdy czasem wyjadę gdzieś poza nasze kręgi, to trochę jestem przerażony. Nagle okazuje się, że dobrze się mają zawiść, rozgoryczenie, złość, podejrzliwość.

M.Z.: Tak, wiem, że żyję w bańce.

To mniej więcej ta bańka, w której krzyczy się do władzy „wypierdalać”. Razi cię to słowo? Skoro przepraszasz za zwykły, niewinny „syf”.

Z.Z.: Nastąpiła reakcja na akcję. Ci, którzy krzyczą „wypierdalać”, nie wzięli tego znikąd. Przedtem dolatywało, z drugiej strony, „komuniści i złodzieje”, „mordercy”, „zdrajcy”... Byliśmy tak obrażani tak haniebnymi słowami, że czasem chce się powiedzieć „wypierdalać”, bo już się inaczej nie da.

Na mnie największe wrażenie zrobił transparent z jednego z protestów kobiet pod domem Kaczyńskiego na Żoliborzu – szary karton i nagryzmolone flamastrem słowa: „Nienawidzę was za to, że nauczyliście mnie nienawidzić”.

M.Z.: Tak, dokładnie to czujemy. Jest tak silne natężenie nienawiści, że czy się interesujemy polityką, czy nie, ona nas dotyka.

A wy nienawidzicie?

Z.Z.: Jesteśmy zainfekowani tym wszystkim, co tamta strona nam funduje. Nie przypominam so-

bie, żebym użył kiedykolwiek, w stosunku do kogokolwiek, takich słów jak „wypierdalać”, nawet w myślach. A teraz one mi się bardzo łatwo cisną na usta. Choć na głos nie wypowiadam.

M.Z.: Myślę sobie o tych wszystkich dzieciach, które to słyszą. To się stało ich codziennością. Każdy, kto dorasta w naszych czasach, myśli, że to normalny, emocjonalny język.

Z.Z.: Nie chcę zabrzmieć jak zrzedzący senior, ale zanim władza zmusiła ludzi do krzyczenia „wypierdalać”, a nawet zanim Andrzej Lepper oznajmił w Sejmie, że Wersal się skończył, to w okolicznościach zupełnie niezwiązanych z polityką słowa „zajebiście” użyła pierwszy raz publicznie Agnieszka Chylińska, chyba na wręczeniu Fryderyków. Z całym szacunkiem dla Agnieszki, ale czy zastanowiła się nad etymologią tego słowa? Bo jego źródłosłów jest bardzo haniebny. Mnie to pobrzmiewa ciągle nefajnie.

M.Z.: Mnie nie pobrzmiewa, ale pamiętam, że jak byłam nastolatką, ciągle powtarzałeś, jaki brzydki źródłosłów ma „zajebiście”. A dziś mówimy np. „zajebibi”.

Czy jestem dziadersem, przepraszam, dziaderką, bo nie wiem, co to znaczy?

M.Z.: To samo, czyli zajebiście, ale tak ujęte, żeby nie przeklinać.

To pewnie zraził was Andrzej Seweryn z tym swoim przesłaniem do rodziny: „Drogie dziecko, pamiętaj, twoim zadaniem jest im przyp...ć. Jesteś

młody, na razie nie rozumiesz, co do ciebie mówię, ale szybko zrozumiesz, jak będziesz miał kilkanaście lat albo wcześniej, zrozumiesz, komu trzeba przyp...ć”.

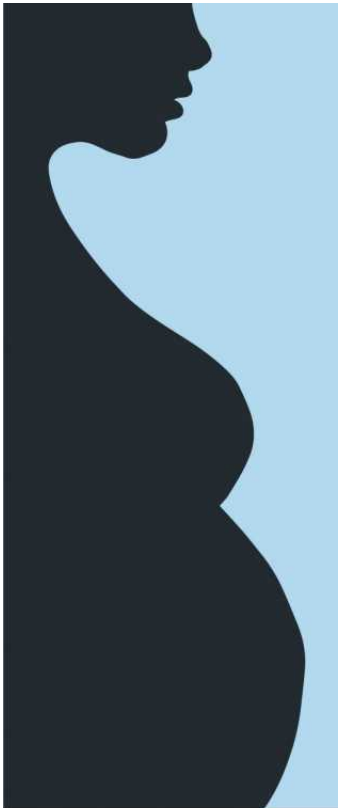
Z.Z.: Andrzeja znam i szanuję. Jest osobą impulsywną i pewnie tak czuje.

M.Z.: Ja, prawdę mówiąc, nie bardzo się takimi burzami interesuję. Im mniej jadu wejdzie mi w uszy i w oczy, tym lepiej dla mnie. Jest go wystarczająco dużo wszędzie. W mediach społecznościowych to już w ogóle jakby nic dobrego się nie działo.

Z.Z.: Na szczęście jestem wolny od tego, nie zaglądam i mi tego nie brakuje. Wolę sobie usiąść i posłuchać muzyki.

M.Z.: Uprzedzę ataki. To nie jest ignorancja, eskapizm czy tumiwi-sizm, tylko dbanie o siebie. ●

wyborcza	magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA
REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa Telefon: 22 555 06 00 E-mail: redakcja@wyborcza.pl Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl	ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imieliński, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielicki WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiecezorek, Marcin Kaćki, Jan Cywiński GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44 Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik; PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;	DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak DRUK: Agora SA Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione. 



CO CI SIĘ ZDARZYŁO PRZY PORODZIE?

ROZMOWY JUSTYNY DĄBROWSKIEJ O TRAUMIE I UKOJENIU

Przeczytałam całość w noc. Nie mogłam się zatrzymać. Cały ten proces ma dla mnie moc leczącą. Jestem wdzięczna innym kobietom za to, czym się podzieliły i autorce za to, co zrobiła.

MONIKA
jedna z Bohateerek książki

Publiczna debata o tym, ile krzywd i traum wynosimy wraz z nowonarodzonymi dziećmi ze szpitali, może zmienić ten chory system i tworzących go ludzi.
Książka Justyny Dąbrowskiej, mam nadzieję, będzie otwarciem tego dialogu.

MAGDA MOŁEK



Pluszaki

Jeśli jakaś instytucja pokazuje nam swoją maskotkę, to na wszelki wypadek powinniśmy przywiązać siebie (a przedtem dzieci) do masztu.

Michał Rusinek



Kiedy jakaś instytucja dochodzi do wniosku, że nie wzbudza pożądanego zaufania opinii publicznej, zatrudnia specjalistów od tak zwanego ocieplania wizerunku. To nieco myląca metafora, bo przecież chodzi nie o ciepłotę wizerunku, ale o temperaturę uczuć żywnych do rzeczoney instytucji przez odbiorców. Podnoszenie tej temperatury musi też mieć jakieś granice, żeby nie zapalali do owej instytucjami miłością, a nawet pożądaniem, bo takie uczucie może się okazać dla obu stron toksyczne.

Odpowiednią – nie za niską i nie za wysoką – temperaturę wizerunku można uzyskać, projektując pluszową maskotkę. U dzieci wzbudza ona zaufanie, bo nawet jeśli jest to maskotka jakiegos niebezpiecznego dzikiego zwierzęcia, jak niedźwiedź czy lwa, to owo zwierzę jest w niej przecież udomowione, zdisneizowane, czyli okrojone wyłącznie do cech pozytywnych. U dorosłych maskotka wyzwala instynkty opiekuńcze, bo jest to na przykład młodziutki niedźwiadek lub szczenię lwa, więc dorośli widzą w niej dziecko. Jej kragłość i futrzastość powodują u dzieci i u dorosłych pokusę pogłaskania lub przytulenia się. Jeśli ktoś tej pokusie ulegnie, to ani się obejrzy, jak będzie się przytulać nie do słodkiej maskotki, tylko do bezdusznej instytucji. Jeśli więc jakaś instytucja pokazuje nam swoją maskotkę, to na wszelki wypadek powinniśmy przywiązać siebie (a przedtem dzieci) do masztu.

Jakiś czas temu polska policja postanowiła zaprezentować maskotki służące ocieplaniu wizerunku. Maskotki, a nie maskotkę, bo postanowiono zaprojektować osobne dla każdej z komend wojewódzkich. W okolicach Poznania pojawił się jowialny Pyrek o twarzy, rzecz jasna, arcy polskiego ziemniaka, w województwie małopolskim – Inspektor Wawelek, przypominający granatowego smoka, niestety kojarzący się z policją Generalnego Gubernatorstwa oraz mitycznym potworem spod zamku. Nie wiem, co gorsze. W województwie dolnośląskim można było spotkać uśmiechniętego Komisarza Lwa, w podkarpackim – Misia o nieokreślonym stopniu służbowym, podobnie jak śląski Szuupek, który za to był psem, żeby nie było wątpliwości, o jaki zawód chodzi. Tylko w województwie mazowieckim maskotka policji – Zebra – była płci żeńskiej i nawiązywała do potocznej nazwy przejścia dla pieszych. W kujawsko-pomorskim postawiono na delfina o imieniu Polfin, choć w tym regionie jest to zwierzę raczej mityczne, bo województwo to nie ma dostępu do morza. Być może policjanci też mają tam status mityczny. W województwie podkarpackim natrafić można było na Misia Dobromisia, który był dzięki temu podwójnie misiowaty i moralnie jednoznaczny, ale nie wiedzieć czemu był niedźwiedziem polarnym, co jednak obniżało jego możliwości ocieplania wizerunku. Nieco niefortunny nazewnictwo wydaje się opolski Królik Policjuś, który u młodzieży w okresie pokwitania może się kojarzyć ze zmazami nocnymi. Rozczulający był natomiast Koziołek Spoko – zarówno ze względu na legendarną policyjną

umiejętność studzenia emocji, zawartą w potocznym, a więc ciepłym, młodzieżowym słowie, jak i na konotacje literackie (Makuszyński), które powodują, że rezygnujemy ze zbyt wysokich oczekiwań intelektualnych wobec funkcjonariuszy.

Dziesięć lat temu straż miejska w Kaliszu też zapragnęła mieć ocieplającą maskotkę, ale zrezygnowała z banalnych zwierząt futerkowych. Sierżant Cebulek odwoływał się do warty będącego chlubą naszego rolnictwa i kołem zamachowym eksportu – acz wyjaśnianie jego pozytywnych konotacji musiało nie być łatwe, co wiemy ze słynnej sceny z filmu „Shrek”, w której tytułowy bohater właśnie za pomocą cebuli próbuje wyjaśnić, na czym polega fenomenologia ogrowatości. Shrek: „Ogry są... mniej więcej jak cebula”. Osiol: „Śmierdzą?!”. Shrek: „Tak... nie!”. Osiol: „Bo się od nich płacze?”. Shrek: „Nie!”. Osiol: „Bo jak się je zostawi na słońcu, to robią się brązowe i rosną im włoski?”. Shrek: „Nie! Warstwy! Cebula ma warstwy! Dociera? Ogry mają warstwy...”. Osiol: „Aaa... więc ogry mają warstwy... Wiesz, nie wszyscy lubią cebulę...”. No właśnie.

Urząd Transportu Kolejowego uruchomił natomiast kampanię „Kolejowe ABC”, w ramach której „znany i lubiany nosorożec Rogatek” uczy dzieci bezpieczeństwa. Jego imię sprytnie nawiązuje do przejazdów kolejowych i zarazem rogu, a sama kampania jest jak najbardziej słusza. Rogatek jest niestety także poetą. Treści dydaktyczne prezentuje bowiem w formie rymowanek, w których niebywale nasycenie rymami gramatycznymi (zwanyymi częstochowskimi) może poważnie spacyć wrażliwość literacką młodych odbiorców. Twórcy tej kampanii mają tego świadomość, bo w najnowszym spocie dziecko mówi: „Popatrz w lewo, potem w prawo, / Nic nie jedzie? Ruszaj zwawo”. Ojciec pyta: „Skąd te rymy?”. Dziecko odpowiada, że nauczył go ich nosorożec o imieniu Rogatek. Ojciec jednak niestety nie zwraca dziecku uwagi, że powinno się uczyć poezji od lepszych poetów czy poetek. Być może dlatego, że nie mieli oni stosownie ciepłego wizerunku.

Główny Inspektorat Transportu Drogowego postawił zaś na krokodyla, a ściślej: Krokodylka Tirka. Jego imię kojarzy się z wielką ciężarówką, a dokładnie ze skrótem francuskiej nazwy międzynarodowej konwencji celnej – TIR. Dobrze, że krokodyl nie jest w języku polskim rodzaju żeńskiego, bo wówczas imię tej postaci mogłoby się kojarzyć z przydrożnymi pracownikami seksualnymi. Krokodylek Tirek pomaga „propagować zasady bezpiecznego uczestnictwa w ruchu drogowym, kształtować właściwe wzorce zachowań wśród dzieci i uświadamiać co do zagrożeń czyhających na drodze”. Słusznie zatem, że jest to krokodyl, na czym jak na czym, ale na czytaniu na drodze krokodyle się dobrze znają. Kilka dni temu szkoła podstawowa w Bezzreczu włączyła się w akcję „Bezpieczna Szkoła Krokodylka Tirka”. Zapowiedziano rodzicom, że następnego dnia odbędzie się lekcja o zasadach bezpieczeństwa, a dzieciom – że przyjedzie do nich Krokodylek Tirek. Okazało się jednak, że zamiast krokodyla przyjechał premier Mateusz Morawiecki z ekipą telewizyjną i fotoreporterami. Rodzice byli zbulwersowani, bo nie wyrażali zgody na uczestnictwo dzieci w spocie wyborczym PiS-u, a dzieci – rozczarowane, bo premier nawet nie jest do krokodyla podobny. Chociaż...? Jakby mu się tak dobrze przyrzyć...?

Ale powściągnijmy wyobraźnię. Zwróćmy za to uwagę, że pan premier pokazał na własnym przykładzie, czym może się skończyć bezrefleksyjne poddawanie się urokowi pluszowych maskotek wymyślonych przez specjalistów od ocieplania wizerunku: przytulamy się do pluszaka, który w naszych ramionach przepoczwarza się w premiera. Wtedy jakiś paparazzo robi nam zdjęcie i zaraz się okazuje, że to nie Tirek jest maskotką, która ociepla wizerunek władzy, ale my – Polaki-pluszaki. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Bertolt Brecht*

Młodzież i Trzecia Rzesza

1
Reżym utrzymuje, że młodzież
Zdobyto już dla Trzeciej Rzeszy.
Czyli że za jakieś dziesięć, dwadzieścia lat
Będą w niej żyli sami
Zwolennicy reżymu.
Cóż za dziecinny błąd w rachubach!

2
Ci, którzy jeszcze nie muszą zarabiać na chleb
Bo czeka na nich na stole, mogą sobie mówić:
O chleb jest łatwo. Ale czy to znaczy, że za dziesięć lat
Kiedy sami będą musieli pracować,
Żeby móc dla swych dzieci chleb położyć na stole
Powiedzą, że nadal im łatwo?

3
Ci, z których reżym jeszcze nie wyssał sił
Mogą go chwalać, lecz czy to znaczy,
Że nadal będą go chwalić
Kiedy utracą siły?

4
Ci, którzy jeszcze nie słyszeli świstu kul, mogą mówić:
Byłoby dobrze sobie postrzelać. Lecz czy to znaczy,
Że kiedy już usłyszą, jak świszczą kule, nadal
Będą mówili: Dobrze jest być
Na wojnie?

5
Tak, dzieciom można,
Póki nie dorosną,
Opowiadać bajki.

6
Kiedy reżym, zacierając ręce, mówi o młodzieży
Niewiele się różni od tego, kto
Widząc pryzmy śniegu zaciera ręce i mówi:
Tyle śniegu! Będzie czym
Ochłodzić się latem!



***Bertolt Brecht** – 1898-1956, niemiecki dramatopisarz, poeta, reżyser. W latach 1924-26 działał w Deutsches Theater w Berlinie, w latach 1933-47 na emigracji (m.in. w Danii, ZSRR, USA). W 1949 r. założył w NRD, wraz z żoną Heleną Weigel, teatr Berliner Ensemble. Jego sztuki to m.in.: „Opera za trzy grosze”, „Życie Galileusza”, „Matka Courage i jej dzieci” i „Kariera Artura Ui”.

Utwór za: Bertolt Brecht „Elegie bukowski i inne wiersze”, wybór i tłumaczenie Ryszard Krynicki, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod jego redakcją, tom 116, Kraków 2022.

ROZRYWKOWY BAT NA NAZYSTÓW

FOT. LUCASFILM LTD. VIA AP

Na plaży przed hotelem Mauna Kea na Hawajach dwaj niewysocy, brodaci mężczyźni budowali blisko pięćdziesiąt lat temu zamek z piasku.

– Chętnie nakręciłbym Bonda – powiedział Steven Spielberg.

– Mam lepszy pomysł. Słyszaleś pewnie o zaginionej Arce Przymierza – odpowiedział George Lucas. I przypomniał o Arce z tablicami z dziesięciorgiem przykazań. Towarzyszy jej legenda, że armia, przed którą kroczy Arka,

będzie niezwyciężona. Dlatego fascynowała Adolfa Hitlera. Współpracownik Lucasa Philip Kaufman, gdy miał dziewięć lat, usłyszał o Arce od swego ortodonta. Ta opowieść zrobiła na nim kolosalne wrażenie.

– Chętnie bym coś takiego zrobił – przyznał Spielberg. – Jeśli chcesz, film jest twój. Nie będę więcej reżyserował. Wycofuję się – powiedział Lucas i uciekł na Hawaje, by skryć się przed hałasem premiery „Gwiezdných wojen”, którym tygodnik „Variety” wróżył klękę. A Spielberg dołączył tam do niego, nakręciwszy „Bliskie spotkania trzeciego stopnia”. Z tej rozmowy wyklęła się w 1981 roku produkcja Lucasa w reżyserii Spielberga – „Poszukiwacze zaginionej Arki”.

Zobaczyłem to w 1982 r., w karnecie festiwalowym były jeszcze „Z życia marionetek” Ingmara Bergmana, „Ostatnie metro” François Truffauta, „Zwykli ludzie” Roberta Redforda i... „Jeśli się odnajdziemy” Romana Załuskiego. Prasa donosiła o napierającym tłumie, który rozbijał szklane drzwi w kinach. „Dziennik Zachodni” pisał, że nawet widownia w katowickim Spodku (11 tysięcy miejsc) „nie mogła pomieścić wszystkich chętnych”, a „Express Wieczorny” zapewniał, że w „warszawskim kinie Relax film prezentowany jest na nocnych seansach o godzinie 22, w czwartek, piątek, sobotę i niedzielę, każdego tygodnia do końca roku”.

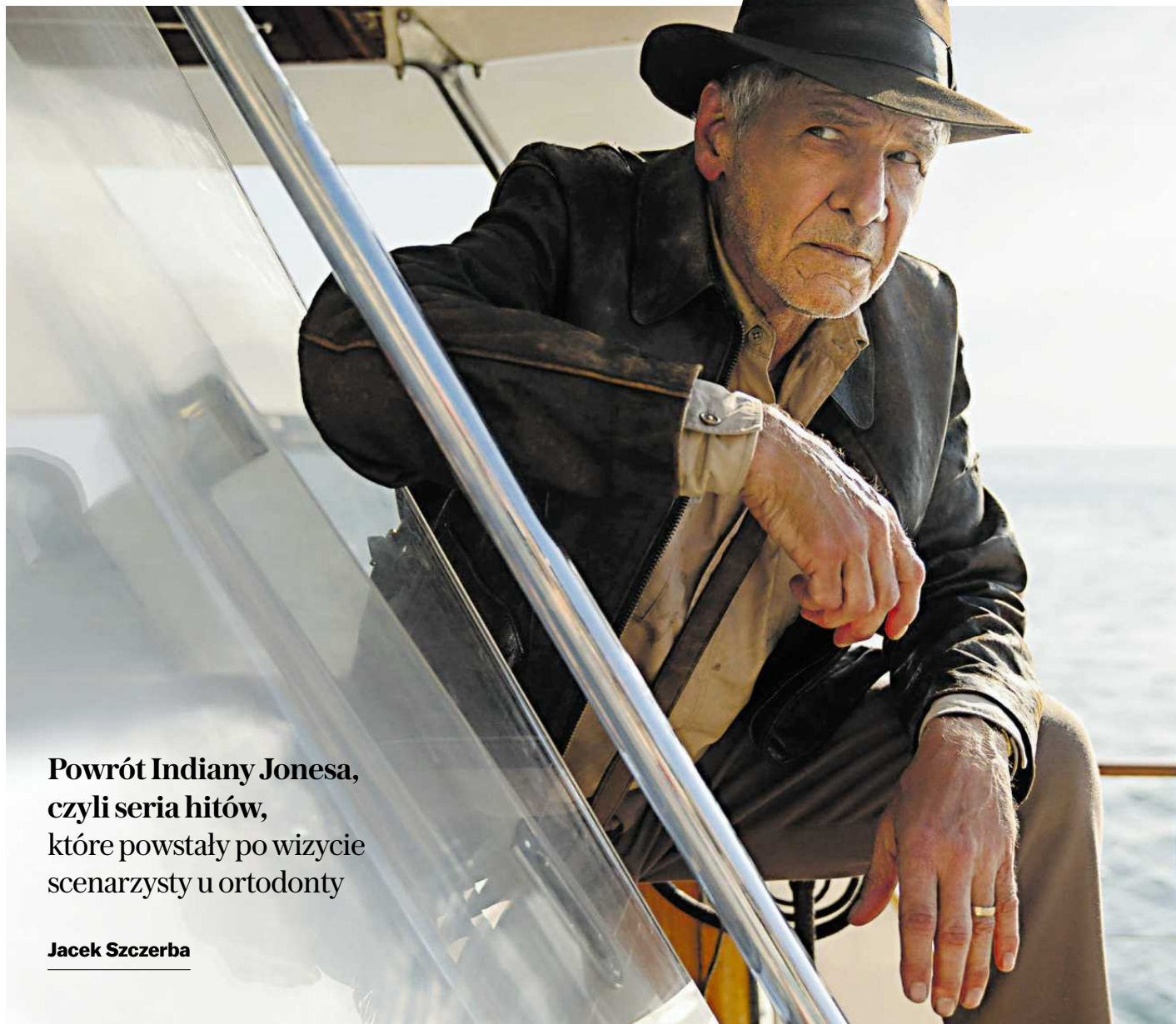
No dobrze, ale o co to zamieszanie?

POPCORN KLASY B

Spielberg mówił wielokrotnie: – Nie widzę w tym nic więcej niż lepszą wersję seriali Republic Pictures. Te seriale pokolenie Lucasa i Spielberga oglądało w dzieciństwie. W latach 1935-67 powstało ich 68: przygodowych, westernowych, szpiegowskich, o superbohaterach. Jeden z nich nazywał się „Człowiek ze stalowym batem”. Studio realizowało również „filmy szybko reagowania”: już tydzień po ataku Japończyków na Pearl Harbor jego scenarzyści pisali tekst.

A skąd inspiracje Spielberga? Uwielbia obdartego i nieogolonego alkoholika włóczącego ze „Skarbu Sierra Madre” i wyszczerzanego Hanka Lee z „Żołnierza fortuny”. Lucas i Spielberg pamiętali także dzielnego Alana Quatermaina z „Kopalni króla Salomona” i archeologa szukającego w Egipcie grobu kapłana Rahotepa w „Dolinie Królów”.

Dzięki studiom filmowym Lucas poznał niemiły dyptyk Fritza Langa „Pajaki”, w którym bohater ściera się z tytułową organi-



Powrót Indiany Jonesa, czyli seria hitów, które powstały po wizycie scenarzysty u ortodonta

Jacek Szczerba

zacją – kto pierwszy odzyska skarb Inków albo diament pozwalający zdobyć władzę nad Azją.

BYŁEM W NIEBIE

Najpierw Lucas i Kaufman stworzyli 60 dwustronicowych scen, potem Kaufman zastąpił Lawrence Kasdan. We trójkę – Lucas, Spielberg i Kasdan – spotykali się przez pięć dni, po dziewięć godzin dziennie: zamknięci w pokoju kłócili się, krzyczeli, coś dodawali do fabuły, coś z niej wyrzucali. Nagranie tych rozmów przekazano Kasdanowi. Ten samotnie pracował przez pół roku. Zapamiętał słowa Lucasa: – Nie martw się, jak to zrobimy. Nie martw się, ile to kosztuje. Myśl tylko o tym, co najlepszego ma być w tym miejscu w scenariuszu.

Kasdan nazywa takie podejście „szkołą Akiry Kurosawy”, który postępował podobnie. Jeszcze przed przeczytaniem tekstu Kasdana Lucas poprosił go o pomoc w pisaniu „Imperium kontratakuje”. – Byłem w niebie – wspomina Kasdan.

Spielbergowi szczególnie zależało na intrygującym otwarciu filmu, które „powinno wywołać co najmniej cztery głośne krzyki widzów”: jest rok 1936, ekspedycja przedziera się przez dżunglę, ktoś grozi bohaterowi pistoletem, więc batem wytrąca broń z ręki napastnika.

Dalej też się dzieje. Jak napisał ówczesny markowy krytyk Aleksander Jackiewicz: „Ogląda się ten film. A może lepiej: tonie się w tym filmie. Co jest uczuciem przyjemnym i zarazem męczącym”.

Żeby zmniejszyć koszty o połowę, Lucas przeniósł produkcję do londyńskiego studia.

INDIANA, ALE NIE SMITH

Lucas nazwał filmowego archeologa Indianą Smithem. Indiana to imię psa jego żony, ale nie chciał skojarzeń z granym przez Steve’a McQueena mścicielem z westernu „Nevada Smith”. Smith zmienił się więc w Jonesa. Lucas chciał zrobić z archeologa mistrza kung-fu i playboya w typie Jamesa Bonda. Spielberg i Kasdan mu to wyperswadowali.

Kapelusz i skórzaną kurtkę Jones „odziedziczył” po Harrym Steele’u (Charlton Heston) z „Tajemnicy Inków”.

HARRISON ZAMIAST TOMA

Lucas bronił się przed angażowaniem Harrisona Forda, którego obsadził już w „Amerykańskim graffiti” i „Gwiezdných wojnach”, żeby nie być jak Martin Scorsese wciąż stawiący na Roberta De Niro.

On i jego żona wybrali Toma Sellecka. Jego zaletą była niższa gaża i to, że był mniej znany. Niestety, telewizja CBS za-kontraktowała go do serialu kryminalnego o detektywie z Hawajów. Wiadomość o obsadzeniu Sellecka wyciekła do „Variety”, Ford wpadł w szal, bo wcześniej go o tym nie uprzedzono. Jednak CBS nie puściła Sellecka i trzeba było prosić Forda, żeby wrócił. Podobno „nielatwo było go udo-bruchać”. O ironio, z powodu strajku aktorów zdjęcia do „Magnum” przesunięto o ponad pół roku, więc Selleck mógłby zagrać Jonesa. Smutny siedział na Hawajach, patrząc, jak kręcą tam „Poszukiwaczy...” z Fordem.

Wiem, dziś nie sposób wyobrazić sobie kogoś innego w roli Jonesa: Ford ma mnóstwo wdzięku, świetnie sprawdza się w scenach akcji, ale mnie nigdy nie przekonał jako intelektualista. Zakładanie mu okularów sytuacji nie ratuje.

NAPRAWDĘ JESTEŚ NAUCZycIELEM?

Lecąc z Los Angeles do Londynu, Spielberg i Ford przeglądali i upraszczali kwestie dialogowe Jonesa z „Poszukiwaczy...”. Wstawiali dowcipniejsze, wyzbyte rozterek intelektualnych. Na planie, przed ujęciem, Spielberg pytał zwykle: – Co wykombino-

waleś tym razem, Harrison? Ford pokazywał, co wykombinował, na ogół było w porządku, więc kręcili.

Indiana Jones to naukowiec i awanturnik w jednej osobie. – Naprawdę jesteś nauczycielem? – pyta go Shia LaBeouf w „Indianie Jonesie i Królestwie Kryształowej Czaszki”, widząc, jak ten się bije mimo podeszłego wieku. – Na pół etatu – odpowiada Jones. A jednego ze swych studentów, z fikcyjnego Marshall College (zdjęcia kręcono w Yale), poucza: – Jeśli chcesz być dobrym archeologiem musisz wyjść z biblioteki.

Intencje dr. Jonesa są szlachetne: chce, żeby zabytkowe artefakty trafiły do muzeum. Z zastrzeżeniem, że najlepiej, aby było to muzeum amerykańskie. Ale i tak bywa nazywany „hieną cmentarną”. Na cmentarzu w Peru, w „Indianie Jonesie i Królestwie Kryształowej Czaszki”, odruchowo zabiera nóż wyglądający na drogocenny, przeszukując kolejny grobowiec. Odkłada go, gdy Williams zwraca mu uwagę.

René Belloq, jego francuski rywal z „Poszukiwaczy...”, dowodzi: – Archeologia jest naszą religią, ale obaj straciliśmy czystość wiary.

Belloq jest bardziej cyniczny – zwykle odbiera Jonesowi to, co ten odnalazł. Obaj to egoiści – archeologiczna zdobycz jest dla nich najważniejsza.

Formowanie się postaci Jonesa oglądamy w znakomitym otwarciu „Indiany Jonesa i ostatniej krucjaty”. Ford do roli młodego Indiany zaproponował Rivera Phoenixa, który był jego synem w „Wybrzeżu moskitów” Petera Weira. Phoenix mówił, że oparł się na obserwowaniu Forda, a nie na naśladowaniu jego sposobu grania Jonesa. Tu dowiadujemy się, że Jones nie bał się węży, dopóki nie wpadł do pudła z nimi i nie włoży mu pod ubranie. Bata użył po raz pierwszy, poskramiając w pociągu cyrkowego lwa, przy okazji fundując sobie bliznę na brodzie. Ford dorobił się takiej blizny w wypadku samochodowym w Kalifornii, mając lat 20.

Jones, choćby i sędziwy, nie wstydzi się swego wieku. Mówi: – To nie kwestia lat, tylko przebiegu. W „Indianie Jonesie i artefakcie przeznaczenia” drugi aktor do grania Jonesa nie był potrzebny – komputerowo odmłodzono Forda, by był Indianą w scenach z roku 1945.

RESZTA NALEŻY DO PANI

Jones nie jest kobieciarzem. Spielberg pilnował, żeby w filmach o Jonesie jego relacje z kobietami wpisywały się w schemat „przyciąganie – odpychanie”, znany z fabuł z parą Katharine Hepburn i Spencer Tracy czy Doris Day i Rock Hudson. W „Indianie Jonesie i Świątyni Zagłady” Indiana całuje wiecznie grymaszącą piosenkarkę, a wtedy ona obлизuje wargi. W finale Jones przyciąga ją do siebie batem.

W „Indianie Jonesie i ostatniej krucjacie” ponętna blondynka dr Elsa Schneider mówi do Jonesa, że ma oczy ojca, na co on odpowiada: – A uszy matki. Reszta należy do pani.

Ale to „Indiana Jones i artefakt przeznaczenia” najbardziej dowartościowuje kobiety: Helena Shaw grana przez Phoebe Waller-Bridge, córka innego archeologa, jest równie bystra co Indiana.

TY TO NAZYWASZ ARCHEOLOGIA?

Wątek ojca Indiany Jonesa zaproponował Spielberg, a sam miał problem ze swoim, co poświadczają jego „Fabelmanowie” z 2022 roku. O zagranie Henry’ego Jonesa, profesora literatury średniowiecznej, poprosił Seana Connery’ego. Fakt, iż Connery był tylko o 12 starszy od Forda, udało się zatuzszować za pomocą siwej brody Henry’ego. – Nie mów do mnie junior – wścieka się Indiana. I wtedy dziwimy się, że Indiana przyjął imię po swym psie. Do napisania dialogów między dwoma Jonesami wynajęto dramaturga Toma Stopparda, który dostał 120 tysięcy dolarów, a po sukcesie filmu

jeszcze milion jako bonus. Są trochę psychoanalityczne: junior wyrzuca ojcu, że się nim nie zajmował, że ważniejsi dla niego byli ludzie sprzed 500 lat, zaś ten wyjaśnia, że dał mu swobodę, nie pytał nigdy o odrobioną pracę domową. A że czasem, dla uspokojenia, kazał mu liczyć do dwudziestu w języku starożytnych Greków... W ich rozmowach pojawia się także motyw zmarłej matki, która ukrywała przed mężem swą chorobę. Przełomowy okazuje się moment, w którym ojciec sądzi, że syn zginął w wypadku: – Straciłem go. Nie zdążyłem mu nic powiedzieć. Wystarczyłoby pięć minut...

Henry narzeka przy okazji na bijatyki i strzelaniny, w które wplątuje go syn: – Ty to nazywasz archeologią? Szybko się jednak przyucza, wykorzystuje parasol i mewy do zniszczenia wrogiego samolotu. I, co najpikantniejsze, obaj panowie okazują się kochankami tej samej kobiety. Bezwiednie o nią rywalizują, co ta umiejętnie wykorzystuje.

NIE MA JAK ELEGANCKI NAZISTA

Opowieści o Jonesie skaczą w czasie: pierwsza to rok 1936, druga 1935, trzecia 1912 i 1938, czwarta 1957, piąta – 1945 i 1969. Skaczą też po świecie, z dostępnych kontynentów nie odwiedziły jedynie Australii i Antarktydy.

Trudno nie zauważyć, że na wrogów najlepiej nadają się w nich naziści: – Nie znoszę tych gości – syczy Jones. W filmie trzecim, w Berlinie, nosząc niemiecki mundur, wpada na Adolfa Hitlera, który daje mu autograf w notesie Jonesa seniora. Fani szczegółów zaraz wychwycili błąd: Hitler był leworęczny, a tu podpisuje się prawą. W „Poszukiwaczach...”, przed otwarciem Arki, niemiecki oficer mówi z przekąsem: – Głupio się czuję z powodu tego żydowskiego rytuału.

„Indiana Jones i artefakt przeznaczenia” słusnie powraca do spotkania z nazistami i neonazistami. Film opiera się na fizyku Jürgenie Vollerze granym przez Madsa Mikkelsena, współautorze udanej wyprawy Amerykanów na Księżyc. Neonaziści mieli być także w filmie czwartym, ale Lucas odrzucił dziejący się w latach 50. scenariusz Franka Darabonta – „Indiana Jones and the City of Gods”, za którym ponoć optował Spielberg.

Do filmowania nazistów szczególnie przydał się Spielbergowi brytyjski operator Douglas Slocombe, bo znał ich z autopsji, był w Gdańsku w sierpniu 1939 r., najpierw z aparatem fotograficznym, później z kamerą. Wspominał o filmowaniu brunatnych i czarnych koszul, o rejestrowaniu niszczenia żydowskich sklepów, o płonącej synagodze. Na jedną noc wyłudował w areszcie gestapo. Jego materiały wywieziono do Anglii w bagażu dyplomatycznym.

W „Indianie Jonesie i Królestwie Kryształowej Czaszki” wrogami Jonesa zostali Rosjanie, dowodzeni przez Irinę Spalko graną przez Cate Blanchett, wojskową uczoną trzykrotnie odznaczoną Orderem Lenina. Spalko nadaremnie próbuje zahipnotyzować Jonesa wzrokiem. – Sądząc po akcentach, wschodnia Ukraina – mówi do niej Indiana, co dziś brzmi dość dwuznacznie.

Do filmowania Rosjan, ubranych oczywiście w mundurzy gorsze od nazistowskich, Spielberg miał znającego ich operatora Janusza Kamińskiego, emigranta z socjalistycznej Polski.

SZKOŁA AKTORSKA PECKINPAHA

Gdy rolę Marion odrzuciła Debra Winger, Karen Allen przedstawiła się Spielbergowi: – Wywodzę się ze szkoły aktorskiej Ala Pacino. Ten miał odpowiedzieć: – Teraz zostaniesz wprowadzona w arkana szkoły aktorskiej Sama Peckinpaha. Męczył ją na planie „Poszukiwaczy...”: – „Podłożyłem pod nią ogień. Cisnąłem w jej nogę tarantulą. Ale po każdym ujęciu zawsze delikatnie ją całowałem. Rolę Belloqa przeznaczono dla francuskiego aktora i piosenkarza

Jacques’a Dutronca, tyle że ten akurat ruszył w alkoholową trasę ze swym kumplem Serge’em Gainsbourgiem. Brytyjczyka Paula Freemana Spielberg zapytał tylko: – Jaki masz pomysł na francuski akcent? Laurence’a Oliviera nie udało się obsadzić jako krzyżowca, ostatniego strażnika Graala. Był już zbyt schorowany.

Z powodu Oscara za drugoplanową rolę męża we „Wszystko wszędzie naraz” z 2022 roku „odkurzono” dziś Ke Huy Quana, który mając lat 12, zagrał Short Rounda w „Indianie Jonesie i Świątyni Zagłady”. Na casting przyszedł w charakterze osoby towarzyszącej, żeby wspierać brata. Pokonał 6 tys. innych kandydatów, a Ford nigdy nie dostał Oscara, ma tylko nominację za policjanta ukrywającego się w osadzie Amiszków w „Świadku”.

ROBALE I TRUPY

Przeciętny film to od 300 do 500 ustawień kamery. W każdej z trzech pierwszych fabuł o Jonesie było ich od 1,5 tys. do 2 tys. Spielberg stawiał na bogate scenografie. Slocombe żartował: – Gość, który wybudował Kolozeum, musi być przodkiem Stevena. W „Indianie Jonesie i ostatniej krucjacie” częściej używali zbliżeń.

Filmy o Indianie efektownie się zaczynają: w czwartym Jones chowa się do lodówki, by przeżyć próbną eksplozję atomową na poligonie w Nevadzie. Scenarzysta David Koepp przyznał, że wziął to z odrzuconego tekstu Darabonta. Jednak prawdziwą sztuką jest przekonująco film zakończyć. Dlatego za wprost genialny uważam pomysł z magazynem, do którego chowają skrzynię z Arką Przymierza, a takich skrzyń są tam już setki.

Jones nie jest kobieciarzem. Spielberg pilnował, żeby w filmach o Jonesie jego relacje z kobietami wpisywały się w schemat „przyciąganie – odpychanie”

Marsz z „Poszukiwaczy...”, skomponowany przez Johna Williamsa, to jeden z najbardziej energetycznych motywów w historii muzyki filmowej. W każdej z części zapowiada, że Jones zaraz dynamicznie wkroczy do akcji. Nie zliczę, ile razy oglądamy mapę, na której zaznaczono trasę lotu z Indianą na pokładzie. Ten zwykle śpi w samolocie z kapeluszem opuszczonym na czoło.

Spielberg często sięga po ohydę: pokazuje węże (kobry oddzielano od aktorów szymbami), szczury, pająki oblażące bohaterów, kościotrupy. W „Indianie Jonesie i Świątyni Zagłady” uczestniczymy w obrzydliwym posiłku: w menu są wyjadanie mózgu z czaszki małpy i zupa z pływającymi w niej oczami.

„Indiana Jones i ostatnia krucjata” to popis ruchliwości, z pościgami na piechotę, pociągami, łodzią, na motorze, samolotem i samochodem. A jest tu też lot zeppelinem. Pewnego dnia między siódmą rano i godziną 13 filmowcy załatwili sobie monopol do stepu do weneckiego Canal Grande.

DLACZEGO PODŁOGA SIĘ RUSZA?

Filmy o Jonesie to również humor. W „Poszukiwaczach...” jest małpka salutująca – Sieg Heil! To Lucas nakręcił to ujęcie. I pada pytanie: – Dlaczego podłoga się rusza? Bo leżą na niej węże. Wiadomo, że scena, która nieodmiennie wywołuje wybuchy śmiechu, powstała przez przypadek. Gdy na ulicy w Kairze (kręconej w Tunezji) potężny Arab macha przed Jonesem wielgachnym mieczem, Indiana wyciąga pistolet i po prostu go zabija. Wzięło się to stąd, że Ford pi-

jący lokalną kranówkę cierpiał, jak większość ekipy, na biegunkę, i nie miał już siły, by zgodnie ze scenariuszem batem wyrwać Arabowi miecz. Zdrowo trzymał się wtedy tylko Spielberg jedzący spaghetti w puszcze z londyńskiego Harrodsa.

Z planu nieudanej komedii „1941” Spielberg przywiózł gadżet – metalowe pręty połączone łańcuchami w konstrukcję wyglądającą na narzędzie tortur. Po złożeniu okazują się wieszakiem na skórzany płaszcz sadystycznego majora Arnolda Totha (Ronald Lacey). Tę rolę Spielberg zaproponował najpierw Polańskiemu, lecz ten był akurat zajęty.

Gdy ktoś szuka w filmach o Jonesie nonsensów, może zapytać, jak to się stało, że dzielny archeolog przeżył w „Poszukiwaczach...” podróż niemiecką łodzią podwodną. skoro nie wszedł do jej środka. Ponoć Spielberg nakręcił scenę, w której Jones przywiązuje się batem do peryskopu.

ZNACZĄCE MRUGANIE OKIEM

Na początku „Poszukiwaczy...” jest hydroplan z napisem OB-CPO, a to nawiązanie do „Gwiezdných wojen” – Obi-Wana i robota C-3PO. Nocny lokal w Szanghaju w „Indianie Jonesie i Świątyni Zagłady” nazywa się Obi-Wan. Zachodnie miesięczniki filmowe prześcigają się w wyliczeniach podobnych nawiązań. W „Poszukiwaczach...” głaz ściągający Jonesa i promień słońca wskazujący wejście do Studni Dusz to „pożyczki” z „Podróży do wnętrza Ziemi”. A sceny z „Indiany Jonesa i Świątyni Zagłady” analizowane są jedna po drugiej: to pomysł wzięty ze „Zmarłego w chwili przybycia”, a ten z „Bullitta”...

Czasem ekipa filmów z Jonesem gra sama ze sobą. W „Poszukiwaczach...” logo twórci Paramount, z charakterystyczną górą, „przechodzi” w prawdziwą górę, ku której zmierzają bohaterowie. W „Indianie Jonesie i Królestwie Kryształowej Czaszki” góra Paramountu „przechodzi” w kopczyk piasku, z którego wyłazi piesek preriowy. A gdy w „Indianie Jonesie i Królestwie Kryształowej Czaszki” Rosjanie szukają w magazynie skrzyni z kosmitą znalezionym w Roswell, to z innej wystaje kawałek Arki Przymierza.

FACHOWCY OD PIENIĘDZY

Na plan „Indiany Jonesa i Świątyni Zagłady” Spielberg przyjechał do Sri Lanki z albumami zawierającymi cztery tysiące rysunków. Narzucił mordercze tempo – do 30 ustawień kamery dziennie. Uwinął się w 85 dni zdjęciowych, skończył pięć dni przed terminem. Potrafi jednak być drobiazgowy. Sześciominutowy pościg za ciężarówkami w „Poszukiwaczach...” kręcono pięć tygodni. W „Indianie Jonesie i ostatniej krucjacie” przez trzy dni rejestrowano 16 sekund przyspieszonego starzenia się bohatera, który napił się wody z niewłaściwego kielicha. Chińczycy nie zgodzili się na pościg motocyklowy po Wielkim Murze Chińskim.

Gdy tylko na planie Spielberg zdradzał cień zwątpienia, Lucas powtarzał: – Będą największym przebojem lata.

No i ta ich niezdolna łatwość zarabiania pieniędzy. Pierwszy film o Jonesie to zysk 389 mln dolarów przy budżecie 20 mln, drugi to odpowiednio 333,1 mln i 28,17 mln, trzeci 474,2 mln i 48 mln, a czwarty 790,7 mln przy budżecie 185 mln.

Ford chce zabrać rolę Jonesa do grobu, lecz wydaje się to mało prawdopodobne. Już dawno plotkowano, że archeologiem zostanie po nim Chris Pratt albo Bradley Cooper.

Studio Disneya planuje kilka spin-offów, które doczekają się swoich sequeli. Gnając postępowanie Disneya przy serii „Gwiezdne wojny” – kręcenie marnie przygotowanych fabuł kinowych i seriali w pogoni za kasą – można przyjąć tę wieść za wielce prawdopodobną. ●

weekendówka

59



Autorką wielu haseł jest **Joanna Dzikowska**

WITAJCIE, ZIEMIANIE!

Już jutro, 2 lipca, ludzie w wielu zakątkach świata zbiorą się, by wspólnie obserwować niebo. Niby nic nowego – wszak miłośników wschodów czy zachodów słońca nie brakuje, są i tacy, którzy lubią sobie popatrzeć na chmury... Ale w niedzielę okazja będzie szczególna. Otóż na 2 lipca przypada Światowy Dzień UFO, który zwyczajowo świętuje się właśnie przez wypatrywanie na niebie latających spodków.

Czemu akurat 2 lipca? Bo tego dnia w 1947 roku nad miasteczkiem Roswell w stanie Nowy Meksyk przeleciał z dużą szybkością żarzący się obiekt. Wyłądował na posesji Williama Brazela, który przybycie niespodziewanego gościa zgłosił miejscowemu szeryfowi. Stróż prawa pchnął sprawę wyżej. Do dowództwa 509. Dywizjonu Bombowego, który pod Roswell stacjonował.

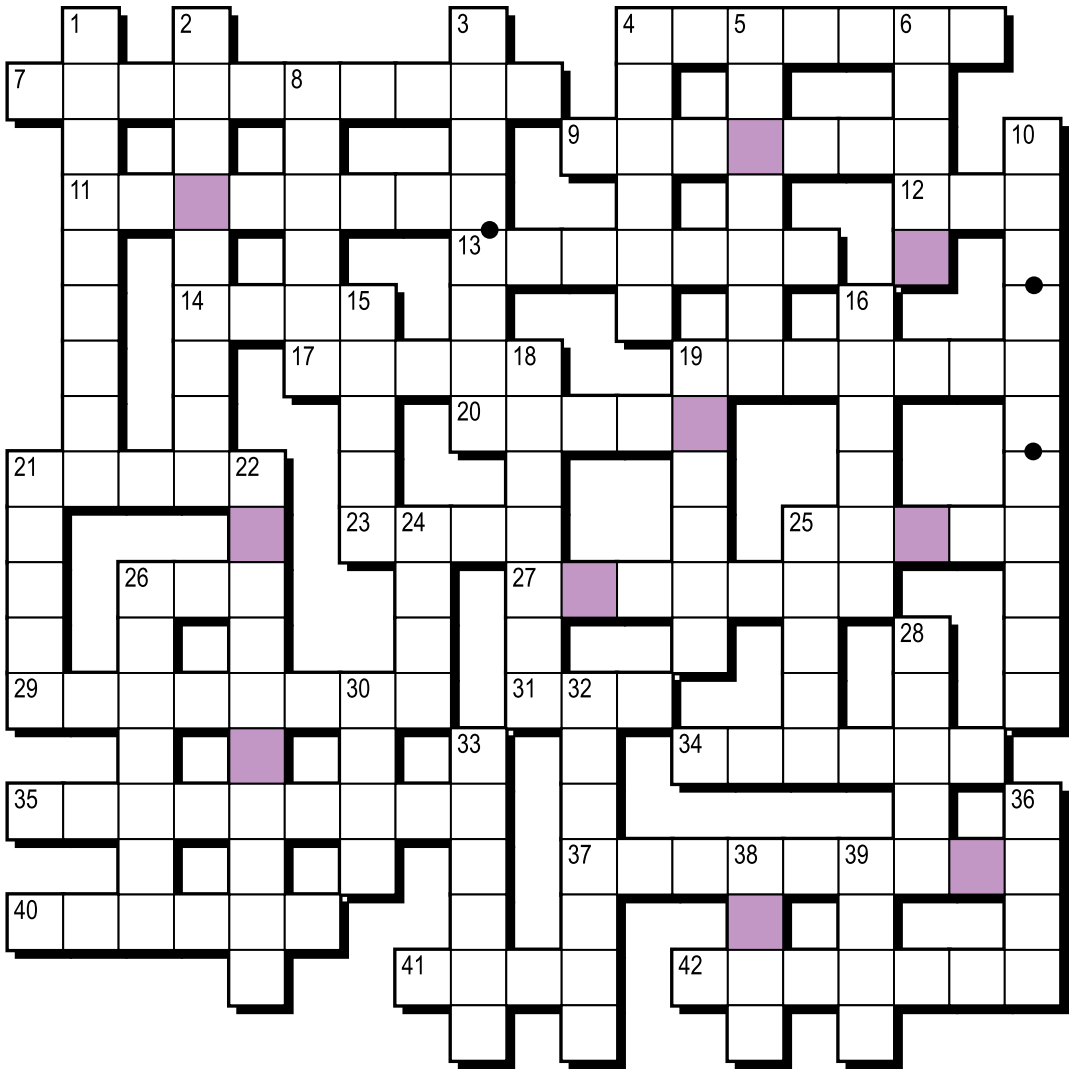
8 lipca w oficjalnym komunikacie wojskowym ogłoszono, że na terenie jednej z pobliskich farm znaleziono szczątki latającego dysku, które wojsko zabezpieczyło i przekazało do kwatery głównej.

Po takim tekście prasa od razu odtrąbiła, że pod Roswell rozbił się latający spodek, tym bardziej że jeden z wojskowych, major Jesse Marcel, przekonywał, że materiał nie mógł powstać na Ziemi. Dziś wiemy, że pod Roswell rozbił się balon meteorologiczny, który najpewniej był częścią tajnego projektu Mogul. Polegał on na nasłuchiowaniu, za pomocą bardzo czułych mikrofonów, eksplozji nuklearnych świadczących o radzieckich próbach atomowych.

Ale legenda pozostała. Oczywiście mnożyły się zeznania świadków, a w 2011 światło dzienne ujrziała notatka agenta FBI Guya Hottela z 1950 roku do szefa agencji J. Edgara Hoovera. Hottel raportował w niej o trzech latających obiektach odkrytych w Nowym Meksyku oraz o trzech ciałach ludzkiego kształtu, które miały się znajdować w każdym ze spodków.

Do Roswell do dziś przyjeżdżają miłośnicy UFO z całego świata, miasto na obcych przybyszach zarabia i dorobiło się nawet przydomka „Alien City”. My wypatrywać spodków nie będziemy, ale Dzień UFO uczymy kosmiczną „Weekendówką”, do której zapraszamy Państwa wraz z Joanną Dzikowską, dziennikarką „Gazety Wyborczej”, która już u nas gościła wielokrotnie, a która osobą jest w temacie UFO biegłą. Zresztą, sprawdźcie sami! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 58 z 24.06:

- Poziomo:**
- 1) sptyw 7) kask
 - 9) stancie 11) grajdoł
 - 12) samolot 13) oczko
 - 14) filmy 16) śniadanie
 - 17) nagość 18) Egipt
 - 20) parawany
 - 22) autostop 28) spodnie
 - 30) Hawaje 31) tłok
 - 32) piosenka 33) kurorty
 - 34) bon 35) wieś
 - 39) letniska 41) Kołobrzeg
 - 43) wędkarze
 - 45) nieróbstwo
 - 46) dzika plaża 47) Karwia

- Pionowo:**
- 2) parkingi 3) wydmy
 - 4) paszport 5) miłość
 - 6) festiwal 7) komedia
 - 8) solanka 9) sota
 - 10) stresy 15) mapa
 - 19) turnusy 21) wczasowicz
 - 23) oceany 24) pokoje
 - 25) Wolin 26) balustrada
 - 27) deptak 29) Staw
 - 32) połoniny 36) śledzie
 - 37) gofry 38) zestaw
 - 40) aparat 42) rybka
 - 43) woda 44) Ewa.

HASŁO:
**SŁONECZNA
POGODA**

UFO

Hasła Joanny Dzikowskiej oznaczono inicjałami (JD). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4) Walter, szef pary agentów w serialu „Z Archiwum X”
- 7) stąd przybyli Sigma i Pi, bohaterowie dawnego programu telewizyjnego uczącego matematyki
- 9) „Miasto kosmitów”, w którym rozbił się balon meteorologiczny (JD)
- 11) polował w dżungli na Arnolda Schwarzeneggera (JD)
- 12) ... podboju kosmosu, zaczęła się w XX w.
- 13) latające albo do obiadu (JD)
- 14) „Mój ... wciąż czyta o kosmitach”, w piosence Fasolek „Zielone ufoludki”
- 17) z E.T. na tle księżycy (JD)

- 19) Kim Basinger w „kosmicznej”, przybranej rodzinie (JD)
- 20) ... Reeves, zagrał kosmitę w filmie „Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia”
- 21) „Piknik na skraju ...”, powieść SF braci Strugackich (do diagramu w mianowniku)
- 23) mały, zielony i śmiesznie mówi (JD)
- 25) „... robotów” Stanisława Lema
- 26) podróż np. na Marsa
- 27) reżyser, który wystąpił łódź podwodną na spotkanie z kosmitami (JD)
- 29) Philip K. Dick zastanawiał się, czy śnią o elektrycznych owcach (JD)
- 31) futrzak z kosmosu; jego ulubiony posiłek stanowiły koty (JD)
- 34) planeta, której broni kosmita z niebieskiej budki policyjnej (JD)

- 35) ... Shaw, bohaterka filmu „Prometeusz” (prequel „Obcego”)
- 37) „... atakują!”, komedia Tima Burtona
- 40) eksperyment genetyczny numer 626, który miał siać chaos we wszechświecie, ale został oswojony przez hawajską dziewczynkę (JD)
- 41) „... astronauty”, film SF z Johnnym Deppem
- 42) pierwszy ... (kiedyś go nawiążemy?)

Pionowo:

- 1) John, reżyser filmów „Coś”, „Gwiezdny przybysz”
- 2) nazwisko reżysera filmu „Bliźnięta spotkania trzeciego stopnia”
- 3) bohaterowie tego serialu z prędkością WARP „śmiało dążą tam, gdzie nie dotarł jeszcze żaden człowiek” (JD)

- 4) przyciągnie kosmitę do Katowic?
- 5) atak obcych na Ziemi
- 6) ... Ripley, nieustraszona w walce z ksenomorfami (JD)
- 8) „... – Istota wody”, film SF
- 10) w uniwersum „Gwiezdnego wojny”: kosmita z planety Naboo
- 15) imię aktora, który w czarnym garniturze ścigał kosmicznych przestępców (JD)
- 16) Michael, rozegrał „Kosmiczny mecz”
- 18) radiowa ... o ataku Marsjan, zrealizowana przez Wellesa w 1938 r., wywołała niemą panikę w USA
- 19) agent, który „chciał wierzyć” (JD)
- 21) tu spotkasz czerwie pustyni i znajdziesz przyprawę (JD)
- 22) polecili w kosmos

- 24) ósmy pasażer Nostromo (JD)
- 25) David ... – robił muzykę z marsjańskimi pajakami, a w 1976 r. „spadł na ziemię” (JD)
- 26) zielone ..., czyli ufoludki
- 28) „Obcy” w języku obcym (fani TSA podpowiedzą)
- 30) ... Barrymore, zagrała Gertie w „E.T.”
- 32) poeta, mógłby „Marsjan” spotkać „W malinowym chruśniaku” (JD)
- 33) pstryknął, i potowa życia we wszechświecie przestała istnieć (JD)
- 36) nazwisko Supermana po założeniu okularów (JD)
- 38) Mark ..., wymyślił straszny gwizd w czołówce „Z archiwum X” (JD)
- 39) „Tajne ... Roswell”, film SF

Leszek Rydz

weekendówka

59

Byle do

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!





KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

Pobierz z

App Store

Pobierz z

Google Play

OGŁOSZENIE 34225722

eprasa.pl 9df94bfb63

1 RP